

DIANA PALMER

WŁADCA PUSTYNI

Namiętność, pasja, przygoda, dramatyczne wydarzenia.

Bajkowy szejkanat, gorący piasek pustyni i On - tajemniczy władca.

Porywająca powieść światowej sławy autorki bestsellerów.

Gretchen Brannon nie oczekiwała zbyt wiele od losu. Dla tej dziewczyny z małego miasteczka wakacje w Maroku miały być jedynie miłym przerywnikiem w jej nieco monotonnej egzystencji. Nie spodziewała się, że właśnie tu spotka mężczyznę swego życia.

Szejk Philippe Sabon, władca Qawi, nie ukrywał, że Gretchen obudziła jego zmysły. Choć pochodzili z tak różnych światów, okazali się pokrewnymi duszami. Lecz Gretchen instynktownie przeczuwała, że Philippe coś przed nią ukrywa... Wspólny wyjazd do Qawi miał scementować ich związek.

Tam jednak porwał ich wir dramatycznych wydarzeń.

W kraju trwa wojna domowa, Gretchen wpada w ręce najzagorzalszych przeciwników szejka Philips. Cudem unika śmierci, dozna jednak wielu upokorzeń... i to nie tylko ze strony politycznych wrogów ukochanego.

Czy w walce dobra ze złem zatriumfuje miłość, czy dopełni się przeznaczenie?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tłumy podróżnych przewalały się przez brukselskie lotnisko, mijając bar, w którym dwie Amerykanki zastanawiały się bezradnie, co dalej robić. Szczupła blondynka, ubrana w beżowy garnitur, uśmiechała się histerycznie, spoglądając na zniecierpliwioną brunetkę, która miała na sobie marynarkę i spodnie z zielonego jedwabiu.

- Cóż za ironia losu. Umrzemy z głodu, choć wokół są góry jedzenia! - powiedziała Gretchen Brannon.

- Och, przestań! - odparła Maggie Barton, pochylając się nad przyjaciółką, która zanosła się ponurym chichotem. - Śmierć głodowa nam nie grozi. Zaraz postaram się o franki belgijskie. Na pewno jest tutaj bankomat albo kantor. - Zatoczyła ręką szeroki łuk, wskazując okoliczne sklepy.

- Naprawdę? Gdzie? - W zielonych oczach Gretchen pojawiły się złośliwe iskielki. Maggie westchnęła, daremnie próbując przypomnieć sobie francuskie słówka, żeby rozszyfrować napisy ponad drzwiami sklepów. Gretchen obserwowała ją spod ciężkich, spuchniętych powiek. Od trzydziestu sześciu godzin obywatela się bez snu, w przeciwieństwie do przyjaciółki, która podczas lotu wyspała się za wszystkie czasy. - Już widzę nagłówki: „Zwłoki zagubionych turystek z Teksasu w pięciogwiazdkowej restauracji”! - Znów zachichotała, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

- Czekaj tu na mnie, nie ruszaj się na krok - rozkazująco rzuciła Maggie.

Gretchen oddała salut należny wyższej szarzy. Starsza od niej o trzy lata dwudziestosześcioletnia Maggie, pracownica i udziałowiec biura maklerskiego w Houston, miała przywódcze skłonności, co w trudnych sytuacjach okazywało się zbawienne. Na pewno znajdzie sposób, żeby wymienić dolary na miejscowa walutę, i wkrótce zjawi się z prowiantem oraz napojami.

Gdy Meggie wróciła, kieszenie miała pełne monet i banknotów. Ułożyła je według nominałów i marszcząc brwi, próbowała sobie przypomnieć wyjaśnienia kasjera na temat bilonu.

- Mamy dość czasu, żeby coś zjeść, a potem zwiedzić Brukselę, Samolot do Casablanki startuje dopiero po południu.

- Zwiedzanie⁷ Wspaniały pomysł! - powiedziała senna Gretchen. - Postaraj się tylko o krzepkiego przewodnika, by wziął mnie na barana, bo ja po prostu padam z nóg.

- Najpierw posiłek i kawa. No już, idziemy. Gdy przyjaciółka chwyciła ją za rękę, Gretchen posłusznie wstała. Zabawnie razem wyglądały: Maggie wysoka i pełna, Gretchen szczupłutka, średniego wzrostu, o jasnej cerze i długich blond włosach w odcieniu platyny. Zabrały ze sobą tylko niewielkie walizki jako bagaż podręczny, ograniczając ilość rzeczy do niezbędnego minimum. Dzięki temu nie musiały godzinami tkwić na lotnisku przy bagażowej karuzeli. Zdarza się, że takie oczekiwanie okazuje się daremne, bo walizki trafiły do innego samolotu i pasażerowie muszą obyć się bez nich.

- Wszyscy tu palą - burknęła Maggie i zanosła się kaszlem. - Nie widzę sali dla niepalących.

- Właśnie w niej jesteśmy, ale dym rozchodzi się po wszystkich pomieszczeniach - odparła z uśmiechem Gretchen.

- Może zjemy w tym barze - zaproponowała Maggie z kwaśną miną i wskazała najbliższą witrynę. - Jest prawie pusty i nie ma palaczy.

- Szczerze mówiąc, dla mnie takie drobiazgi są teraz bez znaczenia. Smakowałby mi nawet suchy chleb - odparła Gretchen. - Jeśli zabraknie nam pieniędzy, gotowa jestem zmywać naczynia!

Usiadły przy barze i zamówiły solidny posiłek: makaron z sosem pomidorowym i świeże pieczywo. Talerze były porcelanowe, sztucznie prawdziwe, żadne tam plastiki do jednorazowego użytku. Gdy dopijały drugą kawę, Gretchen poczuła się jak nowo narodzona.

- Trzeba teraz załapać się na szybki objazd po mieście - oznajmiła pogodnie Maggie. - Zadzwońię do biura podróży i poproszę, żeby pilot po nas przyjechał.

Gretchen westchnęła bez słowa i przymknęła oczy. Najchętniej wskoczyłaby do łóżka i przespała co najmniej dziesięć godzin, lecz od hotelu w marokańskim Tangerze dzielił ich jeszcze długi lot. Kwadrans później zirytowana Maggie odwiesiła słuchawkę. Mamrocząc przekleństwa, trąciła drzemiacą Gretchen.

- Nie mogę znaleźć właściwego numeru, bo nie znam francuskiego. Z tego samego powodu nie wiem, jakie monety wrzucić do aparatu, i nie jestem w stanie dogadać się z tubylcami, którzy odbierają telefony. Przyczyna jest zawsze ta sama: ni w ząb nie mówię ich językiem!

- Czemu tak na mnie patrzysz? - spytała przyjaźnie Gretchen. - Mam ten sam problem. Nie potrafię zrozumieć nawet menu.

- Znam hiszpański, ale tutaj jest zupełnie bezużyteczny - odparła zirytowana Maggie. - Mam pomysł! Wyjdziemy na zewnątrz i złapiemy taksówkę. To najłatwiejsze wyjście, prawda?

Gretchen wstała bez słowa i ruszyła, ciągnąc za sobą walizkę jak opornego szczeniaka. Hala przylotów brukselskiego lotniska była duża, nowoczesna i dobrze oznakowana. Po kilku niepowodzeniach znalazły taksówkę. Kierowca był sympatyczny i przyjacielski. Mówił łamanym angielskim, nie lepszym od francuskiego Maggie. Mimo językowych kłopotów, dziewczyny postawiły na swoim i zobaczyły wiele pięknych zabytków. Odbły długą i ciekawą przejażdżkę, w końcu jednak musiały wrócić na lotnisko, żeby nie spóźnić się na samolot.

Gretchen, całkiem rozbudzona po smacznym posiłku, kawie i miłej wycieczce, z niecierpliwością myślała o Maroku, czyli właściwym celu podróży. Była to dla niej starożytna, pustynna kraina wielbłądów, saharyjskich piasków i słynnych Berberów z gór Rif. Po kilku godzinach lotu urozmaiconego smacznymi przekąskami, typowymi dla kuchni śródziemnomorskiej, i lekturą gratisowych anglojęzycznych dzienników samolot wylądował w Casablance, gdzie dziewczyny miały się przesiąść na pokład maszyny lecącej do Tangeru. Po szczęśliwym lądowaniu Maggie i Gretchen przyłączyły się do głośnych oklasków dla załogi, a potem ruszyły do wyjścia i znalazły się w innym świecie, którego mieszkańcy paradowali w długich fałdzystych szatach, a kobiety okrywały głowy ciasno zawiązanymi chustami i zasłaniały twarze. Wokół pełno było dzieci podróżujących z rodzicami.

Na lotnisku w Casablance, które okazało się mniejsze, niż przypuszczały, uzbrojeni strażnicy w panterkach doprowadzili pasażerów lotów tranzytowych do stanowisk odprawy celnej, a potem do poczekalni, gdzie podróżni mieli spędzić czas, dzielący ich od startu maszyny. Toaleta była staromodna, ale pobierający drobne opłaty Marokańczyk mówił po angielsku, okazał się więc niewyczerpanym źródłem informacji na temat miasta i jego mieszkańców. Po kolejnej odprawie celnej i kontroli wykrywaczami metalu, Gretchen i Maggie wymieniły amerykańskie dolary na miejscowe dirhamy. Wkrótce znalazły się w samolocie lecącym do Tangeru.

Casablanke oglądały z lotu ptaka. Ich uwagę zwróciły tradycyjne białe gmachy, nowoczesne wieżowce oraz typowe dla wszystkich dużych miast korki uliczne. Gdy niewielki samolot wzniósł się wyżej, z zachwytem patrzyły na piękne miasto u wybrzeży Atlantyku. Lot trwał trzy i pół godziny. Tym razem na pokładzie wolno było palić, więc gdy maszyna gładko podeszła do lądowania, były już lekko pod - duszone.

Pasażerowie wysiedli, ich paszporty opatrzone stemplem, a bagaże znowu skontrolowano. Gdy wszystkim formalnościom stało się zadość, Gretchen i Maggie opuściły halę przylotów. Otoczyło je wilgotne, niemal gorące powietrze marokańskiej nocy. Były w Tangerze nad Morzem Śródziemnym. Na ulicy przed portem lotniczym zobaczyły długi rząd

taksówek. Kierowcy cierpliwie czekali na nielicznych pasażerów. Jeden z nich z przyjaznym uśmiechem skłonił głowę i włożył ich walizki do bagażnika mercedesa. Nareszcie były w drodze do pięciogwiazdkowego hotelu „Minzah”, wzniesionego na wzgórzu górującym nad portem. Ulice były jasno oświetlone, a prawie wszyscy przechodnie nosili długie szaty. Miasto wabiło egzotyką, starodawnym urokiem i tradycyjnymi zwyczajami. Wszędzie rosły palmy. Mimo późnej pory, na ulicach kręciło się wielu ludzi. Od czasu do czasu widziało się europejskie stroje. Z bocznych uliczek, hałasując klaksonami, z dużą szybkością wyjeżdżały auta. Głowy wysuwały się przez stale uchylone okna, dłonie gestykulowały z ożywieniem, słyszało się dialekt Berberów, gdy kierowcy pokrzykiwali dobrodusznie, próbując włączyć się do ruchu. W powietrzu unosiła się dyskretna piżmowa woń: słodka, obca i prawdziwie marokańska.

Dla Gretchen i Maggie był to prawdziwy skok na głęboką wodę. Zanurzyły się chętnie w nieznanej rzeczywistości. Kiedy planowały podróż, nie znalazły bezpośredniego połączenia z Tangerem, więc postanowiły lecieć do Afryki przez Brukselę, a w drodze powrotnej zahaczyć o Amsterdam, żeby poczuć specyfikę Europy. Przeczuwały, że czeka je wspaniała wyprawa, a teraz, kiedy znalazły się w Maroku, rozbudzona wyobraźnia dostrzegała wszędzie ślady dawnych wieków, kiedy dosiadający białych wierzchowców Berberowie walczyli z Europejczykami o panowanie nad świętą krainą swych przodków.

- Ten wyjazd to wspaniała przygoda - stwierdziła Gretchen, choć była ledwie żywa ze zmęczenia, ponieważ w czasie długiej podróży prawie w ogóle nie zmrużyła oka.

- No pewnie, od początku tak mówiłam - przytaknęła Maggie. - Biedactwo, ledwie trzymasz się na nogach, prawda?

- Owszem. - Gretchen kiwnęła głową. - Ale warto było się pomęczyć, żeby wreszcie tutaj dotrzeć. - Zmarszczyła brwi, spoglądając w okno. - Nie widać Sahary.

- Pustynia zaczyna się siedem kilometrów stąd - wyjaśnił kierowca, spoglądając w lusterko wsteczne. - Tanger jest nadmorskim portem, *mesdemoiselles*.

- A my zamierzałyśmy przespacerować się na pustynię - zachichotała Gretchen.

- Zapewniam, że w najbliższej okolicy jest wiele miejsc wartych odwiedzenia - odparł kierowca. - Muzeum Forbesa, Grota Herkulesa, nie mówiąc już o naszym suku...

- Bazar! - przypomniała sobie Maggie. - W folderze biura podróży było napisane, że to prawdziwa rewelacja!

- Oczywiście - potwierdził kierowca i dodał: - Mogą też panie wynająć samochód i w dzień targowy pojechać do Asilah na wybrzeżu Atlantyku. Naprawdę warto zobaczyć bazar. Ludzie z całego kraju zwożą tam produkty i wystawiają na sprzedaż.

- Chcemy też zobaczyć słynny Kasbah - rozmarzyła się Gretchen.

- Mamy ich tu sporo - odparł kierowca.

- Jak to? - zdziwiła się Gretchen.

- Aha, to amerykańskie kino. Wszystkiemu winien Humphrey Bogart. - Taksówkarz zachichotał. - Wyraz *kasbah* oznacza miasto otoczone murami, *mesdemoiselles*. W Tangerze na obwarowanej starówce są głównie sklepy. Na pewno obejrzycie nasze mury. Są bardzo stare. Tanger był zamieszkały już cztery tysiące lat przed Chrystusem, a jako pierwsi osiedli tu Berberowie.

Po drodze wskazał jeszcze kilka zabytków. W końcu wjechał na niskie wzgórze, zatrzymał się przed budynkiem o skromnej fasadzie, otoczonym niewielkimi sklepikami, i wyłączył silnik.

- Wasz hotel, *mesdemoiselles*.

Otworzył im drzwi auta i podał walizki młodzieńcowi, który z powitalnym uśmiechem podbiegł do taksówki. Dziewczyny były zaskoczone, bo z zewnątrz hotel nie wyglądał zachęcająco, ale gdy weszły do środka, otoczył je wschodni przepych. Siedzący przy biurku recepcjonista w białej marynarce miał na głowie czerwony fez. Rozmawiał z innym gościem, więc czekając z bagażami na swoją kolej, rozglądały się wokół. W sali przylegającej do holu na podłodze leżał kosztowny dywan, kanapy i fotele były z ciemnego, kunsztownie rzeźbionego drewna, na ścianach wisiały mozaiki oprawione w ramy. Obok znajdowała się winda, która właśnie ruszała.

Recepcjonista załatwił sprawy z poprzednim gościem i uśmiechnął się do dziewcząt. Maggie podeszła do biurka, ponieważ rezerwacja została zrobiona na jej nazwisko. Wkrótce były już w drodze do swego pokoju. Boy zajął się ich bagażami.

Z okien pokoju roztaczał się widok na Morze Śródziemne. Hotel otaczały ukwiecone klomby, był także basen i mnóstwo przyjemnych zakątków w cieniu palm, skąd, nie będąc widzianym z ulicy, można było patrzeć na morskie fale. Otoczenie przypominało wspaniałe pejzaże Wysp Karaibskich, a powietrze miało cudowny zapach. Pokój był ogromny, o egzotycznym wystroju, z telefonem, osobną łazienką i toaletą oraz małym barkiem, w którym znalazły odświeżające napoje, wodę mineralną, piwo i przekąski.

- Na pewno nie umrzemy z głodu - stwierdziła półgłosem Maggie, krążąc po pokoju.

Gretchen wyjęła z walizki nocną koszulę, zrzuciła podróżne ciuchy, wskoczyła pod kołdrę i zasnęła, a Maggie zaczęła się głośno zastanawiać, jak się wzywa hotelową obsługę.

Wprawdzie dziewczęta przekroczyły kilka stref czasowych, ale następnego ranka o ósmej rano obudziły się wypoczęte i głodne. Ubrane w spodnie i koszule zeszły na dół, chcąc

jak najszybciej zjeść śniadanie i zwiedzić starożytne miasto, które kiedyś było częścią rzymskiego imperium. Recepcjonista wskazał im salę jadalną i bufet z wystawnym śniadaniem, a także przedstawił im dyplomowanego przewodnika, który za dwie godziny miał je zabrać na wycieczkę po Tangerze. Obaj mężczyźni kilkakrotnie ostrzegali, aby pod żadnym pozorem nie wypuszczały się na samotne wyprawy po mieście. Doszły do wniosku, że to rozsądna zasada, więc obiecały jej przestrzegać i czekać w hotelu na swego opiekuna.

- Widziałaś ceny w bufecie? - spytała Maggie, gdy jadły śniadanie. - Za to wszystko zapłaciłybyśmy niecałego dolara. - Zmarszczyła brwi. - Gretchen, może byś zamieszkała w Tangerze?

- To piękne miejsce, ale Callie Kirby nie poradziłaby sobie beze mnie. - Gretchen wybuchła śmiechem, a Maggie długo przyglądała się jej w milczeniu.

- Zestarzejesz się w tej kancelarii adwokackiej i w końcu umrzesz tam, samotna i opuszczona - powiedziała cicho. - Postępek Deryła był dla ciebie okropnym przeżyciem, zwłaszcza że nie doszłaś jeszcze do siebie po śmierci matki.

- Zrobiłam z siebie idiotkę. - Zielone oczy Gretchen posmutniały. - Wszyscy prócz mnie natychmiast go przejeździ.

- Przed nim nie miałaś żadnego chłopaka - przypomniała Maggie. - Nic dziwnego, że oszalałaś na punkcie pierwszego faceta, który dostrzegł w tobie kobietę.

- Prawda jest taka, że zależało mu wyłącznie na pieniądzu z polisy ubezpieczeniowej. Nie miał pojęcia, że ranczo było poważnie zadłużone, więc niemal cała suma poszła na spłatę należności. Stracilibyśmy naszą ziemię, gdyby nie oszczędności Marka, które wystarczyły na pokrycie najpilniejszych płatności.

- Szkoda, że Deryl zdążył wyjechać z miasta, nim dopadł go twój brat - odparła groźnie Maggie.

- Gdy Mark wpada w złość, ludzie zazwyczaj trzęsą się ze strachu - przyznała z uśmiechem Gretchen.

- Już jako teksański strażnik był lokalnym bohaterem, a potem wstąpił do FBI.

- On cię bardzo kocha. Ja również. - Maggie poklepała jej dłoń. - Obie znalazłyśmy się w sytuacji bez wyjścia. Postanowiłam zaryzykować i odważyłam się na wielką przygodę, żeby skończyć z dotychczasowym marazmem. No i proszę! Jestem w drodze do pustynnego księstwa Qawi, gdzie zostanę osobistą sekretarką władcy tego państwa. - Po chwili zastanowienia dodała: - Postawiłam wszystko na jedną kartę, prawda?

- Rzeczywiście. I grasz o wysoką stawkę. - Gretchen wybuchła śmiechem. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - ciągnęła. - Słyszałam okropne rzeczy o krajach Bliskiego Wschodu. Można tam zostać skróconym o głowę.

- W Qawi to się nie zdarza - zapewniła Maggie.

- To księstwo jest niezwykle cywilizowanym i postępowym krajem. Ludność wyznaje rozmaite religie, więc Qawi to prawdziwy wyjątek wśród państw Zatoki Perskiej. Dzięki pieniądзом ze sprzedaży ropy naftowej szybko się bogaci i zarazem otwiera na wpływy Zachodu. Szejk ma dalekosiężne plany.

- Jest samotny, prawda? - rzuciła Gretchen z przebiegłym uśmieszkiem, a Maggie zmarszczyła brwi.

- Tak. Chyba pamiętasz, że przed dwoma laty napadnięto na jego kraj. Tamtej agresji towarzyszył wielki skandal dyplomatyczny. Oglądałam w telewizji kilka reportaży. Chodziły też plotki, że szejk jest nałogowym uwodzicielem, ale jego rząd zdementował wszystkie pogłoski.

- Może okaże się zabójczo przystojny i zmysłowy jak Rudolf Valentino? Widziałas niemy film pod tytułem „Szejk” z udziałem tego aktora? - ciągnęła rozmarzona Gretchen, popijając kawę. - Wyobraź sobie, Maggie, że nasze fantazje nagle się urzeczywistniają i oto amerykańska branka przystojnego szejka, galopującego na białym wierzchowcu, podbija nieczułe serce, a ksiązę pustyni zakochuje się w niej jak szalony! Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki. - Skrzywiła się. - Chyba nie mam zadatków na nowoczesną kobietę. Powinnam raczej śnić, że sama rzucam miejscowego przystojniaka na koński grzbiet i uwożę go w siną dal jako swego jeńca. - Westchnęła przeciągle. - Zresztą to tylko sny na jawie. Rzeczywistość nie może być tak barwna, przynajmniej dla mnie, ale nie zdziwiłabym się, gdybyś ty poznała tutaj cudownego i namiętnego mężczyznę.

- Nie mam szczęścia do przystojniaków - odparła Maggie z wymuszonym uśmiechem. Gretchen od razu wiedziała, że była to aluzja do mężczyzny, który nazywał się Cord Romero.

- Nie patrz na mnie takim wzrokiem - rzuciła żartobliwie, próbując zbagatelizować sprawę. - Wiadomo, że przyciągam wyłącznie żigolaków.

- Deryl nie był żigolakiem, tylko obrzydliwym pasożytem. Na przyszłość umawiaj się wyłącznie z facetami, którzy cenią takie same wartości jak ty - radziła żarliwie Maggie, ale Gretchen roześmiała się.

- Och, przy tobie czuję się taka odważna i niezależna - przyznała szczerze. - Wierz mi, strasznie się cieszę, że zaproponowałaś te wakacje i zapłaciłaś za mnie więcej niż połowę sumy. Jedynie dzięki twojej hojności stać mnie na ten wyjazd - powiedziała z wdzięcznością.

- Szkoda tylko, że wracam sama. Będzie mi ciebie brakować - dodała cicho. - Smutno mi, że skończyły się nasze wspólne zakupy i sobotnio - niedzielne rozmowy przez telefon.

Maggie z powagą kiwnęła głową. Z Tangeru miała polecieć do Qawi. Jako prywatna sekretarka panującego szejka i specjalistka od public relations, będzie także zajmować się jego gośćmi, dbać o reprezentację, zarządzać dworem i pełnić obowiązki pałacowej ochmistrzyni. Z pewnością czeka ją mnóstwo pracy, ale kto wie, czy nieraz nie zatęskni za Teksasem. Z drugiej jednak strony Gretchen miała rację: lepiej harować do upadłego, niż znosić humory Corda Romera, który jasno i wyraźnie dał do zrozumienia, że w przyszłości nie chce mieć z Maggie nic wspólnego.

Oboje byli sierotami adoptowanymi przez damę z wyższych sfer Houston. Choć nie łączyło ich żadne pokrewieństwo, Cord traktował Maggie jak prawdziwą siostrę. Przed kilku laty ożenił się, ale jego żona, Patrycja, popełniła samobójstwo, gdy został ciężko ranny, a mimo to nie zrezygnował z pracy w rządowych służbach specjalnych. Wkrótce po jej śmierci złożył wymówienie, został najemnikiem i jako zawodowy saper zajmował się rozbieraniem bomb. Tak wyglądało teraz jego życie. Maggie trzymała się od niego z daleka, ale jakiś czas temu spotkali się, bo niespodziewanie zmarła ich przybrana matka.

Kilka tygodni później Maggie poślubiła znacznie starszego, mocno schorowanego mężczyznę, który umarł po sześciu miesiącach. Od tamtej pory ona i Cord wyraźnie się unikali. Gretchen była ciekawa, co między nimi zaszło, ale Maggie milczała jak zakłeta.

Gdy Cord niespodziewanie wrócił do Houston i w przerwie między kolejnymi zleceniami zaczął obracać się w tych samych kręgach, Maggie postanowiła znaleźć pracę za granicą i natychmiast wysłała komplet dokumentów. Jak na ironię wybrała kraj, o którym usłyszała właśnie od Corda. Wrócił niedawno z Qawi, gdzie rozbierał bomby pozostałe po inwazji wrogich rebeliantów. Starannie przeanalizowała ofertę szejka. Pensja była znacznie wyższa niż jej obecne wynagrodzenie w biurze maklerskim, a poza tym wyjazd na Bliski Wschód oznaczał ostateczne rozstanie z Cordem.

Przed rozpoczęciem pracy postanowiła zafundować sobie krótkie wakacje. Zachęciła do wyjazdu Gretchen, która była bardzo przygnębiona po śmierci matki i przykrym rozstaniu z wiarołomnym narzeczoną, jak dotąd jedyną miłością w jej życiu. Wspólna podróż zapowiadała się wspaniale. Potem jednak Maggie odleci do Qawi, a Gretchen wsiądzie do samolotu zmierzającego do Amsterdamu i stamtąd wróci do Teksasu. Biedactwo, z pewnością poczuje się osamotniona, lecz taka wyprawa dobrze jej zrobi. Mała Gretchen zobaczy kawał świata, a właśnie tego teraz potrzebowała. W ciągu ostatnich sześciu lat jej matka dwukrotnie zapadała na raka, a córka pielęgnowała ją w chorobie.

Skończyła dwadzieścia trzy lata, lecz była niedoświadczona jak pensjonarka z klasztornej pensji. Nie miała wielu sposobności, żeby umawiać się z chłopcami. Matka wymagała starannej opieki, była też ogromnie zaborcza wobec jedynej córki. Gretchen straciła ojca w wieku dziesięciu lat, gdy jej brat Mark już stawał się mężczyzną, bo dobiegał osiemnastki. Dla osieroczonego rodzeństwa życie stało się bardzo trudne. Ilekroć Markowi udawało się wykroić trochę czasu, mieszkał z matką, siostrą, zarządcą i jego najbliższymi na rodzinnym ranczu w teksańskim Jacobsville. Jednak gdy zaczął pracować w FBI, większą część roku spędzał w mieście, ponieważ tego wymagała służba, i dlatego nie mógł pomóc Gretchen w opiece nad chorą matką, choć zawsze służył finansowym wsparciem.

- Maroko - rozmarzyła się znowu Gretchen. - Nie sądziłam, że kiedykolwiek znajdę się w mieście tak odległym i egzotycznym jak Tanger. - Z uśmiechem spojrzała na milczącą, ale pogodną Maggie. - Czemu przycichłaś? - zapytała nagle, zdziwiona osobliwym zachowaniem przyjaciółki, która zwykle gadała za dwoje.

- Zastanawiałam się... co słyhać w domu. - Maggie wzruszyła ramionami i ujęła filiżankę w obie dłonie.

- Przestań się wygłupiać. Mamy wakacje, dopiero przyjechałyśmy. Za wcześnie na atak nostalgii.

- Wcale nie tęsknię za domem - odparła Maggie z wymuszonym uśmiechem. - Chciałabym tylko, żeby moje sprawy ułożyły się lepiej.

- Wciąż chodzi ci o Corda - powiedziała domyślnie Gretchen.

- I tak by się nie udało. - Maggie znowu wzruszyła ramionami. - Nigdy nie przeboleje śmierci Pat i zawsze będzie szukać guza na wojnie. Podoba mu się ta robotka.

- Z wiekiem ludzie się zmieniają - próbowała pocieszyć ją Gretchen.

- On jest wyjątkiem. - W głosie Maggie pobrzmiwał żal. - Za długo łudziłam się, że pewnego dnia po przebudzeniu uświadomi sobie, jak bardzo mnie kocha. Nic z tego nie będzie. Skoro nie można inaczej, nauczę się żyć bez niego.

- Może za tobą zatęskni, wsiądzie do pierwszego samolotu i zabierze cię do domu.

- Niemożliwe!

- Wszystko jest możliwe! Kto by przypuszczał, że znajdę się w Maroku? - odparła rezolutnie Gretchen| kończąc pyszną jajecnicę.

Maggie uśmiechnęła się mimo woli.

- Właśnie. Szejk jest całkiem młody i czarujący? To kawaler, a zatem wszystko może się zdarzyć.

- Kto wie... - Gretchen z przykrością myślała o postanowieniu Maggie. Wiedziała, że będzie za nią tęsknić. Callie Kirby, współpracowniczka z kancelarii adwokackiej, była wspaniałą koleżanką, ale przyjaźń z Maggie trwała od dzieciństwa. Gretchen bardzo narzekała, gdy przyjaciółka zamieszkała w Houston, a teraz musiała przyjąć do wiadomości jej przeprowadzkę do innego kraju.

- Możesz do mnie przyjeżdżać. Wolno mi przyjmować gości. Spróbujemy znaleźć ci przystojnego księcia.

- Nie dla mnie arystokraci - odparła rozchichotana Gretchen. - Zadowolę się miłym kowbojem, byle miał własnego konia i dobre serce.

- Dobre serce to rzadki towar - stwierdziła Maggie - a jednak mam nadzieję, że w końcu spotkasz takiego faceta.

- Może wrócisz ze mną? - spytała ponuro Gretchen. - Jeszcze nie jest za późno na zmianę decyzji. A jeśli Cord pewnego ranka otworzy oczy i odkryje, że oszalał na twoim punkcie? I co wtedy zrobi, gdy będą was dzielić tysiące kilometrów!

- Sama wspomniałaś, że potrafi wsiąść do samolotu - odparła stanowczo Maggie. - Zmieńmy temat i porozmawiajmy o czymś przyjemnym.

Gretchen posłuchała i nie robiła już żadnych uwag. Miała nadzieję, że Maggie naprawdę wie, co robi. Krótkie wakacje to jedno, ale praca w obcym kraju i zależność od tamtejszego zwierzchnika to całkiem inna sprawa. Oferta była tak dobra, że budziła pewną nieufność. Qawi jest przecież krajem, gdzie dominują mężczyźni, natomiast kobiety we własnym gronie przebywają w osobnych pomieszczeniach. Wydawało się dziwne, że szejek postanowił zatrudnić zagranicznego specja od public relations, a na dodatek uznał za stosowne przyjąć niezależną kobietę. Czyżby w Qawi nastąpiła obyczajowa rewolucja? Gretchen miała nadzieję, że tak rzeczywiście jest. Obawiała się niebezpieczeństw, które mogłyby zagrażać jej najlepszej przyjaciółce. Wkrótce jednak poweselała, bo pomyślała o wakacyjnym tygodniu w Tangerze. Z pewnością czeka je wspaniały urlop.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niestety zarówno wakacyjne plany, jak i marzenia o zagranicznej posiadłości, rozwiały się jak poranna mgła, a wszystko za sprawą jednego telefonu. Z Jacobsville w Teksasie zadzwonił Eb Scott, znajomy Maggie:

- Okropnie mi przykro, ale mam złe nowiny - powiedział cicho. - Cord został ranny. Przed tygodniem dostał zlecenie i pojechał na Florydę. Kiedy umieszczał w metalowym pojemniku niewielki ładunek z zapalnikiem, umożliwiającym zdalną detonację, nastąpił wybuch... prosto w twarz.

Maggie śmiertelnie zbladła i zacisnęła palce wokół słuchawki.

- Zginął? - spytała ochryplym szeptem.

Po chwili milczenia, która ciągnęła się w nieskończoność, Eb odpowiedział:

- Nie, ale sam żałuję, że tak się nie stało. Maggie, on stracił wzrok.

Zacisnęła powieki, próbując sobie wyobrazić dumnego, niezależnego mężczyznę, który chodzi z białą laską albo psem przewodnikiem i rozpaczliwie próbuje w samotności na nowo ułożyć sobie życie.

- Gdzie jest? - zapytała.

- Mark, brat Gretchen, był w Miami, kiedy doszło do wypadku, a gdy Cord został wypisany ze szpitala, przywiózł go na ranczo pod Houston. Zapewne wiesz, że Cord kupił tam małą posiadłość. - Eb zawahał się na moment i dodał: - Nie miałem pojęcia, co się wydarzyło, póki Mark nie zadzwonił do mnie.

- Cord jest sam?

- Jak palec - odparł zirytowany Eb. - Nie chciał zatrzymać się w Jacobsville. Ja i Sally, a także Cy Parks, chcieliśmy się nim zająć. Nie ma przecież żadnej rodziny, prawda?

- Tylko mnie. - Maggie roześmiała się z goryczą. - Nie wiem jednak, czy zasługuję na takie miano. - Błyskawicznie przeanalizowała fakty i po chwili wahania zapytała: - Pewnie zostałamby wyrzucona za drzwi, gdybym wróciła, żeby u niego zamieszkać?

- Trudno powiedzieć - odparł z namysłem Eb, starannie dobierając słowa. - Wiem od Marka, że kilka razy wykrzyknął twoje imię, kiedy go zabierali do szpitala. Jakby oczekiwał, że przyjedziesz po niego.

Serce Maggie uderzyło mocniej. To był pierwszy krok. Dotąd jeszcze się nie zdarzyło, aby była Cordowi potrzebna. Pragnął jej, ale tylko raz. Zresztą, nie był wtedy całkiem trzeźwy...

- Zadzwoiłem do Corda, gdy tylko Mark dał mi znać, że zabiera go do domu. Cord stwierdził ze złością, że na pewno nie będziesz chciała nim się opiekować, ale zgodził się, bym cię o wszystkim powiadomił, o ile oczywiście sam uznam, że powinnaś wiedzieć - mruknął z przekąsem Eb. - No to dzwonię.

- W samą porę - odparła zdenerwowana Maggie. - Wkrótce miałam podjąć nową pracę, a wcześniej planowałam tygodniowe wakacje. - Zerknęła na Gretchen, która bez skrpułów przysłuchiwała się rozmowie, i wykrzywiła twarz. - Nie wiem, jak to zrobię, ale jeszcze dziś po południu wsiądę w samolot lecący do kraju, jeśli tylko uda mi się dostać bilet z przesiadką w Brukseli.

- Wiedziałem, że się zdecydujesz - odparł cicho Eb. - Zawiadomię Corda.

- Dzięki - odparła szczerze.

- Dla ciebie wszystko. Szczęśliwej podróży. Mark kazał powiedzieć Gretchen, żeby sama nie włączyła się po mieście.

- Przekażę. Cord... ta jego ślepotą... On nie odzyska wzroku? - zapytała.

- Na razie trudno powiedzieć.

Odłożyła słuchawkę i powiedziała bez żadnych wstępów:

- Cord został ranny. Muszę natychmiast wrócić do domu. Wybacz, że wystawiam cię do wiatru...

- Nie bój się o mnie, poradzę sobie - zapewniła Gretchen, nadrabiając miną. Wiedziała, co Maggie czuje do Corda, więc prędzej dałaby się pokroić na kawałki, niż zdradziła, że z obawą myśli o samotnym urlopie w obcym kraju. - Ale co z twoją pracą?

Maggie popatrzyła na przyjaciółkę, a w jej umyśle kiełkował już śmiały plan...

- Przejmiesz pałeczkę.

- Co?! - Gretchen wytrzeszczyła oczy.

- Polecisz do Qawi zamiast mnie. Posłuchaj uważnie - dodała, gdy Gretchen próbowała zaprotestować. - Tego ci właśnie potrzeba. Wegetujesz w Jacobsville jako sekretarka prowincjonalnych prawników, a wcześniej przez kilka lat pielęgnowałaś chorą matkę. Najwyższy czas wyjść z izolacji i zmierzyć się z losem. Przed tobą życiowa szansa!

- Ależ ja jestem zwykłą sekretarką! - krzyknęła przerażona Gretchen. - Nie umiem organizować przyjęć i pisać komunikatów dla prasy. Zresztą szejk oczekuje ciemnowłosej wdowy...

- Powiedz mu, że zmieniłaś kolor i unikaj rozmów o swojej przeszłości - przerwała Maggie, wyciągając z szafy walizkę. Pobiegła do garderoby, gdzie wisiały jej ubrania. - Dam ci bilet na samolot i całą gotówkę, która mi została.

- To nie jest dobry pomysł.

- Przeciwnie - zaprotestowała Maggie. - Znalazłyśmy idealne wyjście. Kto wie, może poznasz w Qawi odpowiedniego faceta?

- Oho, tego mi tylko brakowało - mruknęła ponuro Gretchen. - Zostałabym pewnie żoną numer cztery, musiałabym zasłaniać twarz, owijać się burką od stóp do głów i mieszkać w haremie jakiegoś despoty!

- Co ty wiesz o kobietach islamu? - Maggie spojrzała na nią z politowaniem. - Wyobraź sobie, że ich życie opiera się na wartościach, które nam kiedyś były bliskie. Mają też spore wpływy. W Qawi i kilku innych krajach przyznano im prawo wyborcze. Mogą posiadać własny majątek. Poza tym w Qawi mieszka sporo chrześcijan. Podobno nawet stanowią większość a również szejk jest naszego wyznania. Jego rodzice wyznawali różne religie i gdy dorósł, dokonał wyboru.

- O ile dobrze pamiętam, mówi się nie tylko o jego praktykach religijnych, ale również o tym, że jest erotomanem - z sarkazmem przypomniała Gretchen. - Zresztą sama mi o tym wspominałaś.

- Wywiad udzielony międzynarodowej stacji telewizyjnej dowiódł, że to wierutne bzdury - odparła z roztargnieniem Maggie. - Senator Holden ujawnił, że szejk celowo rozpuszczał takie plotki, aby zapewnić bezpieczeństwo żonie Pierca Huttona i udaremnić wrogie posunięcia jej ojczyma. Podobno nadal coś czuje do tej Brianne Hutton. - Maggie zdejmowała ubrania z wieszaków. - Trudno powiedzieć, żeby była ładna, ale ma śliczny uśmiech i gustownie się ubiera. Może wpadła w oko szejkowi, bo jest jasną blondynką.

- A on to smagły brunet, tak? - zapytała Gretchen.

- Nie mam pojęcia. Ani razu go nie widziałam, rzadko pozwala się fotografować. Nawet podczas intronizacji na ceremonialne szaty narzucił bisht, nosił też chustę na głowie oraz igal, więc jego twarz była ledwie widoczna. Na zdjęciach zagranicznych reporterów widać głównie bogaty strój. - Maggie skończyła się pakować. Przejrzała dokumenty i zawartość portfela, nieustannie myśląc o Cordzie.

- Pewnie ma pryszczki - stwierdziła złośliwie Gretchen, ale roztargniona przyjaciółka nie zwracała na nią uwagi.

- Jeśli coś tu zostawię, wyślij mi pocztą, dobrze? Proszę. - Wręczyła jej garść marokańskich banknotów i trochę monet. - Tych pieniędzy i tak nie zdążę już wymienić. Wypocznij sobie tu do końca tygodnia, a potem leć do Qawi. Nim szejk zorientuje się, że przyjechałaś zamiast mnie, wyrobisz sobie mocną pozycję, więc nie pozwoli ci odejść. Może w ogóle się nie zorientuje, co jest grane?

- Optymistka. - Gretchen uściskała przyjaciółkę, która uśmiechnęła się, podniosła słuchawkę i szybko wytłumaczyła uprzejmemu recepcjoniście, co się stało.

- Dzięki. Zaraz schodzę - dodała po chwili. Zbierając ostatnie drobiazgi, odwróciła głowę i powiedziała do Gretchen: - Obiecał załatwić mi bilet. Hotelowe auto będzie czekać przed wejściem, a Mustafa odwiezie mnie na lotnisko. Pamiętaj, nie wolno ci chodzić samej po mieście. Obiecuj mi, że nie będziesz ryzykować.

- Przrzekam. Maggie, ty również uważaj na siebie. Mam nadzieję, że Cord się pozbiera.

- Boję się, że o ile nie odzyska wzroku, nigdy nie dojdzie do równowagi psychicznej - odparła ponuro Maggie. - Najgorsze w tym wszystkim jest to, że będę mogła mu pomóc tylko wówczas, gdy mi na to pozwoli, co wcale nie jest pewne... Czeka mnie trudne zadanie, mam jednak nadzieję, że w mojej obecności łatwiej dostosuje się do sytuacji. Po raz pierwszy w życiu przyznał, że jestem mu potrzebna, a to już coś. Oby nie był to chwilowy impuls...

- Nigdy nie wiemy, kiedy zdarzy się cud, ale jeśli będziesz mocno wierzyć...

- Wiary mi nie zabraknie, bo Cordowi naprawdę potrzebny jest cud. Pisz do mnie! - zawołała, chwytając pospiesznie spakowaną walizkę, i pobiegła do drzwi.

- Oczywiście.

Po wyjściu Maggie w pokoju zapanowała cisza, której Gretchen nie była w stanie znieść. Telewizor odbierał zaledwie kilka programów, w większości nadawanych po arabsku albo po francusku. Jedyne anglojęzyczny kanał prezentował tylko wiadomości. Pokój był wprawdzie duży, ale teraz czuła się w nim jak w klatce. Potrzebowała zmiany, więc postanowiła zejść nad basen i wygrzać się na słońcu.

Popołudnie spędziła samotnie, chociaż rozpoznawała już hotelowych gości, którzy odpoczywali nad wodą. W czasie obiadu i kolacji nie szukała towarzystwa, samotnie siedząc przy stoliku. Maggie doleciała już pewnie do Brukseli. Powinna wsiadać do samolotu zmierzającego bezpośrednio do kraju. Pewnie też czuła się osamotniona.

Gretchen myślała o planowanej na dziś wycieczce, która rzecz jasna nie doszła do skutku. Postanowiła następnego dnia rano poprosić Mustafę, żeby zawiózł ją do Groty Herkulesa, którą wraz z Maggie zamierzała dzisiaj zwiedzić. Następnego dnia można by pojechać do nadmorskiego miasteczka Asilah. Z pewnością warte jest obejrzenia.

Spała niespokojnie, ale rano obudziła się wypoczęta. Włożyła długą sukienkę bez rękawów w biało - żółty deseń, narzuciła biały kardigan robiony na drutach, a włosy zostawiła rozpuszczone. Zbiegła do holu, zamierzając poprosić recepcjonistę, żeby jej pomógł znaleźć Mustafę. Tak się spieszyła, że prawie wpadła na eleganckiego mężczyznę w szarym,

markowym garniturze. Nieznajomy chwycił ją za ramiona, chroniąc przed upadkiem. Roześmiane czarne oczy przyglądały się jej uważnie.

- Och, przepraszam najmocniej - rzuciła bez tchu. Popatrzyła na mężczyznę, który wyglądał na Francuza, i dodała pospiesznie: - To znaczy *excusez - moi, mon - sieur*. - Dobrze się ubierał i mógłby uchodzić za urodziwego, gdyby nie głębokie blizny na wąskim, gładko wygolonym policzku. Proste włosy były czarne, tak samo jak oczy. Poruszał się z wdziękiem rzadkim u ludzi wysokiego wzrostu. Cerę miał ciemniejszą niż większość białych Amerykanów i zarazem dużo jaśniejszą od Arabów i Berberów, których widywała w Maroku. Wzrostem przewyższał większość mężczyzn. Czubek głowy Gretchen sięgał jego podbródka.

- *Il n'ya pas de quois, mademoiselle* - życzliwie odparł niskim, łagodnym głosem. - Na szczęście nie ucierpiałem.

- Na przyszłość obiecuję bardziej uważać - odparła, uśmiechając się do niego, ujęta blaskiem czarnych oczu.

- Mieszka pani w tym hotelu? - zapytał pogodnie. Kiwnęła głową.

- Zatrzymałam się tutaj na kilka dni. Wkrótce zacznę pracować w szejkanacie Qawi, ale najpierw postanowiłam zrobić sobie krótkie wakacje. Tu jest przepięknie.

- Posada w Qawi? - rzucił z nagłym zainteresowaniem.

- Tak, zatrudniłam się jako osobista sekretarka szejka oraz specjalistka od public relations - wyjaśniła. - Już nie mogę się doczekać, kiedy tam pojedę.

Milczał przez chwilę, mierząc ją bystrym, mądrym spojrzeniem.

- Dobrze zna pani Bliski Wschód?

- Tak się składa, że pierwszy raz wyjechałam ze Stanów Zjednoczonych - odparła i znowu się uśmiechnęła. - Czuję się jak kompletna idiotka. Wszyscy tu mówią co najmniej czterema językami, a ja znam tylko angielski i trochę hiszpańskiego.

- Zadziwiające - mruknął, unosząc brwi.

- Proszę?

- Samokrytyczna Amerykanka.

- Większość moich rodaków to ludzie skromni i samokrytyczni - odparła rezolutnie. - Jest wśród nas trochę zarozumiałych pyszałków, lecz zachowania mniejszości nie mogą wpływać na ocenę całego społeczeństwa. A Teksaszczyzy stanowią prawdziwy wzór umiarkowania i skromności, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że nasz stan zdecydowanie góruje nad innymi.

- Pochodzi pani z Teksasu? - Nieznajomy wybuchł śmiechem.

- Owszem - przytaknęła z naciskiem. - Jestem dyplomowaną kowbojką. Jeśli ma pan wątpliwości, chętnie na pańskich oczach spełtam ciele. Znam też inne sztuczki.

Uradowany mężczyzna znowu się roześmiał. Od dawna nie spotkał równie interesującej dziewczyny. Raz tylko, przed laty... Wydał ładnie wykrojone usta i przyglądał się jej uważnie.

- O ile mi wiadomo, pani stan jest znacznie większy od szejkanatu Qawi.

- Zgadza się - przyznała, rozglądając się wokół z nie ukrywaną ciekawością. - Problem w tym, że cała Ameryka jest właściwie taka sama - tłumaczyła. - Tutaj słyszy się niezwykłą muzykę, potrawy są inne, stroje odmienne. Na każdym kroku spotykam historyczne zabytki. Życia by mi nie starczyło, aby się o nich wszystkiego dowiedzieć.

- Lubi pani historię?

- Uwielbiam - powiedziała. - Szkoda, że nie mogłam zapisać się na uniwersytet i studiować. Moja matka chorowała na raka, więc nie chciałam zostawić jej samej. Rzec jasna pracowałam, więc przed południem musiałam wychodzić, ale o dalszej nauce nie było mowy, bo brakowało na nią czasu i pieniędzy. Mama umarła przed czterema miesiącami, a wciąż mi jej brakuje. No cóż, być może teraz będę mogła zrealizować moje marzenia... - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Okropnie się rozgadałam. Niech mi pan wybaczy.

- Słucham z ciekawością - odparł, najwyraźniej szczerze.

- *Mademoiselle* Barton! - zawołał recepcjonista.

Dopiero po kilku chwilach zorientowała się, że pomylił nazwiska i wziął ją za Maggie. Uznała, że to bez znaczenia, więc obeszła wysokiego mężczyznę i podbiegła do biurka. Marokańczyk oznajmił przepraszającym tonem: - Mustafa już pojechał do Groty Herkulesa z grupą turystów, ale jeśli pani sobie życzy, podstawimy auto i poprosimy innego przewodnika, żeby tam panią zawiózł.

- Sama nie wiem... - zaczęła z wahaniem. Miała poważne wątpliwości, czy samotnie potrafi się cieszyć wyprawą.

- Przepraszam - wtrącił wysoki mężczyzna, podchodząc do biurka. - Zamierzałem właśnie zwiedzić tę słynną grootę. Może pojedziemy razem?

- Och, cudowny pomysł! - zawołała, spoglądając na niego z wdzięcznością. - Naprawdę pan się tam wybiera?

- Oczywiście. - Popatrzył na recepcjonistę i dodał coś pospiesznie w języku, z którego Gretchen nie rozumiała ani słowa. Przez kilka chwil rozmawiali z ożywieniem, a recepcjonista zaczął chichotać. Zaniepokojona uznała, że chyba zbyt pochopnie przyjęła zaproszenie nieznanego. A jeśli wynikną z tego poważne kłopoty?

- Ten pan jest człowiekiem godnym zaufania, *mademoiselle* - zapewnił recepcjonista, widząc niepokój na jej twarzy. - Czy mam powiedzieć Bojo... To nasz drugi przewodnik. Chce pani, żeby podstawił auto pod drzwi hotelu?

- No dobrze. - Gretchen zerknęła na nieznanego i spytała z wahaniem: - A pańska teczka?

Mężczyzna podał ją recepcjoniście i ponownie zamienił z nimi kilka słów w melodyjnym, tajemniczym języku, a potem z uśmiechem odwrócił się do odrobinę skonfundowanej Gretchen.

- Jedziemy?

Za kierownicą eleganckiego hotelowego mercedesa siedział inteligentny, wysoki mężczyzna z plemienia Berberów, co można było poznać po charakterystycznych wąsach i brodzie. Zręcznie lawirował między samochodami. Tak samo jak kierowca taksówki, który wioził Gretchen i Maggie pierwszego dnia ich pobytu w Tangerze, szybko miał opuszczoną i żywo dyskutował z innymi kierowcami oraz przechodniami, energicznie przy tym gestykulując. Wysoki mężczyzna powiedział jej, że kazał jechać od razu do Groty Herkulesa, którą chciała najpierw zobaczyć. Potem mieli się udać do Asilah.

- Bojo urodził się w Tangerze. Połowa mieszkańców to jego znajomi, a pozostali są krewnymi - tłumaczył, sadowiąc się wygodnie na tylnej kanapie auta. Skrzyżował ramiona i z uwagą obserwował Gretchen.

- Zupełnie jak u nas w Jacobsville - powiedziała ze zrozumieniem. - Małe miasteczka są urocze, Wszyscy znają tam wszystkich. Nie sądzę, żebym mogła być szczęśliwa w wielkim mieście, mając wokół samych obcych ludzi.

- A jednak opuściła pani rodzinne strony, żeby pracować w dalekim i zupełnie obcym kraju - odparł. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

- Moja matka umarła, nie mam żadnych krewnych. - Uśmiechnęła się z roztargnieniem, spoglądając ponad głowę kierowcy na wąskie uliczki obramowane pal - mami. Na chodnikach tłoczyli się przechodnie w barwnych ubraniach.

- Mam rozumieć, że nie jest pani mężatką?

- Ja? Och, nie! Dotąd nie wyszłam za mąż - odparła mimochodem. - Miałam narzeczonego. - Skrzywiła się. - Myślał, że w spadku po matce otrzymam duży majątek i sporo pieniędzy, ale nasza posiadłość była okropnie zadłużona, a forsą z polisy ubezpieczeniowej wystarczyła jedynie na opędzenie licznych wierzycieli. Po pogrzebie mamy narzeczonego znikł. Teraz chodzi z córką bankiera.

- Rozumiem. - Twarz mu stężała. Przyglądał się Gretchen z zainteresowaniem, ale tego nie spostrzegła.

Wzruszyła ramionami.

- Okazywał mi wiele życzliwości, a poza tym ktoś przy mnie był w najtrudniejszych chwilach, gdy mama czuła się coraz gorzej. - Błądziła spojrzeniem po wybrzeżu. - Przedtem nie chodziłam na randki. Widzi pan, mama od dawna chorowała i tylko ja mogłam ją pielęgnować. Brat pomagał w miarę możliwości, ale ponieważ pracuje dla agencji rządowej, więc stale jest w rozjazdach.

- Nie było nikogo, kto by panią wyręczył? A znajomi?

- Mam tylko jedną przyjaciółkę, Maggie, ale mieszkała. .. mieszka w Houston - zająknęła się. - Ja zostałam na ranczu, które mamie i bratu udało się zachować jako rodzinną własność. Mieszka tam nasz zarządca, który pracuje za udział w zyskach.

- Czy przyjaciółka towarzyszyła pani w zagranicznej wyprawie? - zapytał mężczyzna, z pozoru od niechcenia.

- Tak, ale dostała pilną wiadomość i musiała wrócić do kraju. - Gretchen zmarszczyła brwi, ponieważ doszła do wniosku, że jest przesadnie szczera. Nic przecież nie wie o tym mężczyźnie.

- Zostawiła panią zupełnie samą na łasce obcych ludzi? - zapytał, kpiąc z niej dobrotliwie.

- A powinnam się bać? Poczęstuj mnie pan czekoladką i zaprosi do swego domu? - Niespodziewanie spojrzała na niego z ironicznym uśmiechem.

Zachichotał cicho.

- Tak się składa, że nienawidzę słodyczy - odparł, zakładając nogę na nogę i wyglądając elegancko. - Poza tym jest pani bardzo inteligentna, więc podrywanie starymi metodami na nic się nie zda.

- Chyba mi pan pochlebia - mruknęła. - Nawiasem mówiąc, jestem uzależniona od czekolady. Ofiarodawca bombonierki zawierającej beczułki z likierem natychmiast zawróciłby mi w głowie.

- Będę o tym pamiętać, *mademoiselle*... Barton - zapewnił tak serdecznie, że nie zwróciła uwagi na leciutkie wahanie w jego głosie. Spojrzała w czarne oczy i uznała, że ta znajomość nie powinna być zbudowana na kłamstwie.

- *Mademoiselle* Brannon - poprawiła. - Gretchen Brannon.

Uśmiechnęła się, gdy ujął podaną dłoń i podniósł ją do ust.

- *Mademoiselle* Brannon - powtórzył. - *Enchanté*.

Czuję się oczarowany. - Zmrużył oczy. - O ile dobrze pamiętam, recepcjonista wymienił inne nazwisko.

- Maggie Barton to moja przyjaciółka. Jej przybrany brat miał poważny wypadek i został ranny. Dlatego dziś rano odleciała do kraju. - Przygryzła wargi.

- Chyba nie powinnam tyle o tym gadać, ale jestem w kropce, ponieważ Maggie namówiła mnie do postępku, który jest niezgodny z moimi zasadami, więc mam wyrzuty sumienia.

- Proszę mi się zwierzyć. Często bywa, że rozmowa z nieznanym człowiekiem, nie znającym sprawy i obiektywnym, pomaga uporać się z problemem - namawiał, zachęcająco gestykułując smukłą dłonią. Opadł na oparcie, spoglądając na nią łagodnymi, nieco rozbawionymi oczyma. Zawahała się, więc wybuchnął śmiechem. - Właściwie jesteśmy sobie obcy, *n'est pas?*

- Owszem. Mam nadzieję, że nie ma pana żadnych związków z szejkanatem Qawi? - zapytała. Bez słowa uniósł brwi. Wzruszyła ramionami. - To Maggie chciała zatrudnić się u szejka. Okazało się, że nie może podjąć pracy, więc namówiła mnie, żebym zajęła jej miejsce, nie informując nikogo, co zaszło.

- Pani się nie podoba takie podejście do sprawy?

- Oczy nieznanego zabłysły.

- Maggie nie była w stanie rozumować logicznie, kiedy wpadła na ten pomysł. W przeciwnym razie nie należałoby, żebym zrobiła takie głupstwo. Nie lubię i nie umiem kłamać - tłumaczyła cicho Gretchen. - Zresztą wystarczy rzut oka, aby się zorientować, że nie jestem typem szefowej. Nie wyglądam także na wdowę. Brak mi towarzyskiego obycia, więc jak mam organizować uroczyste bankiety i witać znane osobistości? Jako sekretarka w kancelarii adwokackiej w Jacobsville liźnęłam trochę prawa i to wszystko.

- Zdumiewające - mruknął. Słuchał z uwagą i namysłem, lekko mrużąc oczy. Na szerokich, ale wąskich ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Proszę? - spojrzała na niego szeroko otwartymi, zielonymi oczami.

- Mniejsza z tym. Boi się pani, że wymagania pracodawcy będą zbyt wysokie? - Spojrzał jej prosto w oczy.

- Naturalnie - przytaknęła. - Gdy skończy się wakacyjny tydzień, polecę do Amsterdamu i stamtąd wrócę do Stanów - dodała, w tym momencie podejmując decyzję. Mężczyzna uniósł ciemne brwi.

- Panno Brannon, proszę mi powiedzieć, czy wierzy pani w przeznaczenie?

- Sama nie wiem.

- Ja wierzę. Moim zdaniem musi pani jechać do Qawi.

- I wszystkich oszukiwać? - mruknęła ponuro.

- Nie. Trzeba powiedzieć szefowi całą prawdę. - Wyprostował się, postawił obie nogi na podłodze i niespodziewanie pochylił się w jej stronę. - Znam szejka. .. to znaczy sporo o nim wiem - dodał pospiesznie.

To uczciwy człowiek i ogromnie ceni szczerłość. Proszę wykorzystać bilet lotniczy przyjaciółki i przyjąć tę posadę...

- On mnie nie zatrudni - przerwała. - Bardzo mu zależało na asystentce o kwalifikacjach, jakie posiada Maggie. Poza tym istotne znaczenie ma dla niego fakt, że ona była mężatką...

- Proszę wyznać szejkowi prawdę i wziąć się do pracy - powtórzył z naciskiem. - Ten człowiek potrafi być elastyczny, więc znajdzie wyjście z sytuacji. Wiem, że bardzo potrzebuje asystentki, i to natychmiast. Szkoda mu będzie czasu na szukanie kolejnej osoby z umiejętnościami panny Barton.

- Ale ja nic nie umiem! - odparła z naciskiem Gretchen.

- Chyba potrafi pani rozmawiać z ludźmi, prawda? - stwierdził z życzliwą kpina. - Byliśmy sobie obcy, ale udało się pani nawiązać ze mną kontakt i teraz jedziemy razem na wycieczkę.

- Udało się, bo na pana wpadłam - przypomniała, a kąciki jej ładnie wykrojonych ust lekko uniosły się w uśmiechu. - To nie jest właściwa metoda nawiązywania znajomości.

- Z pewnością będzie pani znakomitą asystentką - zapewnił, lekceważąco machając ręką.

- Już wspomniałam, że poza hiszpańskim nie znam żadnego obcego języka.

- Nauczy się pani arabskiego.

- Co gorsza, nie jestem muzułmanką - dodał zmartwiona.

- Podobnie jak szejka. - Znowu pochylił się w jej stronę. - Qawi stanowi wyjątkową mieszankę wielu kultur. Mieszkają tam Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie. To scheda po epoce kolonialnej. Niewątpliwie poczuje się tam pani jak w domu - zapewnił. - W ciągu ostatnich dwu lat tamten szejkanat stał się sojusznikiem zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Wielkiej Brytanii. - Uśmiechnął się ironicznie. - Korzystne umowy, zapewniające stałą dostawę ropy naftowej, to wielka pokusa dla demokratycznych państw. Nowo odkryte złoża przysporzyły Qawi wielu przyjaciół!

- Dzięki panu zaczynam myśleć, że bez trudu dam sobie radę - odparła ze śmiechem.

- I tak się stanie. - Zmarszczył brwi i uważnie przyglądał się owalnej buzi.

Gretchen z całą pewnością mogła się podobać, chociaż trudno było ją nazwać prawdziwą pięknoscią. Miała regularne rysy, duże oczy o miłym wyrazie oraz śliczne usta. Patrząc na nie, spochmurniał, pomyślał bowiem o doznaniach, które na zawsze zostały mu odebrane. Zachwyciły go jasne włosy, z pewnością bardzo długie. Podziwiał ich naturalny platynowy kolor. Ta dziewczyna była podobna do Brianne Martin...

Gretchen także mu się przyglądała. Ciekawe, skąd te blizny na jego twarzy. Dostrzegła je również na dłoni. Zauważył ukradkowe spojrzenie i dotknął policzka.

- W młodości miałem wypadek - wyjaśnił spokojnie. - Pod ubraniem też są blizny. Lepiej, że ich nie widać - dodał cichym, chrapliwym głosem, zdradzając, że był to dla niego temat drażliwy.

- Proszę wybaczyć, że się panu tak przyglądam - odparła przepraszająco. - Wcale pana nie szpecą, raczej upodabniają do pirata.

- Ależ *mademoiselle!* - Zdziwiony, zamrugął powiekami.

- Trzeba by tylko zasłonić oko przepaską, dodać szablę i gadającą papugę - ciągnęła żartobliwie. - No i ubrać pana w białą koszulę z żabotem, zmysłowo rozpiętą do pasa.

Czarne oczy rozjaśniła szczerą radość. Mężczyzna wybuchł śmiechem, który w uszach Gretchen zabrzmiał jak muzyka. Odniosła wrażenie, że rzadko bywa równie pogodny.

- Aha, jeszcze statek z czarnymi żaglami - dodała.

- Do swoich przodków zaliczam Riffiana Berbera - wyjaśnił. - Nie można go jednak nazwać piratem, raczej korsarzem i buntownikiem.

- Wiedziałam! - tryumfowała, spoglądając w ciemne oczy. Wstrzymała oddech, pierwszy raz w życiu ogarnęło ją dziwne oszołomienie. Przy tym mężczyźnie wreszcie poczuła się jak prawdziwa kobieta. - Umie pan jeździć na wielbłądzie? - spytała nagle z zaciekawieniem.

- Czemu to panią interesuje? - odparł, więc bez słowa wskazała mężczyznę ze stadkiem wielbłądów, który stał przed jednym z nadmorskich hoteli.

- Chciałabym odbyć małą przejażdżkę, skoro nadarza się sposobność.

- Nie ma siodeł - uprzedził, gdy kierowca zaparkował i wysiadł, żeby otworzyć im drzwi. Popatrzyła na swoje szare spodnie i sandały.

- Brak także strzemion, prawda?

- Racja.

- Jakie śliczne! - Spojrzała tęsknie na wielbłądy.

- Przypominają konie na szczydłach.

- Świętokradztwo! - oburzył się. - Jak pani może porównywać zwykłe juczne zwierzę do naszych cudownych koni rasy arabskiej!

- Jeździ pan konno? - spytała, unosząc brwi i spoglądając na niego.

- Naturalnie. - Z lekceważeniem popatrzył na garbate „okręty pustyni”. - Rzecz jasna, nie w garniturze.

- Ten był od Armaniego, ale nie warto było o tym dyskutować.

Gretchen położyła dłoń na jego ramieniu. Rzadko czuła potrzebę, żeby kogoś dotknąć, ale tym razem odniosła wrażenie, że chce i może sobie na to pozwolić. Ten mężczyzna nie był już obcy, chociaż poznali się tak niedawno.

- Bardzo proszę. Nie chodzi mi o długą przejażdżkę. Po prostu chcę wiedzieć, jak to jest.

Utkwiła w nim błagalne spojrzenie zielonych oczu, które było dla niego jak rozkoszna pieszczota. Dłoń Gretchen dotykała tylko ubrania, a nie skóry, lecz mimo to gdy przez materiał poczuł miłe ciepło, zabrakło mu tchu i przez całą jego potężną, wysoką postać przebiegło osobliwe drżenie.

- Zgoda - powiedział nagle i cofnął się przed jej dotknięciem. Odsunęła dłoń, jakby się oparzyła. Domyśliła się, że tamten gest był mu niemiły. Powinna o tym pamiętać. Obserwowała go z uśmiechem, gdy ruszyli w stronę poganiacza wielbłądów.

- Dzięki! - powiedziała.

- Spadnie pani i złamie sobie kark - zaczął zrzędzić z posępną miną, ale Gretchen tylko machnęła ręką.

Przez chwilę tłumaczył coś wielbłądnikowi w dziwnym, niezrozumiałym dla niej języku, uśmiechając się i gestykulując z równym ożywieniem jak tamten. Obaj spoglądali na nią z rozbawieniem.

- Proszę tutaj podejść - zwrócił się do Gretchen wysoki mężczyzna, ruchem głowy wskazując niewielki drewniany stopień obok dobrze utrzymanego wielbłąda. Pojedynczy garb okryty był derką, na którą zarzucono cienkie plecione sznury, służące jako wodze.

- Zastanawiam się, czy... Ojej!

Towarzysz podróży chwycił ją w objęcia i uśmiechnął się, widząc jej zdumienie. Posadził ją na wielbłądzie, a w dłonie wsunął plecione wodze.

- Proszę mocno ścisnąć nogami garb - tłumaczył. - Poleciałem poganiaczowi, żeby poprowadził wielbłąda tą stromą uliczką i z powrotem. Żadnego galopu - zapewnił.

Gretchen wyjęła z przymocowanego do paska futerału aparat fotograficzny i podała wysokiemu mężczyźnie.

- Mógłby pan...

- Naturalnie - odparł z uśmiechem.

Zachichotała, gdy wielbłąd ruszył, bo zabawnie kołysał się na boki. Pomachała motocyklistom, którzy ją minęli, gdy poganiacz wolno prowadził wielbłąda tam i z powrotem wąską, brukowaną ulicą. Wysoki mężczyzna obserwował ich przez cały czas i robił zdjęcia. Nie wyglądał na człowieka pracującego w terenie. Trudno wyobrazić go sobie na wielbłądzie. Sprawiał wrażenie biznesmena. Na pewno obawiał się, że uliczny pył i niezbyt czysta sierść wielbłąda ubrudzą elegancki garnitur. Gretchen marzyła o dzielnym mężczyźnie, przemierzającym bezkresną pustynię na ognistym rumaku. Jej towarzysz podróży był wprawdzie przemity i bardzo opiekuńczy, ale nie wytrzymywał porównania z bohaterskim szejkiem, postacią z powieści wydanej w roku 1920, której ekranizacją był film z Rudolfem Valentino. Ogarnęło ją pewne rozczarowanie, więc skarciła się za te marzenia i ścisnęła mocniej wodze, podskakując rytmicznie na grzbiecie wielbłąda.

Gdy wrócili przed hotel, poganiacz zachęcił wielbłąda, aby ukląkł, a wysoki mężczyzna podał mu aparat i powiedział cicho kilka słów. Pomógł Gretchen zsiąść i nie wypuszczając jej z objęć, wskazał na obiektyw.

- Proszę o uśmiech - rzucił tonem nie znoszącym sprzeciwu i zajrzał w ogromne, zdziwione oczy.

Rozpromieniła się natychmiast. Serce biło jej mocno, usta były rozchylone, a ich kąciaki lekko uniosły się w górę. Ogarnęła ją dziwna tęsknota.

- Udana przejażdżka? - zapytał.

- Cudowna - odparła zdyszana, a potem z ociąganiem spojrzała mu w oczy. Wyczuwała pod palcami aksamitną gładkość tkaniny garnituru. Czarne oczy wpatrywały się w nią uporczywie. Objęta mocnymi ramionami, oddychała z trudem.

Poczuł jej oddech na policzku i nachmurzył się, mocno zmieszany. Puścił ją i podszedł do wielbłądnika, żeby odebrać aparat fotograficzny. Speszona Gretchen obserwowała go uważnie. Miała wrażenie, że popełniła straszliwą gafę, ale nie miała pojęcia, czym zawiniła. Wkrótce podszedł do niej i oddał aparat z uprzejmym uśmiechem, jakby nic nie zakłóciło radości, którą sprawiła jej pierwsza w życiu przejażdżka na wielbłądzie.

- Ta uliczka prowadzi do grotty. Chodźmy. Ruszyła przodem, a wysoki mężczyzna szedł za nią.

Przed wejściem do Groty Herkulesa stał niewielki stragan. Przystanęła, żeby popatrzeć na płaski kamienny krążek, pewnie wycięty z jakiejś skamieliny. Zaciekawiona, wzięła do ręki to aksamitne w dotyku cudo.

- Pierwsza pamiątka? Gzy mógłbym... - wymamrotał.

- Ale...

- Drobiazg. - Wymownym gestem przerwał jej protesty, ruchem głowy wskazując wejście do jaskini. - Proszę się nie spieszyć, bo jest na co popatrzeć. Jaskinia kiedyś była zamieszkana, a miejscowy wapień służył do wytwarzania kamieni młyńskich i żaren. Zachowały się ślady wyrobisk.

Weszła do grotty, w której powietrze było chłodne i wilgotne. Stąpając po kamiennej podłodze, wmieszała się w tłum turystów. Otwór w skale, wychodzący na Morze Śródziemne, kształtem przypominał Afrykę, a ściana miała okrągłe zagłębienia. Gretchen przypomniała sobie o kamieniach młyńskich. Nie wypuszczając z małych dłoni pierwszej pamiątki, sięgnęła po aparat i fotografowała osobliwości grotty, a gdy przystojny towarzysz podróży akurat nie zwracał na nią uwagi, także jemu zrobiła kilka zdjęć. Od razu go polubiła, i to dużo bardziej, niż kogokolwiek do tej pory. Tylko pomyśleć, że nie знаła nawet jego imienia!

Podeszła bliżej. Wpatrzony w fale, stał u wejścia do jaskini, z rękoma wciśniętymi w kieszenie. Twarz miał zamyśloną i ponurą. Kiedy stanęła obok niego, odwrócił się z uprzejmym uśmiechem.

- Nie wiem, jak się pan nazywa - powiedziała cicho. Zupełnie się rozpogodził, a w jego oczach błysnęły wesołe iskierki.

- Proszę się do mnie zwracać *monsieur* Souverain odparł cichym, głębokim głosem.

- Pan Władca? - Roześmiała się. - A czy pan Władca ma jakieś imię? A może to pilnie strzeżona imperialna tajemnica? - wypytywała żartobliwie.

Zachichotał, szczerze rozbawiony, a potem powiedział z lekkim ukłonem:

- Philippe.

- Philippe - powtórzyła z uśmiechem, a czarne oczy jeszcze bardziej poweselały.

Wydał usta i zaproponował, energicznie ruszając w stronę wyjścia:

- Jedźmy dalej. Chce pani dzisiaj zwiedzić Asilah, prawda?

- Oczywiście - odparła skwapliwie, a potem dodała z wahaniem i obawą: - Mam nadzieję, że nie odciągnęłam pana od ważnych zajęć.

- Na dziś i jutro nie zaplanowałem żadnych ważnych zajęć - zapewnił i wybuchł śmiechem. - Tak samo jak pani, mam teraz krótkie wakacje.

- Domyślam się, że bardzo rzadko pozwala pan sobie na taki luksus - oznajmiła, spoglądając pod nogi, kiedy wąską, kamienistą ścieżką ruszyli pod górę, gdzie na parkingu czekało auto.

- Czemu pani tak sądzi?

- Zachowuje się pan jak typowy człowiek interesu - odparła, nie podnosząc wzroku. - Moim zdaniem przyjechał pan do Tangeru, żeby spotkać się z ważnymi osobistościami i sfinalizować dochodową transakcję.

- Zgadza się - przyznał - lecz sprawa upadła, zanim wysiadłem z samolotu. Oczywiście pracuję już nad kolejnym projektem i mam nadzieję, że tym razem szczęście mi dopisze.

Nie spostrzegła, że Philippe obserwuje ją ukradkiem oczyma rozświetlonymi szczerą radością. Nim wsiedli do hotelowego mercedesa, rozejrzała się wokół i na moment wstrzymała oddech.

- Kiedy opuszczałam Teksas, nie miałam pojęcia, czego się spodziewać - wyznała szczerze. - Tu jest wspaniale. Ludzie są serdeczni i uprzejmi. Czuję się jak u siebie w domu, choć stroje są inne, a wokół słychać głównie arabski lub berberyjski. - Popatrzyła na niego, nie zamykając drzwi auta.

- Niewiele pani wie o Maroku, prawda? - spytał uprzejmie, a Gretchen znów się roześmiała.

- W telewizji mówi się wyłącznie o rozmaitych skandalach i aferach politycznych. Najlepszym pretekstem, żeby podać kilka ciekawostek dotyczących innego państwa, jest udany zamach na ważną osobistość.

- Tak przypuszczałem - mruknął, więc dodała z uśmiechem:

- Właśnie dlatego Maggie i ja postanowiłyśmy spędzić wakacje w Maroku. Chciałyśmy zobaczyć, jak tu się żyje. - Umilkła na chwilę, a potem dorzuciła, wyciągając rękę: - Skoro mamy już za sobą oficjalną prezentację, muszę powiedzieć, że bardzo się cieszę z naszego spotkania, panie Souverain.

- Cała przyjemność po mojej stronie, droga Gretchen. - Ujął jej dłoń, całując delikatnie i czule, uprzejmie przy tym spoglądając w zielone oczy.

W jego ustach pospolite imię zabrzmiało dziwnie tajemniczo i obco. Gdy musnął ustami ciepłą skórę, ogarnęło ją zakłopotanie, ale było to przyjemne uczucie, chociaż pod wpływem łagodnej pieszczoty przebiegł ją dreszcz. Trochę zbyt pospiesznie cofnęła dłoń, wybuchając śmiechem, aby pokryć zmieszanie. Philippe milczał, póki nie wsiedli do auta, obserwując ją z coraz większym zainteresowaniem. Wydawała się spłoszona, więc uznał, że trzeba rozładować atmosferę. Uśmiechnął się niefrasobliwie.

- Chce pani poznać historię Tangeru?

- Z przyjemnością - odparła.

- Pierwsi zjawili się tutaj Berberowie - zaczął z ożywieniem, zakładając nogę na nogę.
- Ten dzielny koczowniczy lud...

Jechali szosą do Asilah, mijając wytwórnice korka i gaje oliwne. Gretchen wybuchła śmiechem na widok figlujących wielbłądów, które bawiły się w falach nad brzegiem oceanu.

- Chętnie pływają i wygrzewają się w słońcu - tłumaczył cierpliwie Philippe - niczym turyści podczas wakacji.

- Są miękkie i tłusciutkie, ale mniejsze, niż sądzi - łam. W filmach wyglądają inaczej.

- Widziała pani film „Wicher i lew”? - zapytał niespodziewanie. - Jedną z głównych ról gra Sean Connery.

- O tak, wiele razy - przytaknęła.

- Pałac, w którym mieszkał Raissouli, stoi właśnie w Asilah.

- A zatem to autentyczna postać? - Gretchen wstrzymała oddech.

- Zgadza się. Był słynnym rewolucjonistą, próbował obalić monarchię, ale mu się nie udało - wyjaśnił Philippe trochę ironicznie.

- Naprawdę? Byłam przekonana, że opowieść została wymyślona.

- Wiele wątków to istotnie fikcja - odparł - ale film bardzo mi się podobał. W moim kraju zagraniczna kinematografia święci prawdziwe tryumfy.

- Nie byłam we Francji - powiedziała Gretchen, przekonana, że rozmawia z Francuzem. - Na pewno jest tam bardzo pięknie.

- Cudowny kraj z bogatą historią - zgodził się, umyślnie nie wyprowadzając jej z błędu - jak większość europejskich państw. Kasbah Tanger jest warownią z czasu rzymskich podbojów. Już wcześniej była tam ważna twierdza.

- Jakie to pasjonujące - odparła z uniesieniem. - Ciekawi mnie każdy stary kamień, zabytkowy dom, sklepik, no i ludzie tłoczący się w ciasnych zaułkach. To naprawdę baśniowa kraina.

- Bardzo panią interesują odległe terytoria. - Zmrużył czarne oczy.

Gretchen spojrzała na niego i wyznała szczerze:

- Pewnie dlatego, że dotąd nie opuszczałam Teksasu. Nawet do Meksyku nie udało mi się pojechać. Nigdzie nie byłam i nagle podróż do Afryki! - Oczy jej zabłyśły. - Mam wrażenie, że to sen.

- Muszę przyznać, że czuję tak samo - odparł z roztargnieniem, a potem uśmiechnął się i utkwiał wzrok w szybie auta, obserwując nadmorski krajobraz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Asilah kipiało życiem. Gretchen i Philippe dowiedzieli się od przewodnika, że dopiero po roku 1972 miasto wyszło poza stare mury. Teraz było za nimi wiele sklepów, wznoszono nowe budynki. Gdy krążyli, szukając parkingu, widzieli niewielkie wózki zaprzężone w osły, którymi ludzie przemieszczali się z jednej strony miasta na drugą. Obok kasbah, nad zatoką, biegła trzypasmowa arteria, a na chodniku rozlokowały się uliczne kawiarenki. Bojo objaśnił, że muszą okrążyć starówkę i pójść ku szosie. Tam właśnie znajdował się słynny jarmark pod gołym niebem, który dawniej odbywał się raz w tygodniu.

- Dzień targowy - powiedział Philippe, delikatnie biorąc Gretchen pod rękę, gdy szli zatłoczoną ulicą. Roilo się tam od wózków i aut. - Niezapomniane przeżycie.

Miał rację. Na targu z zachwytem podziwiała wspaniałe owoce i warzywa, zioła i przyprawy, wszystko znakomitej jakości i prześlicznie wyeksponowane. Zachwycała się egzotycznymi specjałami, napojami, strojami i nakryciami głowy. Widziała też poro wyrobów ze skóry, a ponadto żywe kurczęta i króliki wystawione na sprzedaż. Przy skraju targowiska, wśród beładnie ustawionych namiotów, ludzie oraz osły i wielbłądy czekali, aż przyjdzie czas, by powrócić do maleńkich wiosek.

- Co za jakość! - zawołała Gretchen. - Mój Boże, nawet w naszych hipermarketach nie ma takiego wyboru. Brak jedynie lad chłodniczych.

- Racja. - Philippe wybuchł śmiechem. - Ale okoliczni mieszkańcy na pewno szybko wykupią cały przywieziony towar.

Tłumaczył cierpliwie, jak się nazywają i do czego są używane rozmaite przyprawy oraz różne gatunki oliwy. Potem Bojo poszedł z nimi w stronę miasta.

- Może coś do picia? - zaproponował Philippe.

- Wiele bym dała za ogromną butlę zwykłej wody - odparła zdyszana, sięgając do kieszeni po chusteczkę, żeby wytrzeć spocone czoło.

- Ja również - wyznał pogodnie.

Naradził się z przewodnikiem i obaj zaprowadzili ją do kawiarenki, gdzie zamówił dla niej wodę mineralną, a dla siebie miętową herbatę. Zapytał, czy się na nią nie skusi, ale odmówiła, zostając przy wodzie. Trochę się bała próbować napoju, który nie jest podawany w szczelnie zamkniętej butelce.

- Przed wyjazdem z Maroka koniecznie powinna pani zamówić napar z mięty - poradził. - To miejscowa specjalność.

- Obiecuję, ale teraz wolę się napić zimnej wody.

- Doskonale panią rozumiem. - Podał jej chłodną butelkę i sięgnął po swoją filiżankę. Podeszli do stolików, umieszczonych pod miejskimi murami w cieniu rozłożystego drzewa. Przewodnik rozmawiał z właścicielem, który był jego znajomym. - Ten placzyk należy do kawiarni - wyjaśnił Philippe. - Stali bywalcy płacą przy kasie i siadają tutaj.

- Urocze miejsce - przyznała Gretchen, obserwując przechodzących obok ludzi w sportowych ubraniach. - Widzę tu sporo turystów.

- Owszem. W Asilah trwa właśnie festiwal kulturalny. Sklepy na starówce mają wielu klientów, a miasto stara się pokazać z jak najlepszej strony. Impreza przyciąga turystów z całej Europy, Afryki... praktycznie z całego świata.

- Mówił pan, że znajduje się tu pałac słynnego rewolucjonisty - przypomniała.

Kiwnął głową, dopił miętową herbatę i podszedł do baru, żeby oddać filiżankę oraz spodek. Gretchen była zdziwiona, ponieważ większość turystów dostawała zwykłe naczynia jednorazowego użytku. Obserwując Philippe'a, stwierdziła, że właściciel lokalu odnosi się do niego z wyjątkową kurtuazją. Gdy zaczęła się rozglądać, dostrzegła stojących niedaleko mężczyzn, z wyglądu obcokrajowców. Nosili okulary przeciwsłoneczne i ciemne garnitury. Gdy Bojo zaparkował, zatrzymali się tuż za hotelowym mercedesem. Ciekawe, co ich tu sprowadziło. Puściła wodze fantazji i uznała, że to ochroniarze ważnej osobistości, podróżującej incognito. Obiecała sobie, że po powrocie do kraju dowie się od brata, jak funkcjonują agencje ochrony. Nagle przypomniała sobie, że nie wraca do domu, bo postanowiła lecieć do Qawi, i posmutniała.

- Pani się martwi - usłyszała nagle głos Philippe'a, który stał obok i uważnie ją obserwował.

- Przepraszam. - Zdobyła się na wymuszony uśmiech i wstała, sięgając po butelkę z niedopitą wodą. - Myślałam o nowej posadzie. Jestem bardzo ciekawa, czy ją dostanę.

- I oczywiście martwi się pani na zapas - powiedział z naciskiem, a Gretchen skrzywiła twarz.

- Nie lubię używać cudzych biletów lotniczych i podawać się za kogoś innego, nawet gdybym miała dzięki temu przekonać szejka, żeby mnie zatrudnił.

- Moim zdaniem niepotrzebnie się pani denerwuje. Co do biletów, recepcjonista chętnie zmieni rezerwację, a bilet zostanie wystawiony na właściwe nazwisko. Mustafa albo nasz Bojo... - Wskazał na przewodnika, który nadal był pogrążony w rozmowie z właścicielem lokalu. - Jeden z nich na pewno zawiezie panią na lotnisko i odprowadzi do poczekalni.

- Naprawdę?

- W Stanach obyczaje są inne? - Uśmiechnął się, widząc na jej twarzy ogromne zdziwienie.

- Raczej tak - odparła bez przekonania.

- Co kraj to obyczaj - odparł rzeczowo. - Przekona się pani, że tutaj życie codzienne wygląda odmiennie niż w innych częściach świata.

- Już wiem - odparła i roześmiała się cicho. - Nie jestem pewna, czy to rozpieszczanie wyjdzie mi na dobre. Zwykła sekretarka z kancelarii adwokackiej nie zasługuje na takie względy.

- Moim zdaniem Gretchen Brannon wcale nie jest zwyczajna.

- Cóż pan wie o kobietach z Teksasu?

- Mam nadzieję, że wkrótce ta luka w mojej edukacji zostanie zapełniona - odparł z galanterią. Oczy mu zabłyśły, gdy zacytował kwestię ze starego filmu Charlesa Boyera: - Zwiedzimy razem kasbah?

- Ja też jestem kinomanką! Dzięki filmom poznawałam świat, dlatego sądziłam, że jest tylko jeden kasbah. Pierwszego dnia po przyjeździe miejscowy kierowca wyprowadził mnie z błędu.

- Doskonale pamiętam filmy Charlesa Boyera i Humphreya Bogarta - odparł z roztargnieniem. - Maroko wygląda tam zupełnie inaczej.

- Owszem. To już przeszłość.

- Świat się zmienił, ale pewne zjawiska pozostały - odparł.

Wziął ją pod rękę i poprowadził ku bramie starówki. Krążyli w labiryncie wąskich uliczek i niewielkich sklepików. Philippe pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Zauważyła pani tego mężczyznę w beżowym garniturze i okularach przeciwsłonecznych? Tylko niech się pani nie ogląda!

- Tak. - Kątem oka dostrzegła charakterystyczną sylwetkę.

- Widzi pani tamtych ludzi w ciemnych garniturach? Też noszą okulary przeciwsłoneczne.

- Już wcześniej ich zobaczyłam. - To są ochroniarze.

- Naprawdę? - Zaciekawiona, wstrzymała oddech. - Dla kogo pracują? Kim jest ten facet w beżowym ubraniu?

- Kto wie? - Philippe zabawnie wyduł wargi. - Może zatrudnił go jakiś saudyjski książę? Wielu z nich ma pod Tangerangem swoje posiadłości.

- Kiedy tu jechaliśmy, Bojo pokazał nam bramę jednej z nich. Pilnowali ją uzbrojeni strażnicy.

- Owszem. Ci bogacze także lubią czasami trochę pozwiedzać. Wczoraj rozpoznałem w mieście byłego prezydenta Hiszpanii.

- My również natknęliśmy się na jakiegoś ważniaka! Do tej pory nie widziałam żadnego dygnitarza, ani byłego, ani obecnego - entuzjazmowała się Gretchen, natomiast Philippe utkwiał wzrok w kamiennym chodniku i milczał. - Tamci ochroniarze są pewnie uzbrojeni, co?

- Noszą pistolety maszynowe uzi kaliber dziewięć milimetrów i doskonale wiedzą, jak i kiedy się nimi posługiwać.

- O Boże! - Na moment wstrzymała oddech. - Mam nadzieję, że nie dojdzie do zamachu.

- Ich podopieczny jest tutaj incognito - Nikt go nie rozpozna - zapewnił Philippe. - W tych stronach często przebywają notable z krajów basenu Morza Śródziemnego. Bardzo się starają, żeby nikt ich nie rozpoznał, i dlatego wtapiają się w tłum.

- Jeśli wypatrzy pan szejka z Qawi, proszę mi go wskazać - powiedziała żartobliwie. - Mogłabym wtedy rzucić się do jego stóp i błagać o łaskę, nim zjawię się w jego stolicy jak niechciana przesyłka.

- Zapewniam panią, że nawet poddani nie potrafią go rozpoznać, kiedy jest w garniturze. - Uśmiechnął się, wkładając przeciwsłoneczne okulary.

- Podobno jest zboczony - powiedziała śmiało, wciąż zaniepokojona obyczajowymi rewelacjami, usłyszanymi od Maggie.

Philippe zatrzymał się i popatrzył na nią, ale z oczu ukrytych za ciemnymi okularami nic się nie dało wyczytać.

- Proszę? - rzucił chłodno.

- Moja przyjaciółka Maggie twierdziła, że sporo się mówiło o jego romansach z młodymi kobietami, ale to podobno zwykłe plotki, które zresztą sam puścił w obieg.

- To prawda - odparł rzeczowo, a po namyśle dodał: - Proszę mi wierzyć, ze strony szejka nic pani nie grozi. Jestem przekonany, że pod jego opieką będzie pani rozpieszczana jak nigdy dotąd.

- Oby pan miał rację. - Westchnęła głęboko, a potem krzyknęła z zachwytem: - Proszę spojrzeć na te piękne chusty!

Podbiegła do wieszaka stojącego przy drzwiach sklepu. Na widok czarnego szala ozdobionego frędzlami i maleńkimi perełkami po prostu zaniemówiła.

- Takimi chustami Marokanki osłaniają głowy, ilekroć wychodzą z domu. - W Qawi nazywamy je hijab. Podobają się pani?

- Na pewno są bardzo drogie - odparła, spoglądając na niego. - Tylko niech pan nic nie kupuje. Nie stać mnie na taki wydatek.

- Oho, wreszcie odezwała się w pani amerykańska niezależność! - Uśmiechnął się szeroko. - I bardzo dobrze. - Gardłowym głosem zagadał do sprzedawcy w nieznanym Gretchen języku, popatrzył na nią i dodał: - Chusta kosztuje pięćdziesiąt sześć dirhamów.

- Pięćdziesiąt sześć...

- Siedem dolarów amerykańskich - przeliczył natychmiast.

- Biorę! - westchnęła uradowana.

Philippe pomógł jej odliczyć garść monet, a potem wsunął pod ramię zapakowany przez sprzedawcę szal i poprowadził Gretchen przez labirynt ciasnych zaułków. Roześmiana, zawzięcie targowała się w małych sklepikach o skromne kolczyki ze srebra i srebrną bransoletkę wysadzaną turkusami.

- Przed nami pałac Raissouli - powiedział, gdy szli brukowaną uliczką.

Prześliczna budowla zapierała dech w piersiach. Ceramiczna dekoracja wnętrza - biel połączona z wieloma odcieniami intensywnego błękitu - oraz mozaiki o wyjątkowej urodzie, kontrastowały ze śnieżnobiałą elewacją. W środku niewiele było do oglądania, ale zaintrygowana Gretchen podeszła do ściany i dotknęła mozaikowych kafelków.

- Wszystkie mają geometryczne desenie - mruknęła zachwycona.

- Muzułmanów obowiązuje zakaz przedstawiania wzorów nawiązujących do postaci ludzkich i zwierzęcych - tłumaczył Philippe. - Dlatego posługują się wyłącznie motywami geometrycznymi.

- Jakie piękne wzory - westchnęła. - U nas dominuje beton, szkło, cegła...

- Są u was również drewniane budynki - wpadł jej w słowo.

- Owszem. Stare wiktoriańskie siedziby z rzeźbionymi werandami. Sporo się ich zachowało. Nasz dom na ranczu jest utrzymany w podobnym stylu. Żaden z niego zabytek, ale wygląda ślicznie, gdy jest odmalowany.

Gdy przemierzali słoneczne ulice starówki, kierując się ku bramie miasta, Philippe podziwiał lśniąące włosy Gretchen, jasne niczym platyna.

- Rozpuszcza je pani czasami? - zapytał cicho.

- Niechętnie, bo są cienkie i łatwo je potargać - odparła z uśmiechem. - Poza tym gdy jest wiatr, zasłaniają mi twarz, a w Maroku stale wieje.

- Dokąd sięgają?

- Do talii, a nawet trochę niżej. - Spojrzała na niego zdziwiona. - Czemu pan o to pyta?

- Znałem kiedyś Amerykankę, która również miała takie piękne włosy, ale je obcięła. -

Skrzywił się i dodał z ponurą miną: - Domyślałem się, że mąż ją do tego namówił, bo wiedział, że uwielbiam długie włosy.

- Mąż? - rzuciła pytająco, unosząc brwi.

Philippe znów na nią popatrzył. - Mają syna, wkrótce skończy dwa lata. - Domyślałem się, że dała panu kosza. - Nie oświadczyłem się. - Dumnie podniósł głowę dodał zagadkowo: - W przeciwieństwie do tamtego.

- Cóż, pańska strata - odparła żartobliwie, ale nie doczekała się odpowiedzi. Philippe sposepniał i zamknął się w sobie, więc dodała: - Przepraszam. Tamta kobieta wiele dla pana znaczyła, prawda?

- Więcej niż cały ten świat - odparł porywczo. - Niestety, los nie był dla mnie łaskawy. - Patrzył w głąb ulicy niewidzącym wzrokiem.

Odwróciła głowę i kątem oka dostrzegła mężczyznę w beżowym garniturze, rozmawiającego z ubranymi na czarno ochroniarzami. Jeden z nich gestykułował z ożywieniem. Mężczyzna w beżach skinął na Philippe'a, który bez słowa zachęcił Gretchen, żeby przyspieszyła kroku. Podeszli do ochroniarzy i przewodnika Bojo, który wcześniej przyłączył się do facetów w czerni.

- Musimy natychmiast wracać - wyjaśnił Philippe, nagle zmieniając się w zwierzchnika, który wydaje rozkazy tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Kiedy podeszli do agentów w ciemnych ubraniach i mężczyzny w beżach, uważanego przez Philippe'a za bliskiego współpracownika saudyjskiego arystokraty, tamten wcale nie zadzierał nosa, tylko z uszanowaniem przemówił do niego cichym, niemal przepraszającym tonem.

Philippe rzucił kilka pytań i rozkazów w języku brzmiącym inaczej niż mowa, którą posługiwał się w czasie wędrówki po sklepach. Z niepokojem zerknął na Gretchen i odprowadził ją do samochodu. Poprzedzał ich Bojo, a trzech czujni ochroniarze szli za nimi i po bokach.

Gretchen milczała. Była świadoma, że zrobiło się niebezpiecznie, więc darowała sobie wszelkie komentarze i dotrzymywała kroku pozostałym. Gdy wsiedli do samochodu, pochwyciła szybkie, pełne aprobaty spojrzenie Philippe'a. Faceci w czerni wskoczyli do zaparkowanego w pobliżu auta. Oni również jeździli mercedesem. Wkrótce oba auta włączyły się do ruchu i wyjechały na szosę prowadzącą do Tangeru. Po kilku minutach Gretchen

zorientowała się, że znacznie przyspieszają, bo pędzi za nimi trzecie auto. To z pewnością był pościg.

Wystraszona popatrzyła na Philippe'a, który wyjął z kieszeni telefon komórkowy i rzeczowo tłumaczył coś rozmówcy. Nie rozumiała ani słowa. Rozkazy najwyraźniej skierowane były do kierowcy jadącego za nim auta, które niespodziewanie skręciło i zatara-sowało wąską szosę. Grupa pościgowa z trzeciego samochodu musiała zahamować, żeby uniknąć wypadku. Gdy hotelowy mercedes przyspieszył, z tyłu dobiegł odgłos strzelaniny. Gretchen tak mocno zacisnęła dłonie na plastikowej butelce po wodzie mineralnej, że omal jej nie zgmiotła.

- Wszystko w porządku - zapewnił łagodnie Philippe, choć twarz miał spiętą, a minę ponurą. - Teraz jesteśmy bezpieczni. Nie brak pani zimnej krwi. Gratuluję opanowania - dodał z uznaniem.

- Tamci strzelali! - rzuciła bez tchu.

- Nie do nas - odparł lekceważącym tonem. - Wypadało pomóc młodzieńcowi w bezowym garniturze, bo inaczej doszłoby do porwania. Zapewniam, że marokańska policja zaraz będzie na miejscu i aresztuje napastników.

- Oni byli uzbrojeni! - Gretchen nie dawała za wygraną.

- Owszem, ale znacznie gorzej niż Ahmed i Bruno.

- Kto?

- Ochroniarze. - Roześmiał się.

- Aha, agenci saudyjskiego księcia.

Philippe uniósł brwi i rozpogodził się, jakby usłyszał dobry żart, jednak zrozumiwały tylko dla niego. Odsunął rękaw i popatrzył na zegarek, niewątpliwie markowy i kosztowny.

- Szkoda, że musieliśmy skrócić wycieczkę, ale tak czy inaczej należałoby już wracać, bo mam po południu ważne spotkanie dotyczące interesów. - Uniósł ciemną głowę i spojrzał jej w oczy. - Zje pani ze mną kolację?

- Jeśli naprawdę... To znaczy bardzo chętnie. - Serce biło jej mocno, gdy uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- *Bien*. Zjawię się u pani za kwadrans ósma.

- Doskonale. - Nie przywykła do późnych kolacji, ale hotelowa restauracja dopiero o tej porze serwowała posiłki. Była głodna, więc pomyślała, że zadowoli się przekąskami z lodówki stojącej w pokoju.

- Jadła pani śniadanie?

- Tak - odparła z ociąganiem.

- Pora na obiad. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Czy wie pani, że około piętnastej koło basenu serwowane się przekąski?

- Dzięki za informację. - Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. - Tam przynajmniej widzę, co można zjeść. W restauracji menu jest napisane po francusku, więc kelnerzy muszą mi wszystko tłumaczyć.

- Dziś wieczorem wezmę to na siebie. - Znów sięgnął po telefon, wystukał numer i rzucił kilka słów. Rozmówca odpowiedział natychmiast, a Philippe słuchał uważnie, dodał coś i z westchnieniem przerwał połączenie. - Niedoszli porywacze zostali schwytani.

- Po raz pierwszy spotkało mnie takie przeżycie - powiedziała zduszonym głosem.

- Tak się fatalnie składa, że mieszam je aż nazbyt często - odparł z roztargnieniem. Powiedział coś do hotelowego kierowcy i przewodnika, a ten skinął głową. Philippe usiadł wygodnie i założył nogę na nogę.

- Bojo podrzuci mnie do ambasady, potem zawiezie panią do hotelu i odprowadzi do holu. Poleciałem, by opowiedział recepcjoniście o naszej... przygodzie. Hotelowa obsługa zadba o pani bezpieczeństwo.

Miała wrażenie, że Philippe znów osłaniają niczym cenny klejnot owinięty aksamitem. Tak mało o nim wiedziała, a jednak nie byli sobie obcy.

- Dziękuję - powiedziała, mając świadomość, że to słowo jest niewystarczające, żeby wyrazić, co naprawdę czuje.

- Do incydentu doszło z mojej winy - mruknął ponuro. - Powinienem być ostrożniejszy.

Zbliżali się do grupy wieżowców w centrum miasta. Kierowca zatrzymał auto. Philippe ujął dłoń Gretchen i ucałował ją delikatnie, ani na moment nie odrywając spojrzenia czarnych oczu od jej twarzy.

- Muszę już iść - zapewnił łagodnie. - Proszę się nie martwić. Nic już pani nie grozi. Niebezpieczeństwo minęło. - Odwrócił głowę i znów powiedział coś gardłowym głosem. Kierowca zachichotał i zamiast odpowiedzieć, tylko uniósł dłoń.

Philippe wysiadł z auta i odszedł, nie oglądając się ani razu. Gretchen spostrzegła czarny samochód, który natychmiast podjechał do krawężnika i zaparkował tuż za hotelowym mercedesem. Dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach ruszyli za Philippe'em, niemal deptając mu po piętach. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czemu go pilnują, zamiast chodzić za saudyjskim arystokratą.

- Ci ochroniarze... - zaczęła.

- *Mademoiselle* nie powinna się martwić - zapewnił pogodnie kierowca. - *Monsieur* jest pod dobrą opieką.

- Czy tamci ludzie nie są przypadkiem ochroniarzami saudyjskiego arystokraty?

Po chwili wahania kierowca wyjaśnił z naciskiem:

- On nie jest ich pracodawcą. Pilnują różnych dygnitarzy. I ważnych przedsiębiorców - dodał po chwili namysłu i uśmiechnął się.

- Rozumiem. Dzięki za wyjaśnienia. - Uspokojona, położyła głowę na oparciu tylnej kanapy. Odetchnęła z ulgą, choć nadal była trochę zdziwiona. Cieszyła się, że ma w Maroku dobrego znajomego i nie zamierzała szybko rezygnować z jego towarzystwa.

Bojo zaparkował przed hotelem, wysiadł z mercedesa i odprowadził Gretchen do holu. Gdy po arabsku opowiadał recepcjoniście o niedawnym incydencie, wydawał się jej nieco zmieniony - bardziej skupiony i stanowczy niż przedtem. Dopiero teraz zauważyła, że pod obszerną szatą, chętnie wkładaną przez Marokańczyków, nosił garnitur. Teraz mogła się przyjrzeć dokładniej, więc spostrzegła również kosztowny zegarek na przegubie dłoni oraz sygnet z brylantem na dużym palcu lewej ręki. Bojo wcale nie wyglądał na hotelowego przewodnika, ale gdy do niej podszedł, żeby odprowadzić ją do pokoju, był znów usłużny, pogodny i bardzo uprzejmy. Gretchen zastanawiała się, czy kiedyś przywyknie do szczególnych względów, jakimi ją tu otaczano.

Przejrzała się w lustrze i stwierdziła, że całe jej ciało pokrywa cienka warstwa żółtego piasku. To przez nieustanne wiatry i stale uchylone okna samochodów mających zapewne klimatyzację, której jednak nikt nie włączał. Piasek wciskał się do taksówek, prywatnych aut oraz pomieszczeń. Gretchen wzięła szybki prysznic, żeby zmyć z siebie ten pył. Oszczędzała wodę, która w pustynnym kraju była cennym dobrem.

Ciuchów zabrała niewiele, bo Maggie nalegała, żeby ograniczyć się do jednej podręcznej walizki. Włożyła białe spodnie, jedwabną bluzkę w białe - czerwony deseń i lekkie sandały. Skrzywiła się, patrząc na białą sukienkę w rustykalnym stylu, prostą jak stroje meksykańskich wieśniaczek, uszytą z lekko zmiętego, cienkiego płótna. Nie miała wieczorowej kreacji. Jeśli rozpuści włosy i założy pojedynczy sznur drobnych pereł oraz pasujące do niego kolczyki, być może sprosta wyzwaniu. Obawiała się jednak, że dla Philippe'a towarzystwo zbyt skromnie ubranej dziewczyny okaże się po prostu kompromitujące. Pewnie włoży markowy garnitur, a na jej widok poczuje się zakłopotany. Był na pewno przyzwyczajony do luksusowych kobiet.

Zasmucona poszła nad basen, gdzie ustawiono bufet z przekąskami. Trochę poweselała, widząc turystów w kostiumach kąpielowych, bez skrępowania napełniających

talerze jedzeniem. Rozpromieniła się, gdy kelner powitał ją uśmiechem. Doszła do wniosku, że inni goście także mają niewiele rzeczy, więc nie ma powodu do obaw.

Wybrała szynkę z melonem i cienkie plastry nadziewanego drobiu. Ciekawe, czy mieszkańcom Jacobsville smakowałyby takie przystawki. Sączyła wodę mineralną, którą arabski kelner określił jako „gazującą”, i czuła się niczym prawdziwa sybarytka na wakacjach. Słońce mocno przygrzewało, otoczenie hotelu było przepiękne, wokół kwitły bujnie róże oraz inne kwiaty. Słyszała plusk wody i radosne głosy kąpiących się gości hotelowych. Przy basenie, za szeregiem wygodnych leżaków, stały dwie duże huśtawki z materacami i baldachimami. Usiadła z podwiniętymi nogami na jednej z nich i wkrótce zasnęła.

Śniło jej się, że płynie łódką unoszoną łagodnymi falami, a wiatr rozwiewa rozpuszczone włosy. Policzką dotykała miękkiej, pulsującej rytmicznie poduszki. Westchnęła, przeciągnęła się i...

Gretchen szybko uniosła powieki. Ujrzała wpatrzona w nią czarne oczy i śniadą twarz o dziwnym wyrazie. Dotykała policzką barczystego ramienia, siedząc na kolanach długonogiego mężczyzny, który kołysał się na huśtawce. Przez moment patrzyli na siebie bez słowa w blasku zachodzącego słońca.

- Na szczęście drzemała pani w cieniu - powiedział głosem, w którym wyraźniej niż przedtem pobrzmiwał obcy akcent. - Na południu udar słoneczny może się skończyć tragicznie.

- Przekąski były pyszne, a po jedzeniu ogarnęła mnie senność - odparła zduszonym głosem.

Philippe musnął jej szyję i zerknął na ładne usta, a potem odwrócił wzrok i popatrzył na morze.

- Niewiele sypiam - powiedział cicho. - Dręcą mnie senne koszmary.

- Jakie? - zapytała.

Była zdziwiona, bo w jego objęciach czuła się wspaniale, chociaż powinna być nerwowa i zakłopotana. Przecież to obcy człowiek. Znali się tak krótko...

- Śni mi się wojna i trupy, słyszę krzyk śmiertelnie przerażonych, niewinnych ludzi - odparł, kładąc jej dłoń na swojej marynarce i gładząc palce o krótkich paznokciach. Z zaciekawieniem patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Pan nie pochodzi z Francji...

- Nie - odparł, pochylając głowę. Znowu patrzył jej w oczy.

- Więc skąd?

Ręka dotykająca jej szyi przesunęła się w górę, a kciuk dotknął ust.

- Nie teraz, Gretchen - powiedział cicho. - Za wcześnie na całą prawdę. Pozwól nam trochę pofantazjować.

- Cóż to za fantazje rodzą się w twojej głowie? - spytała z nieśmiałym uśmiechem, tak samo jak on zapominając o formach grzecznościowych.

Delikatnie przesunął kciukiem po jej ustach.

- Całkiem niewinne. - Roześmiał się z goryczą. - Nie mogę sobie pozwolić na inne.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście. I bardzo dobrze. - Uśmiechnął się znowu, tuląc ją w ramionach jak małego kotka. Pachniała orchideami. Musnął palcem zarumieniony policzek, prosty nos i cienkie brwi, jakby szkicował jej portret. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia trzy - odparła natychmiast.

Palcem wskazującym przesunął po jej rozchylonych ustach, dotykając najpierw górnej, a potem dolnej wargi. Z przyjemnością obserwował reakcję Gretchen. Czuł na skórze ciepły, urywany oddech. Źrenice miała rozszerzone. Ogarnięty podnieceniem, mimo woli napiął mięśnie, przeklinając siebie i swój los.

- Co czujesz, gdy ogarnia cię pożądanie? - zapytał szorstko. - Jesteś uległa? A może wolisz drapać i gryźć... - Przerwał, bo poczerwieniała z oburzenia, a potem odepchnęła go i zerwała się na równe nogi. Zrobiła krok do tyłu, z trudem łapiąc powietrze.

- Nie wiem, z jakimi kobietami miałeś przedtem do czynienia... - Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, i odwróciła wzrok, czując na sobie jego badawcze spojrzenie. - Zapewniam cię jednak, że ze mną ten numer absolutnie nie przejdzie.

- Jaki numer? - zapytał, kładąc łokcie na oparciu huśtawki.

- Nie interesują mnie przelotne romanse - powiedziała cicho, spoglądając mu w oczy. - Nie śpiam z mężczyznami, których ledwie znam. Jeżeli byłeś taki miły wyłącznie po to, żeby zaciągnąć mnie do łóżka, lepiej poszukaj dziewczyny o bardziej liberalnych poglądach. Gdy w końcu oddam się mężczyźnie, będzie to mój mąż i nikt inny. Koniec, kropka.

Gorycz i szorstkość natychmiast go opuściły. Najpierw popatrzył na nią z jawną ciekawością, a potem z bezmiernym zachwytem. Rozchmurzył się, aż wreszcie wybuchł śmiechem.

- Proszę bardzo, możesz powiedzieć, że jestem pruderyjna - zachęcała ironicznie. - Pewnie uważasz, że mam dziewiętnastowieczne poglądy. Takie uwagi puszczam mimo uszu. Już je słyszałam.

- Oto głos rozsądku w świecie ogarniętym szaleństwem - mruknął półgłosem. - Przeczuwałam, że jesteś inna niż większość Amerykanek - dodał cicho.

- Uchodzę za relikwt epoki wiktoriańskiej - przyznała niechętnie.
- Nie chodzi mi o przelotny romans, Gretchen. - Łagodnym ruchem wziął ją za rękę.
- Naprawdę? - spytała z wahaniem.

Philippe patrzył na jej małą dłoń, przeklinając kaprys losu, przez który jako mężczyzna już się nie liczył. Głaskał smukłe palce i zastanawiał się, jak postąpić. Mógł odesłać Gretchen do Stanów. Dla niej byłoby to najlepsze rozwiązanie. Ale zapadła mu w serce i przywróciła chęć do życia. Potrafiła go rozśmieszyć i dzieliła się z nim swoją pogodą ducha, dzięki czemu znów patrzył na świat z zachwytem i ciekawością, choć od dawna nie doznawał takich uczuć. Minęły całe dwa lata. Nie przypuszczał, że ogarnie go znów przyjemne ożywienie. Skoro tyle się zdarzyło w tak krótkim czasie, czego można się spodziewać, gdy poznają się lepiej? Twarz mu się nagle skurczyła. Jak Gretchen zareaguje, gdy pozna jego smutną tajemnicę? Czy będzie się nad nim litować? A może ogarnie ją odraza? Jak by się czuł, gdyby łagodne, zielone oczy spojrzały na niego z obrzydzeniem? Na jego twarzy malowała się rozpacz.

- Nie patrz na mnie w ten sposób - powiedziała zatroskana. - Nawet jeśli masz poważne kłopoty, z czasem wszystko się ułoży. Cuda się zdarzają jedynie tym, którzy w nie wierzą, Philippe.

- Skąd wiesz, że jest źle?
- Nie mam pojęcia, ale chyba trafiłam w dziesiątkę.

Wstrzymał oddech i mocniej ścisnął jej dłoń. Popatrzył w zielone oczy i uświadomił sobie, że za nic nie pozwoli jej odejść.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mam nadzieję, że cię nie uraziłam? - Cichy głos Gretchen wyrwał go z zamyślenia. -
Wiem, że bywam czasami przesadnie stanowcza. Jeśli zachowałam się arogancko...

Dotknął palcami jej ust i szybko cofnął dłoń.

- Wszystko w porządku. Muszę przyznać, że słuchałem cię z podziwem - odparł z uśmiechem. - Muzułmanki strzegą swej niewinności, ale wśród kobiet z Zachodu ty jesteś prawdziwym wyjątkiem, zważywszy na wiek i środowisko.

- Już mi to mówiono - przytaknęła z ponurą miną i odwróciła wzrok. - Nasi rodzice byli niezwykle wymagający i bardzo religijni - tłumaczyła, bawiąc się guzikiem bluzki. - Domyślałam się, że twoją religią jest islam.

- Nie. Jestem chrześcijaninem, podobnie jak wielu moich rodaków - odparł ku jej ogromnemu zaskoczeniu. Podniosła głowę i pytająco spojrzała mu w oczy, ale nie doczekała się wyjaśnień. Po chwili Philippe dodał z uśmiechem: - W moim kraju jest mniej więcej tyle samo muzułmanów, chrześcijan i wyznawców mojżeszowej wiary. Z tego powodu polityka wewnętrzna wymaga sporo taktu - dodał z uśmiechem.

- Sama się dziwię, że tak mało wiem o tej części świata - przyznała Gretchen. - Byłam przekonana, że przeważają tu Arabowie, wyznawcy islamu, lecz zaraz po przyjeździe dowiedziałam się, że rdzenna ludność Maroka to Berberowie.

- Owszem, dumny lud o wielowiekowej tradycji - dodał Philippe. - Nie znają pisma, swój język i opowieści przekazują ustnie z pokolenia na pokolenie, a swoistym zapisem ich historii są niezwykle dywany.

- Bardzo chciałabym je zobaczyć - wpadła mu w słowo.

- Jutro - obiecał z uśmiechem. - Bojo oprowadzi nas po mieście.

- Widziałam już to i owo, ale nie chciało mi się oglądać dywanów. Nie miałam pojęcia, co tracę - odparła trochę zawiedziona.

Philippe zachichotał.

- Teraz wiesz, że czekają cię wspaniałe wrażenia - zapewnił. - Powinienem zaraz wykonać kilka ważnych telefonów, więc muszę cię opuścić. Spotkamy się wieczorem.

- Zabrałam tylko jedną wyjściową sukienkę - powiedziała. - W meksykańskim stylu, rozszywana koronką...

Philippe zobaczył, że posmutniała i domyślił się, co chce powiedzieć.

- Obawiasz się, że przyniesiesz mi wstyd, bo nie masz wystrzałowej kreacji, prawda?

- Tak - przyznała szczerze.

- Jestem przekonany, że cokolwiek włożysz, będziesz wyglądała czarująco - odparł z łagodnym uśmiechem. - Czekam niecierpliwie na wieczorne spotkanie.

Gdy odwrócił się, usiadła na huśtawce i patrzyła, jak odchodzi. Poruszał się z gracją. Od razu zauważyła tę lekkość i elegancję ruchów, tak typową dla wszystkich mieszkańców Maroka, zarówno Arabów jak i Berberów. Nikt tu nigdy nie pędził na złamanie karku. Ludzie poruszali wolno, żyli i robili interesy bez pośpiechu. Zadawała sobie pytanie, czy ktoś tu choruje na wrzody żołądka. Chyba nikt.

Do wieczornego wyjścia przygotowywała się staranniej niż kiedykolwiek. Minęło kilka miesięcy, odkąd udający wielką miłość Deryl po raz ostatni zaproponował jej randkę. Myślała o nim ze wstydem, a także z niechęcią do samej siebie. Okazała się dla niego łatwą zdobyczą, bo po raz pierwszy w życiu uległa miłosnemu zauroczeniu. Pochlebiało jej, że zainteresował się nią taki przystojny mężczyzna. Przychodził nawet do szpitala i przez kilka ostatnich dni siedział z nią przy łóżku śmiertelnie chorej matki.

Dopiero po pogrzebie zrozumiała, o co mu chodziło. Gdy skończył pracę, przyjechał na ranczo. Zaproponował cichy ślub i obiecał, że pomoże jej zarządzać spadkiem. Kiedy wyjaśniła, że rodzinny majątek jest okropnie zadłużony, sprawiał wrażenie zaskoczonego i nie krył irytacji. Odszedł, mamrocząc, że traci czas, i więcej się nie pokazał. Mark, brat Gretchen, wcześniej próbował ją ostrzec, ale złościła się i nie chciała go słuchać. Po raz pierwszy tak jawnie zainteresował się nią jakiś mężczyzna, więc poczuła się wyjątkowa i kochana. Potem nie mogła sobie darować, że przez swoją naiwność wierzyła Derylowi. Z drugiej strony jednak brakowało jej życiowego doświadczenia. Zaborcza matka wymagała stałej opieki, więc nie było mowy o randkach. I jako nastolatka, i po skończeniu dwudziestu lat, Gretchen bardzo rzadko się umawiała. Były to zazwyczaj jednorazowe „randki w ciemno”. Mark zachęcał siostrę, żeby nie ustępowała we wszystkim matce, która jego zdaniem, mimo ciężkiej choroby, nie miała prawa traktować córki jak swojej własności. Gretchen próbowała uzyskać trochę swobody, na co matka początkowo niby się godziła, a potem rzewnie płakała, ilekroć zostawała sama. Nieliczne „randki w ciemno” musiały Gretchen wystarczyć, aż pojawił się Deryl.

Poznała go w kancelarii adwokackiej. Był klientem pana Kempa, jej szefa, więc mieli wiele okazji do rozmowy. W ten sposób dowiedział się o śmiertelnej chorobie jej matki oraz wielkiej rodzinnej posiadłości. Potem natknęła się na niego w kafeterii, gdzie jadała obiady, i podczas zakupów w supermarkecie. Zapytał, czy pojedzie z nim do Houston na spektakl baletowy, ale odmówiła ze względu na zły stan zdrowia matki. Roześmiał się i zaproponował

piknik na trawniku przed jej domem, żeby starsza pani mogła się do nich przyłączyć i mieć na wszystko oko.

Zawrócił Gretchen w głowie. Oczarował nie tylko ją, lecz także jej matkę, która dzięki niemu w ostatnich dniach była pogodna i zadowolona. Gretchen cieszyła się wykradzionymi chwilami, spędzonymi tylko we dwoje. Były pocałunki i pieszczoty. Deryl oświadczył się wkrótce po śmierci jej matki, więc mimo żałoby i poczucia ogromnej straty, miała nadzieję na szczęśliwą przyszłość.

Piękny sen skończył się w jednej chwili. Wstyd i upokorzenie były tym większe, że po pogrzebie Deryl unikał jej wręcz ostentacyjnie. Znajomi litowali się nad nią, chociaż tego nie chciała. Wtedy zadzwoniła Maggie i zaproponowała wspólną wyprawę do Maroka.

Gretchen otrząsnęła się z ponurych myśli i wróciła do rzeczywistości. Popatrzyła w lustro. Z rozpuszczonymi włosami, które falując lekko spływały na plecy, w białej sukni otulającej miękko smukłą postać, w naszyjniku i kolczykach wyglądała inaczej niż zwykle. Nie była piękną, ale miała ładną buzię i dobrą figurę. Czuła się bezbronna. Oby tylko Philippe nie chciał z nią romansować. Sam twierdził, że nie ma na to ochoty. W przeciwnym razie po raz pierwszy w życiu stałaby się pewnie ofiarą własnych pragnień, do tej pory tak skutecznie tłumionych. Philippe był znacznie przystojniejszy od Deryla i budził w niej pożądanie, którego przy tamtym właściwie nie odczuwała. Było dla niej jasne, że ma do czynienia z mężczyzną wykształconym, mądrym i wyrafinowanym. Pewnie złamał już wiele serc, powinna zatem uważać, bo w przeciwnym razie stanie się kolejną zdobyczą.

Punktualnie za kwadrans ósma usłyszała pukanie do drzwi. Kiedy otworzyła, Philippe, ubrany w doskonale skrojony ciemny garnitur, białą koszulę i krawat z niebieskiego jedwabiu w drobny wzór, czekał na korytarzu. Przypominał wytwornego eleganta z magazynu poświęconego modzie. Gretchen poczuła się bardzo pospolicie w prościutkiej sukience i zwyczajnych butach z taniego sklepu.

Uważne spojrzenie czarnych oczu prześlizgnęło się po jej rozpuszczonych włosach. Philippe patrzył jak zahipnotyzowany. Uniósł rękę i pogłaskał je, rozkoszując się cudownym zapachem i jedwabistą gładkością. Westchnął głośno i mruknął:

- Jak można ukrywać takie чудо!
- Źle się czuję z rozpuszczonymi włosami - odparła z przepaszającym uśmiechem.
- Ale zrobiłaś to dla mnie.
- Tak. - Była zakłopotana.

Philippe delikatnie uniósł jej podbródek i popatrzył w zielone oczy.

- Jesteśmy sobie niemal obcy, a jednak można by pomyśleć, że znamy się tysiąc lat - szepnął, a jej serce uderzyło mocniej.

- Jakie to dziwne. Dziś po południu tak samo o nas myślałam - odparła zduszonym głosem, a Philippe kiwnął głową.

- Los okrutnie igra naszymi uczuciami - odparł zagadkowo, cofnął ramię i dodał z przekornym uśmiechem: - Chodźmy. Wydaje mi się, że argentyńska artystka demonstruje dzisiaj taniec brzucha.

- Bezwstydniku! - Zrobiła krok w jego stronę.

- Wypraszam sobie taki epitet. Doceniam tylko jej talent i urodę. - Wziął Gretchen pod rękę, obejmując palcami ramię poniżej czarnego szala. - Zapewniam, że ty jesteś dla mnie o wiele bardziej interesująca niż jakaś tancerka, choćby nawet była mistrzynią w swoim fachu.

- Dziękuję.

- Wcale nie próbuję ci pochlebić - zapewnił, gdy szli korytarzem wyłożonym dywanami, mijając ozdobione bogatymi draperiami okna wychodzące na wewnętrzne patio. - Już wiem, że tak samo jak ja brzydzisz się kłamstwem.

Gretchen uśmiechnęła się, bo te słowa dodały jej otuchy. Wsiedli do windy i zjechali na parter. Po kilku stopniach zeszli na hotelowy dziedziniec z umieszczoną pośrodku fontanną, ozdobioną pięknymi mozaikami. W restauracji stoliki nakryto obrusami z białego lnu. Serwetki i porcelana były jasnoróżowe, sztucze srebrne, a kieliszki z kryształu. Hotelowi goście zajęli już wiele miejsc, czekając na występ stojącej na estradzie urodziwej brunetki w białej sukni z bajecznie kolorowym haftem. Artystce towarzyszyli dwaj akompaniatorzy z gitarami w rękach.

- Tak naprawdę czeka nas dzisiaj występ śpiewaczki z meksykańskiego półwyspu Jukatan. Ma cudowny głos.

- Znasz ją?

- Nie. - Pokręcił głową. - Słyszałem tylko jej pieśni. Wcześniej byłem w Madrycie. Występowała w moim hotelu.

- Madryt? Sporo podróżujesz?

Przerwali rozmowę, gdy kelner w białej marynarce i bordowym fezie prowadził ich do stolika. Philippe przytrzymał krzesło Gretchen i czekał, aż zajmie miejsce. Dopiero wtedy usiadł. Kelner wręczył im menu i zostali sami.

- Jeżdżę w interesach po całym świecie - wyjaśnił z przyjaznym uśmiechem. - Można powiedzieć, że jestem ambasadorem.

- Pewnie dlatego potrzebujesz ochrony - powiedziała, a zakłopotany Philippe tylko wzruszył ramionami. - Widziałam, jak agenci wchodzili za tobą do budynku. Zapytałam o nich Boja, który wyjaśnił, że mają za zadanie pilnować dygnitarzy i ludzi interesu, którzy odwiedzają Tanger.

- No tak...

- Dzisiejsza wycieczka była cudowna - dodała nagle Gretchen. - Dziękuję za miłe towarzystwo. Po wyjeździe Maggie czułam się samotna. Na pewno dotarła już do Brukseli i czeka na lot do Stanów.

- Znasz Brukselę? - spytał z ciekawością.

- Tak. Stamtąd przyleciałyśmy do Casablanki i dalej do Tangeru. W drodze powrotnej zobaczę Amsterdam. .. - Zawahała się i spojrzała mu w oczy. Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie ma ochoty wracać do kraju, więc dodała: - Rzecz jasna, za jakiś czas. Najpierw polecę do Qawi. Ty chyba tam nie bywasz.

- Przeciwnie - odparł z wahaniem. - Spędzam w tym księstwie dużo czasu. Robię z szejkiem interesy na wielką skalę.

Wpatrywała się w niego rozmarzonymi zielonymi oczyma, śniąc na jawie. Szara rzeczywistość zmieniała się w tajemniczą krainę radości, a Gretchen nie kryła zadowolenia. Uśmiechnął się, z uwagą obserwując jej reakcję, i powiedział:

- Qawi przestało być dla ciebie takie straszne, prawda? Jak widzisz, w Tangerze zamiast *adieu* powiemy sobie *au revoir*.

- A więc nie „żegnaj”, tylko „do zobaczenia”... Podobają mi się ten pomysł.

Dłoń o smukłych palcach dotknęła jej ręki, która spoczywała obok kieliszka na blacie stolika.

- Mnie również. - Nagle spochmurniał. - Właściwie powinienem cię zniechęcić do tej wyprawy.

- Dlaczego?

- Wkrótce się przekonasz, że pozory mylą.

- Mówisz o sobie? - Oczy jej zabłyśły. - Poczekaj, sama zgadnę: jesteś międzynarodowym złodziejem biżuterii lub szpiegiem na wakacjach.

- Ależ skąd! - Wybuchł śmiechem. - Zapewniam cię, że nie w tym rzecz.

Gretchen przyglądała się jego lewej dłoni, pokrytej jasnymi bliznami, które kontrastowały ze śniadą skórą. Musnęła je opuszkami palców.

- Zostały ci po wypadku?

- Tak - odparł niechętnie, cofając rękę. Skurczył się cały na wspomnienie tamtych ran.

- Wybacz, popełniłam nietakt. Nie chciałam być wścibska - powiedziała, krzywiąc twarz.

Philippe walczył ze sobą, obserwując ją uważnie. W końcu zapewnił spokojnie:

- Przed wyjazdem z Tanguer dowiesz się wszystkiego, lecz wolałbym odłożyć tę rozmowę. Prawda bywa czasem brutalna.

- Pewnie jesteś seryjnym mordercą - odparła z zafrasowaną miną i pokiwała głową. - Rozumiem, chcesz mi oszczędzić rozczarowania, skoro pod tą wytworną powierzchownością kryje się zimny, wyrachowany drań, a ja mam być następną ofiarą do kolekcji.

Rozbawiony tą uwagą, roześmiał się i bez namysłu rzucił:

- Tak bardzo mi ją przypominasz. Zainteresowała mnie poczuciem humoru. Przy niej potrafiłem się śmiać z samego siebie. Wcześniej do głowy by mi to nie przyszło.

- O kim mówisz?

- O dawnej znajomej - odparł niechętnie i poruszył się nerwowo. - Jasnowłosa tak jak ty, szczerą i otwartą. Sądziłem, że jest wyjątkiem. Cieszę się, że znowu spotkałem dziewczynę obdarzoną takimi przymiotami.

- Maggie nazywa mnie kompletną wariatką.

- Jesteś niezwykła. - Odchylił się do tyłu i obrzucił ją badawczym spojrzeniem. - Nie masz pojęcia, jak często ludzie mówią jedynie to, czego się od nich oczekuje, głównie z obawy, że kogoś urażą. Ja też nie znoszę fałszywych pochlebstw - dodał porywczo z błyskiem w oku.

Gretchen utwierdziła się w przekonaniu, że jest jakąś ważną osobistością. Ciekawość nie dawała jej spokoju. Chętnie wypytałaby, kim jest, skąd pochodzi i czym się zajmuje, ale najwyraźniej nie miał teraz ochoty rozmawiać o swojej przeszłości. Zajrzała do menu i jęknęła rozpaczliwie.

- Francuski! Wszędzie prześladowuje mnie ten język!

- W takim razie będę twoim nauczycielem - roześmiał się i przysunął się do niej, żeby czytać z jednej karty.

Wymieniał i tłumaczył nazwy potraw, a Gretchen powtarzała za nim. Potem wybrali dania. Na przystawkę wzięła szynkę z melonem, a jako główne danie baraninę w marokańskim sosie. Philippe wolał rybę. Zamówił również butelkę białego wina.

- Wyobraź sobie, że nie próbowałam dotąd wina - powiedziała, a Philippe pytająco uniósł brwi.

- Mam zmienić zamówienie?

- Nie. - Wzruszyła ramionami. - Ze względu na moje przyszłe stanowisko powinnam trochę znać się na winach. Szejk nie jest muzułmaninem, więc ma pewnie własną piwnicę i spodziewa się po mnie sporej wiedzy na temat serwowania odpowiednich trunków.

- Całkiem możliwe - mruknął i wydał usta. - Dam ci jedną radę: nie popełnisz błędu, wybierając markowe białe wina. Riesling i chardonnay to klasyka, chociaż mnie odpowiadają raczej wina alzackie, na przykład gewurtztraminer. Ma wyborny smak.

- Nigdy się tego nie nauczę. - Bezzadnie pokręciła głową.

- Przeciwnie. Co wieczór będziemy zamawiać inne wino z karty. W ten sposób przed opuszczeniem Maroka zyskasz potrzebną wiedzę.

- Na wszystkim się znasz - powiedziała ze szczerym uśmiechem.

- Wychowywałem się w Europie - tłumaczył. - Wśród ludzi wykształconych człowiek uczy się niepostrzeżenie, jakby mimochodem. - Zmrużył czarne oczy. - Tylko nie pomyśl, że zawsze byłem taki bogaty. Z wczesnego dzieciństwa dobrze pamiętam niedostatek. Bieda jest prawdziwą plagą naszych czasów, a chciwość jej nieodłączną towarzyszką.

- Mam rozumieć, że i ty stałeś się zachłanny? - spytała cicho.

Philippe zachichotał. W tej samej chwili do stolika podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie.

- To riesling: ani za ciężki, ani za lekki - wyjaśnił Philippe, gdy podano im wino.

- Znakomite - powiedziała, z przyjemnością sącąc lekki trunek. - Uprawialiśmy dawniej małą winnicę, ale zarządca postanowił ją zaorać.

- Barbarzyńca - wtrącił Philippe, a Gretchen wybuchła śmiechem.

- Trafiłeś w sedno. Tak go nazywałam: Conner - Barbarzyńca. Gdy wsiadał na traktor, wszystkie kwiaty na dziedzińcu były zagrożone. Świetnie zna się na koniach, ale najchętniej przejechałby kosiarką po klombach wokół domu i w sadzie.

- I ty się łudzisz, że taki facet dopilnuje, żeby na waszym ranczu wszystko szło jak należy? - spytał roześmiany.

- Owszem, bo jest specem od hodowli koni i bydła - broniła swego pracownika.

- Pewnie go uwielbiasz, co?

- Jako nastolatka strasznie się w nim kochałam - wyznała - ale mi przeszło.

Zmrużył oczy i przestał się odzywać. W milczeniu zjedli główne danie. Wkrótce kelner przyniósł zamówione sałatki i kawę dla Gretchen oraz gazowaną wodę mineralną dla Philippe'a, który powiedział w końcu:

- A więc lubisz kwiaty.

- Uwielbiam - przytaknęła rozmarzona. - Hoduję szlachetne odmiany róż i ozdobne krzewy.

- Mój ojciec ma bzika na punkcie orchidei - powiedział, bez pośpiechu jedząc sałatkę.
- Mówi, że to jego wnuczeta i nadaje im wyszukane imiona. - Uśmiechnął się do swoich myśli. - Kiedyś posłał do więzienia służącego, który zapomniał podlać chorującą orchidę, która w końcu całkiem zmarniała. Mój ojciec jest mściwym człowiekiem.

- Doskonale go rozumiem - odparła z uśmiechem. - Sama bardzo się troszczę o róże, którym coś dolega. Mam szczęśliwą rękę i niemal wszystkie znów pięknie kwitną.

- Niestety - odparł z roztargnieniem Philippe. Na jego twarzy pojawiły się głębokie bruzdy świadczące o rozgoryczeniu. - Są dolegliwości, których nie wyleczy dotknięcie najczulszych rąk.

Nieustannie ją zaskakiwał. Obserwowała jego dłonie, poruszające się z ogromną zręcznością i gracją. Spozrzegł, że mu się przygląda, i ogarnął go niepokój.

- Moje blizny budzą obrzydzenie, prawda?

- Mój Boże, nie! - zaprotestowała natychmiast i podniosła wzrok. Bez wątplenia mówiła szczerze. - Patrzyłam, jak zręcznie poruszasz rękoma. Tutaj wszyscy, zwłaszcza mężczyźni, mają tyle wdzięku. U nas jest inaczej.

Odprężył się i z apetytem zaczął jeść sałatkę. Sam był sobie winien, ponieważ ją zwodził i przez te niedomówienia łatwo tracił humor. Tak dłużej być nie może. Jest jak jest, a rzeczywistości nie można zmienić.

- Staramy się żyć bez pośpiechu, więc tak samo się poruszamy - odparł z prostotą.

- Gotowa jestem się założyć, że nie macie tylu problemów z chorobami układu krążenia jak my w Stanach - powiedziała Gretchen.

- Słuszna uwaga. - Skończył jeść, odsunął talerz i obrzucił ją badawczym spojrzeniem czarnych oczu. - Wkrótce znajdziesz się w kraju całkiem różnym od twojego i słabiej rozwiniętym niż Maroko. Brak tam wielu współczesnych udogodnień. Na przykład elektryczność dostępna jest od niedawna. Spora część mieszkańców Qawi jeszcze parę lat temu prowadziła koczowniczy żywot. Gdy Europejczycy podzielili między siebie szejkanat, doszło do powstania, po którym wiele rodów zostało zdziesiątkowanych. Pobyt w tym kraju wymaga ogromnej tolerancji oraz umiejętności dostosowania się do tamtejszego stylu życia, który niewiele ma wspólnego z nowoczesnością.

- Uważasz, że powinnam wrócić do domu? - spytała otwarcie Gretchen, odkładając widelec.

Philippe chętnie odpowiedziałby twierdząco. Powinien jej doradzić, żeby uciekła, póki może, lecz gdy podniósł wzrok, uświadomił sobie, że nie potrafi się już obyć bez tej dziewczyny. Była mu niezbędna, więc zachował dla siebie wszelkie obiekcje.

Gretchen, zadowolona, że nie potwierdził jej domysłów, dodała:

- Od pierwszej chwili polubiłam Maroko i dlatego sądzę, że w Qawi szybko poczuje się jak w domu, o ile szejk okaże się pobłażliwy wobec mojej nieznajomości tamtejszych zwyczajów.

- Moim zdaniem potrafi się na to zdobyć. - Philippe spoglądał na nią zmrużonymi oczyma.

- Mam nadzieję, że tak będzie - odparła z przejęciem. Po namyśle ciągnęła: - Ten wyjazd jest dla mnie jak skok na głęboką wodę. Wyruszam w nieznaną. Maggie słusznie powiedziała, że moje życie w Teksasie to wegetacja. Siedziałam w jednym miejscu, otoczenie wydawało się monotonne. Nie miałam pojęcia, że świat jest taki ciekawy, a ludzie bardzo różni. Cokolwiek się wydarzy, przynajmniej będę miała co wspominać.

- Ja również nie zapomnę tych chwil - zapewnił zduszonym głosem, jakby z trudem mu przyszło to wyznanie. Tak mocno ścisnął kieliszek, że Gretchen martwiła się, czy szkło nie pęknie. Zadawała sobie pytanie, dlaczego Philippe'a tak często ogarnia ponury nastrój.

Śpiewaczka oraz jej akompaniatory na niewielkiej estradzie byli już gotowi do występu. Zabrzmiała przejmująca hiszpańska pieśń o miłości. Zastłuchana Gretchen przymknęła oczy, chłonąc muzykę i tekst.

- Rozumiesz słowa? - zapytał.

- Tak. - Uniosła powieki i popatrzyła na niego. - Mówią o kobiecie i mężczyźnie, którzy są w sobie szaleńczo zakochani, ale nie mogą się pobrać, bo on idzie na wojnę. Dlatego się żegnają. To bardzo smutne.

- Widzę, że dobrze znasz hiszpański - pochwalił z uśmiechem.

- Tak. Mówię fatalnie, ale swobodnie czytam i prawie wszystko rozumiem, jeśli mój rozmówca zbytnio się nie spieszy.

- Hiszpański należy do moich ulubionych języków. - Wyciągnął rękę ponad stołem, ujął jej dłoń i wolno splótł palce, spoglądając na meksykańską śpiewaczkę.

Gretchen przestała słuchać cudownych pieśni, bo dotykając jego ciepłej, smukłej ręki, zapomniała o całym świecie. Przymknęła oczy, rozkoszując się delikatną pieścizną.

Recital trwał krótko. Wkrótce pieśniarka ukloniła się i odłożyła mikrofon, a Gretchen wróciła do rzeczywistości. Philippe puścił jej dłoń. Chciał już zapłacić rachunek, więc sięgnął po kartę kredytową. Od razu spostrzegła, że to złota karta, więc utwierdziła się w

przekonaniu, że ma do czynienia z człowiekiem bogatym, który żyje na wysokiej stopie. Wiele o tym świadczyło, choćby jego strój. Ciekawe, czy choć raz przemknęło mu przez głowę, że ona jest interesowna i spotyka się z nim, bo ma tyle forsy. Chyba spotykał wcześniej takie kobiety.

Philippe podał kelnerowi swoją kartę, a obok talerza zostawił hojny napiwek. Wkrótce zaproponuje, że odprowadzi ją do pokoju, i tam się pożegnają. Nie wspomniał o wspólnych planach na następny dzień, więc prawdopodobnie będzie załatwiał własne sprawy, w które nie zamierzał jej wtajemniczać. Na pewno już stracił dla niej zainteresowanie.

Jeśli chodzi o sztukę uwodzenia, osiągnięcia Gretchen były znikome. Nie potrafiła flirtować ani prowadzić błyskotliwej rozmowy. Jej uroda także nie powalała na kolana. Dziewczyna posmutniała na myśl, że po czułym sam na sam przy huśtawce za dużo zaczęła się spodziewać. Tamta rozmowa i pieszczoty sprawiły, że robiła sobie wielkie nadzieje i śniła na jawie o szczęśliwej przyszłości, a tymczasem Philippe sprawiał teraz wrażenie człowieka dźwigającego ciężkie brzemie i unikał jej wzroku po tym, jak kelner zwrócił mu kartę kredytową.

Wstał i odsunął jej krzesło ze staromodną kurtuazją. Gdy wchodzili po niskich schodach, odruchowo wziął ją pod rękę.

- Muszę już iść - powiedział, unikając jej wzroku. - Czeka mnie ważne spotkanie dotyczące interesów. Nie mogę zawieść partnerów.

- Rozumiem i dziękuję za przemiły dzień. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze w hotelu albo...

Zatrzymał się nagle i uważnie popatrzył na nią z ponurą miną.

- Już cię znudziło moje towarzystwo?

- Ja... Sądziłam, że ty jesteś mną znudzony. - Jej twarz wyrażała ogromne zdziwienie.

Philippe odetchnął z ulgą i dodał półgłosem:

- Tak byłoby lepiej dla ciebie.

- Nie możesz mi powiedzieć, co cię trapi? - zapytała śmiało.

- Wykluczone. - Popatrzył na zegarek. - Wynajmiemy na jutro przewodnika. Niech nas Bojo oprowadzi po sklepach z dywanami. Rano jestem zajęty, bo jem śniadanie z ważnym kontrahentem. Możemy się spotkać o dziesiątej w holu?

- Naturalnie! - odparła z nie ukrywaną radością. - Będę czekać.

- Zawsze okazujesz tyle entuzjazmu? - Uśmiechnął się łagodnie.

- Raczej tak - przyznała zakłopotana. - Pewnie dlatego, że niewiele miałam z życia. Dzieciństwo Marka i moje było wyjątkowo biedne, więc nauczyliśmy się poprzestawać na

małym i chyba dlatego bardziej od innych ludzi doceniamy przyjemne niespodzianki. Mamy za sobą wiele trudnych chwil.

- Ja również wyrosłem w biedzie. - Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. - Staram się uwolnić od niej moich ludzi. Najważniejsze jest wykształcenie. Trzeba rozwijać szkolnictwo, zatrudniać dobrych nauczycieli, wykorzystywać najnowsze zdobycze techniki, zwłaszcza komputery.

- Dlatego z powodzeniem konkurujesz z potentatami międzynarodowego rynku - dodała z uśmiechem.

- Oczywiście. Poza tym nie chciałbym więcej patrzeć na głodne dzieci. - Gretchen wstrzymała oddech, gdy uświadomiła sobie, że jego dzieciństwo musiało być prawdziwym koszmarem. - Tyle współczucia jest w twoich łagodnych oczach - mruknął. - Szejkanat Qawi dobrze wyjdzie na tym, gdy zaczniesz tam pracować.

- Nie wiadomo, czy mnie zechcą - odparła z naciskiem. - Oczekują Maggie, czyli kobiety wykształconej, bywałej w świecie, urodzonej organizatorki.

- Zasad organizacji można się nauczyć. Moim zdaniem szejk chętnie ci pomoże. Z pewnością będzie zachwycony... twoim towarzystwem.

- Ma harem? - wypytywała zaniepokojona. Philippe wybuchnął śmiechem.

- Nie. To nowoczesny władca.

- Och, dzięki Bogu!

- Nie masz ochoty wstąpić do jego łóża, prawda? - kpił żartobliwie, a Gretchen spłonęła rumieńcem.

- Przestań! Mam być sekretarką i ochmistrzynią, a nie bezwstydną uwodzicielką.

- Oczywiście - odparł, kiwając głową.

Gdy przechodzili obok recepcji, mężczyzna siedzący za biurkiem wykonał gest, który najwyraźniej stanowił umówiony znak.

- Nie opuszczaj hotelu - przypomniał jej stanowczo Philippe.

- Wieczorem nie będę wychodzić - obiecała.

- Ani po zmierzchu, ani za dnia - powiedział z naciskiem. - Odprowadzę cię tylko do windy. Bojo czeka przed wejściem w hotelowej limuzynie. - Uniósł jej dłoń i musnął wargami. Spojrzała mu w oczy i poczuła miły dreszcz. - Do jutra - powiedział cicho.

- Tak - szepnęła. - Do jutra.

Uśmiechnął się ciepło i odszedł, jak zawsze z niezrównaną gracją. Westchnęła, odprowadzając go spojrzeniem. Przez kilkanaście godzin w jej życiu nastąpiły ogromne zmiany. Miała nadzieję, że nie będzie żałować krótkich wakacji spędzonych w towarzystwie

mężczyzny, który okazał się prawdziwym znawcą kobiet i ekspertem w sprawach, które dla niej pozostawały tajemnicą. Miała wrażenie, że sporo ryzykowała, ale nie była w stanie zrezygnować z jego towarzystwa. Niech się dzieje, co chce.

Wsiadła do windy i pojechała na górę. Gdy wróciła do swego pokoju, zdjęła suknię i mimo wczesnej pory od razu położyła się do łóżka. Lepiej przespać godziny dzielące ją od kolejnego spotkania, którego tak bardzo pragnęła. Czas szybciej minie. Przed zaśnięciem pomyślała jeszcze o biednej Maggie, która wkrótce powinna być w domu, a potem zgasiła światło i przytuliła policzek do ręki, którą Philippe ucałował z taką czułością.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gretchen popełniła błąd, idąc spać bardzo wcześnie, bo następnego ranka obudziła się o piątej i nie mogła już zasnąć. W końcu wstała, włożyła białe spodnie, różową bluzeczkę, żakiet z białej bawełny, cienkie skarpetki i wygodne buty, a do małego plecaka wrzuciła najpotrzebniejsze drobiazgi. Potem, znudzona, krążyła po pokoju, zerkając na ekran telewizora, aż nadeszła pora śniadania.

Wiedziała, że w hotelowej restauracji nie zastanie Philippe'a, bo rano miał spotkać się z ważnym kontrahentem, lecz przyjemnie było zająć miejsce przy stoliku, gdzie wieczorem siedzieli we dwoje i słuchali utalentowanej śpiewaczki. Tutaj ożywały wspomnienia.

Z przyjemnością słuchała szmeru wody niewielkiej fontanny i podziwiała ceramiczną dekorację ścian, która stanowiła ulubiony motyw marokańskiej architektury. Przypomniła sobie pałac w Asilah i cudowne błękity ścian. Z pewnością nie zapomni tamtej wycieczki ani przejażdżki na wielbłądzie. Philippe zrobił mnóstwo zdjęć i pogodnym śmiechem kwitował jej za - chyty. Nie mogła się nadziwić, że mężczyzna, którego dopiero co poznała, okazał się dla niej tak ważny i wprost nie potrafiła się bez niego obyć. Tłumaczyła sobie, że nie powinna tracić dla niego głowy, skoro ma pracować w Qawi, co oznaczało wyjazd z Maroka oraz rychle rozstanie.

Philippe zaprzeczył, jakoby był Francuzem. Zastanawiała się, gdzie mieszka. Z ulgą przyjęła wiadomość, że ma w Qawi rozległe interesy, bo od czasu do czasu będą się widywać. Poza tym kiedy wywoła fotografie, zostanie jej cenna pamiątka ze wspólnej wycieczki. Bez apetytu zjadła kawałek melona. Wołała nie myśleć, że wkrótce Philippe zniknie z jej życia.

Rozglądała się wokół, podziwiając ustawione na stolikach świeże kwiaty. Z rozrzewnieniem wspominała matkę, ich szczerą miłośniczkę. Niedawna strata wciąż budziła głęboki smutek. Mark także bardzo cierpiał. Ostatnio widzieli się na pogrzebie. Wkrótce potem musiała łagodzić gniew brata, który chciał zatłuc Deryla gołymi pięściami, kiedy usłyszał o jego haniebnym postępku. Jak na przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, Mark wyrażał swoje opinie w sposób dość kontrowersyjny i nie przebierał w słowach. Gretchen po raz pierwszy w życiu słyszała wiele dziwnych wyrażen i słów, którymi wtedy określił jej niestałego adoratora.

Zamyślona, bawiła się szerokim nożem. Ciekawe, co brat powiedziałby o eleganckim i wykształconym mężczyźnie, którego tu poderwała. Sądziła, że byłby podejrzliwy; zresztą sama także miała sporo wątpliwości. Dziwna sprawa, że ten światowiec Philippe umawia się z

prostą, niewinną dziewczyną, jaką przecież była Gretchen. Chyba powinna mieć się na baczności. A jeśli naprawdę jest międzynarodowym przestępcą, któremu potrzeba jedynie wygodnego kamuflażu dla swych machinacji? Nie zamierzała ujawniać tych wątpliwości, ale nie potrafiła też o nich zapomnieć. Brała pod uwagę możliwość, że Philippe chce się nią posłużyć dla swoich celów, lecz nie potrafiła zrezygnować z dalszych spotkań. Mniejsza z tym, o co mu chodzi. Miała dosyć ciągłej samotności.

Ani przez moment nie sądziła, że naprawdę mu na niej zależy. Z rozpaczą powtarzała w duchu, że brak jej przecież urody, obycia i wykształcenia. Jego wybranką powinna być Maggie. Z nadzieją i współczuciem myślała o przyjaciółce, która na pewno nie ma teraz łatwego życia. Cord mocno dawał się innym we znaki, gdy nic mu nie dolegało, a po utracie wzroku był chyba nie do zniesienia i wymagał stałego nadzoru. Kelner nalał Gretchen kawy do filiżanki i zapytał, czy jest głodna. Uśmiechnęła się i podeszła do stołu. Wkrótce miała na talerzu owoce i bułki. Trudno nazwać taki posiłek obfitym śniadaniem.

Gretchen miała wrażenie, że dziesiąta nigdy nie wybije. Przez następne dwie godziny na przemian chodziła po pokoju z kąta w kąt, spletała i rozpuszczała włosy, wertowała restauracyjne menu, oglądała wiadomości anglojęzycznej stacji informacyjnej i patrzyła na widoczny w oddali port. W oknach nie było ekranów, więc kiedy otworzyła je szeroko, poczuła egzotyczną woń Tangeru i wiejącą nieustannie morską bryzę. Gdzieś tam znajdował się Gibraltar, a dalej Hiszpania, ale w zamglonym powietrzu widoczność była ograniczona.

Z zamyślenia wyrwało ją energiczne pukanie do drzwi. Nie musiała spoglądać na zegarek, żeby wiedzieć, która godzina, bo już wiedziała, że Philippe przychodzi zwykle przed czasem. Otworzyła drzwi i ujrzała znajomą postać w białych spodniach, czerwonej koszulce z dzianiny i białej marynarce. Podziwiała niewymuszoną elegancję i doszła do wniosku, że w jego garderobie brak pewnie zwykłych rzeczy, takich jak dżinsy albo flanelowe koszule. To wyrafinowany mężczyzna, zupełnie inny niż jej znajomi z Teksasu, którzy stale paradują w wytartych spodniach i wysokich butach, po całych dniach zajmując się przerzucaniem siana albo obrządzaniem bydła. Pomyślała o bracie, który po nagłej śmierci ojca sam ujeżdżał konie w specjalnej zagrodzie. Zawsze trzymał się w siodle jak przymurowany.

- Ślicznie pani wygląda, *mademoiselle* - oznajmił Philippe z żartobliwą powagą i uśmiechnął się czule. Te słowa przerwały jej beładne rozmyślenia.

- Mogę się panu zrewanżować podobnym komplementem - odparła, drżącymi rękami zamykając za sobą drzwi. - Pewnie nigdy w życiu nie jeździłeś na ognistym koniu, co? - spytała kpiąco, a potem nagle posmutniała, gdy zerknęła ukradkiem na jego twarz, która była całkiem bez wyrazu, więc nie mogła nic z niej wyczytać.

- Dlaczego tak sądzisz? - rzucił z pozorną obojętnością.

- Bo tak dobrze się ubierasz - odparła z przeprasającym uśmiechem. - Wśród moich znajomych jedynie szef kancelarii adwokackiej, w której pracuję, wybiera stroje z równą starannością, jak przystało na prawnika. Znajomi i sąsiedzi z Jacobsville chodzą w dżinsach... Nie wiesz, o czym mówię? - dodała, gdy zmarszczył brwi, nie kryjąc zdziwienia. - Robocze ubrania, brudne buty.

- Aha - odparł po chwili. - Mówisz o kowbojach.

- Owszem. - Dotrzymywała mu kroku, gdy szli długim korytarzem o marokańskim wystroju. - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała naszego zarządcę w garniturze.

Ta rozmowa była trochę irytująca. Wygląda na to, że Gretchen uważa go za dandysa i znawcę męskiej mody, który w ogóle nie dba o kondycję.

- Jeździsz konno? - zapytał. Uśmiechnęła się chętnie i zachichotała.

- Jak cyrkowa wołyżerka. Mój brat Mark pierwszy raz posadził mnie na kucyku, kiedy miałam trzy lata. Nasza matka była przerażona. Od razu połknęłam bakcyła. Przez jakiś czas miałam nawet belgijską klacz. Uwielbiałam na niej jeździć - dodała.

Gdy czekali na windę, zamyślony Philippe wydał usta, a potem mruknął:

- Szejk ma pewnie własną stajnię. Sądzę, że hoduje konie rasy arabskiej.

- Ciekawe, czy pozwoliliby mi na nich pojeździć - odparła z powątpiewaniem.

- Moim zdaniem trzyma przede wszystkim zarodowe ogiery, które wymagają mocnej ręki - odparł wymijająco - ale w stajni muszą też być klacze i wałachy, idealne pod siodło.

- Oczywiście - powiedziała, z żalem wspominając konie hodowane na ranchu. Musieli je sprzedać, gdy zabrakło pieniędzy na ich utrzymanie. Była wśród nich jej ulubiona belgijska klacz.

- Najwyraźniej lubisz konie, ale posmutniałaś, gdy zaczęliśmy o nich rozmawiać. - Zaciekawiony Philippe od razu zauważył tę zmianę nastroju. Był wyjątkowo spostrzegawczy.

Gretchen odparła z uśmiechem, siląc się na rzeczowy ton:

- Przez chwilę byłam myślami daleko stąd, na ranchu. Mieliśmy tam konie robocze, przydatne w hodowli bydła mlecznego. Są małe, ale silne i niezbyt wymagające.

- Znam tę rasę. Powstała w Wirginii, ale w Teksasie cieszy się szczególnym uznaniem - dorzucił jak prawdziwy znawca.

- Zdradzisz mi w końcu, kim jesteś i skąd pochodzisz? - spytała zaciekawiona.

- Wszystko w swoim czasie. - Przepuścił ją w drzwiach windy i nacisnął guzik. - Dziś zwiedzamy Tanger.

Poszli na suk, czyli miejscowy bazar. To była niezapomniana przygoda. Bojo i Philippe oprowadzili ją po słynnym targowisku. Bojo znał wielu miejscowych kupców i dlatego mogli kupować z korzystną zniżką. Przy jednym ze straganów, gdzie sprzedawano dywany, Gretchen jak zaczarowana słuchała opowieści sprzedawcy, który wyjaśniał, co oznaczają zawite wzory i desenie. Przyjrzała im się z bliska, porównując w myśli ze starożytnymi hieroglifami. Wybór dywanów był niezwykle bogaty. Przeważały wełniane, ale trafiały się również jedwabne i wykonane z bawełny. Wśród tych ostatnich szczególnie zachwyił ją cytrynowożółty berberyjski chodnik z wyobrażeniem kilku postaci. Nie zważając na jej protesty, Philippe kupił go natychmiast. Musiała podać mu adres rancza, który został przekazany kupcowi z poleceniem wysłania nabytku do Ameryki. Philippe niepokoił się, czy przesyłka zostanie odebrana, ale Gretchen wyjaśniła, że nie ma powodu do obaw, bo mieszka tam na stałe gospodyni Katie z mężem. Ona i zarządca prowadzą wielkie gospodarstwo pod nieobecność Marka, czyli przez większą część roku.

- Będiesz miała pamiątkę z Maroka - przekonywał żartobliwie Philippe, gdy szli wąską uliczką wśród wysokich ścian z cegieł suszonych na słońcu. - Popatrz - rzucił nagle, ciągnąc ją w wąską przecznicę, którą zamykała brama z ręcznie kutego żelaza. Dalej ciągnął się piękny ogród w pełnym rozkwicie. - To jedna z wielu letnich rezydencji. Przybysze z zagranicy chętnie spędzają wakacje w Tangerze. - Wyjaśnił, że ta posiadłość należy do słynnego śpiewaka operowego, a zachwycona Gretchen wstrzymała oddech. - Mam rozumieć, że należysz do jego wielbicielki? - zapytał, trochę zdziwiony.

~ Oczywiście! Uwielbiam operę - odparła szczerze, a Philippe natychmiast się uśmiechnął.

- Słuchanie muzyki to jedna z niewielu przyjemności, które mi pozostały - dodał, nagle poważniejąc.

Zaskoczona przyglądała mu się z uwagą.

- Co sprawia, że tyle jest w tobie gorczy? - spytała cicho.

- Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy, *mademoiselle* - powiedział dziwnie oficjalnym tonem, a twarz mu stężała.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska - odparła łagodnie.

Odwróciła się i ruszyła w stronę uliczki z której przyszli. Przypadkiem musiała trafić w czuły punkt. Powinna stale pamiętać, że Philippe jest wyjątkowo skryty. Nie można wypytywać go zbyt natarczywie o bolesną przeszłość.

Philippe nie mógł pogodzić się z tym, że w końcu będzie musiał wyznać prawdę. Buntował się na samą myśl o zwierzeniach dotyczących wypadku sprzed lat. Gretchen była

ostatnia osobą, z którą chciałby omawiać ten przykry temat. Bardzo szybko się do niej przywiązał. Nie umiał przewidzieć, jakie będą jej reakcje, kiedy pozna wreszcie tajemnicę dotyczącą jego przeszłości, i wcale nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Bez słowa ruszył za Gretchen wracającą do Boja, który z niepokojem spojrzał na jego ponurą twarz i zaproponował, żeby zjedli obiad.

Opuścili bazar i weszli do znajdującej się w pobliżu restauracji. Zmartwiona Gretchen nie miała apetytu, więc zadowolona się sałatką. Philippe wybrał potrawę i w ogóle przestał się odzywać. Gdy jedli, zadzwonił telefon komórkowy. Bojo natychmiast odebrał. Przez chwilę rozmawiał z ozywieniem, ale szybko przerwał połączenie i zwrócił się do Philippe'a. Rozmawiali w języku, którego Gretchen nie potrafiła zidentyfikować. Teraz obaj mieli ponure miny. Przeczynała, że Philippe zamierza odwiedzić ją do hotelu, i rzeczywiście zaproponował, aby po obiedzie natychmiast tam wrócili.

- Nie wychodź stąd pod żadnym pozorem - zapowiedział stanowczo, gdy weszli do holu. - Nie daj się nabrać, gdyby ktoś twierdził, że musimy się zobaczyć, więc po ciebie przysłałem. Jeśli otrzymasz taką wiadomość, możesz być pewna, że nie pochodzi ode mnie. Obiecuj, że postąpisz zgodnie z moimi wskazówkami.

Twarz miał posępną, więc Gretchen domyśliła się, że otrzymał złe wieści. Doskonale pamiętała strzelaninę rozpoczętą przez ludzi w czarnym mercedesie i dlatego zaczęła się o niego martwić.

- Pewnie mi nie zdradzisz, co cię tak wytrąciło z równowagi, prawda? - zapytała, ale puścił jej pytanie mimo uszu.

- Powinienem być pierwszym samolotem odesłać cię do Stanów - mruknął oschle. - Teraz już za późno. Twoje bezpieczeństwo jest zależne od mojego, a ja znalazłem się w naprawdę trudnej sytuacji. Trudno sobie wyrazić, jak bardzo mi przykro, że cię w to wciągnąłem.

Przyglądała mu się szeroko otwartymi oczyma. Był napięty jak struna. Ileż by dała, żeby się uspokoił.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że naprawdę jesteś międzynarodowym złodziejem biżuterii? - zagadnęła, mrugając do niego porozumiewawczo. - To niesamowite! Kto ci depcze po piętach? Interpol?

- Nie! Policja się mną nie interesuje. - Na moment zapomniał o lęku i wybuchł śmiechem, lecz wkrótce spoważniał. - Gretchen, nie lekceważ zagrożenia. Masz powody do obaw. Lekkomysłność może cię kosztować życie.

- Tak się składa, że nie jestem strachliwa. Młodość na ranczu to niezła szkoła życia. Pamiętaj również, że pracuję w kancelarii adwokackiej. Jeśli chcesz, włożę treneczki, postaram się o spluwę, zostanę prywatnym detektywem i rozwiążę kryminalną zagadkę - perorowała z zapalem. Nagle zmarszczyła brwi i dodała: - Chyba daruję sobie tę spluwę. Mark twierdzi, że wprawdzie dzielna ze mnie dziewczyna, ale strzelam jak prawdziwa baba... Philippe!

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął delikatnie.

- Wiem, że masz dobre intencje, ale nie czas na żarty. Bądź poważna! - zażądał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Dotyk dużych, silnych rąk był elektryzujący. Gretchen rozchyliła usta i patrzyła na Philippe'a roziskrzonymi zielonymi oczyma. To odczucie było dla niej jak grom z jasnego nieba. Poczula ciepło jego ciała i oddech pachnący mięętą. Dotąd żaden mężczyzna nie wzbudził w niej takich emocji i dlatego nabrała śmiałości. Oparła dłonie na jego torsie, podniosła głowę i popatrzyła w czarne oczy o hipnotycznym spojrzeniu.

- O Boże! Jakiś ty silny! - mruknęła z prawdziwym podziwem.

Przesunęła dłońmi po jego ramionach, wyczuwając potężne mięśnie. Miała kolejny dowód, że jednak dbał o kondycję fizyczną. Na dodatek był taki przystojny. Odruchowo podeszła bliżej.

Philippe poczuł, że piersi Gretchen napierają na okryty koszulą tors, i wstrzymał oddech. Mimo woli zerknął na jej biust i zmienił się na twarzy, a tymczasem Gretchen zapomniała o swoich zahamowaniach i przytuliła się do niego. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją fizyczne pożądanie. Wcześniej nie pragnęła mężczyzny. Otarła się o niego, a wtedy poczuł, że dzieje się z nim coś niebywałego... cudownego.

Z jego ust wyrwało się chrapliwe westchnienie. Zadrżał, a źrenice rozszerzyły mu się jakby z przerażenia, gdy popatrzył w zamglone zielone oczy. Cicho zaklął i odepchnął ją tak szybko, że zachwiała się i z trudem odzyskała równowagę.

- Co się stało? Źle postąpiłam? - spytała przejęta i trochę zawstydzona.

Philippe westchnął spazmatycznie. Zaciśnął dłoń w pięść i przycisnął do boku, z trudem chwytając powietrze. Nie był w stanie wykrztusić słowa. W dole brzucha i biodrach czuł dziwny ból i napięcie. To przecież... niemożliwe.

- Muszę... iść. Natychmiast! - Kiedy popatrzył na Gretchen, jego twarz przypominała kamienną maskę. - Pamiętaj, co mówiłem. Zostań w hotelu. - Jego słowa nie były prośbą, tylko rozkazem. Mówił takim tonem, że przebiegł ją zimny dreszcz.

Natychmiast się odwrócił i nie patrząc na nią, ruszył do wyjścia. Skinął na Boja, który ruszył za nim. Gretchen chwiejnym krokiem dotarła do windy. Na szczęście nikt nie był

świadkiem krótkiej sceny, która przed chwilą miała miejsce, bo recepcjonistę zaabsorbowała rozmowa telefoniczna, a hol był zupełnie pusty. Philippe odepchnął ją w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, jakby budziła w nim obrzydzenie. W windzie jęknęła głośno i dotknęła czołem metalowej ściany. Uraziła go swoją natarczywością. Pewnie więcej się z nią nie spotka. Powinna spakować rzeczy, natychmiast wyjechać do Qawi i zapomnieć o dniach spędzonych w Tangerze!

Philippe wszedł do czekającej przed drzwiami limuzyny i pojechał z Bojem do swego hotelu, stojącego przy tej samej ulicy. Od razu pobiegł do pokoju, zamknął się w łazience, odkręcił kurek prysznica i zdjął ubranie. Po raz pierwszy od wielu lat zmusił się do spojrzenia w lustro i oglądał swoje nagie ciało. Zacisnął zęby, widząc ślady obrażeń, spowodowanych wybuchem miny przeciwpiechotnej. Wprawdzie białawe szramy nie kontrastowały już tak ostro ze śniadą skórą, jednak biodra wyglądały wprost przerażająco. Nikt na świecie nie powinien tego zobaczyć, a już na pewno nie kobieta. Lekarze uprzedzili go, że jako mężczyzna jest skończony, a pewne organy na zawsze przestały funkcjonować. Przez wiele lat nie przyszło mu do głowy, żeby kwestionować tę diagnozę.

Przymknął oczy i wyobraził sobie Gretchen. Oczarowała go jej szczupła postać, niewinna zmysłowość, skóra gładka niczym jedwab. Miał wrażenie, że trzyma w objęciach tę śliczną dziewczynę. Znowu poczuł cudowny dreszcz. Otworzył oczy i spojrzał w lustro. Nie miał wątpliwości, że jego ciało reaguje na uroczą wizję i wspomnienia.

- *Mon Dieu!* - westchnął, czując się znowu jak prawdziwy mężczyzna.

Dziewięć lat. Dziewięć długich i bolesnych lat impotencji, która miała trwać do końca życia. Jak na ironię z tego stanu wyrwała go niewinna dziewczyna. Co gorsza, tej jednej jedynej nie potrafił uwieść i wykorzystać z zimną krwią. Los zakpił sobie z niego. Nie spodziewanie okazało się, że mimo wszelkich przeciwności mógłby znów być mężczyzną, ale nic z tego, nic z tego. Przecież nie byłby w stanie wykorzystać Gretchen do swoich egoistycznych celów. Zresztą mimo chwilowego podniecenia nie miał pewności, czy naprawdę jest w stanie być z kobietą tak do końca i naprawdę. Przez te wszystkie lata odczuwał niekiedy chwilowy dreszczyk przyjemności, ale żadna dziewczyna nie wzbudziła w nim takich odczuć jak Gretchen. .. Zmrużył oczy, bo nagle uświadomił sobie, że przed laty z pokorą wysłuchał lekarskiej diagnozy i właściwie nie próbował sprawdzić, na co go stać. Już dziewiąty rok trzymał się z dala od kobiet i unikał wszelkich eksperymentów. Teraz miał dowód, że lekarze nie byli wszechwiedzący. I co z tego? Gdyby uległ pokusie i zatrzymał Gretchen przy sobie, przez niego znalazłaby się w poważnym niebezpieczeństwie i mogłaby paść ofiarą jego nieprzyjaciół.

Wiadomość usłyszana niedawno od Boja doprowadziła go do furii. Najgorszy wróg został wypuszczony z moskiewskiego więzienia i był już na wolności. Kilku jego dawnych kumpli - także najemników - gdzieś się rozpląnęło. Ostatnio byli nieuchwytni. Philippe domyślił się natychmiast, że banda szykuje zemstę. Powinien jak najszybciej opuścić Maroko, zabierając ze sobą Gretchen, która była słabym ogniwo w łańcuchu zdarzeń, ponieważ wiadano już, że się nią interesuje. Gdyby wpadła w łapy tamtych drani, mogliby dyktować mu warunki. Zrobiłby wszystko, żeby ją ocalić. Wcale nie dlatego, że przypominała Brianne...

Miał dwa wyjścia: albo wyzna Gretchen całą prawdę i pozwoli jej decydować, albo sam rozwiąże problem, odsyłając ją do Stanów, nim zostanie wplątana w niebezpieczną aferę, a także zacznie robić sobie fałszywe nadzieje. Tyle już wycierpiała, nie chciał jej znowu ranić. Z drugiej strony jednak trzeba sprawdzić, czy Gretchen naprawdę może spowodować, by znów stał się prawdziwym mężczyzną. Nie mógł kusić losu i zmarnować takiej szansy. Chciał żyć pełnią życia, tylko tyle. Musiał wiedzieć, czy to możliwe. Mniejsza o koszt, jaki obojgu przyjdzie za to zapłacić. Miał środki, żeby chronić Gretchen. Z drugiej strony gdyby wróciła do Stanów, i tak byłaby narażona na ogromne niebezpieczeństwo. Zresztą absolutnie nie życzył sobie, żeby kręcił się wokół niej facet, w którym dawniej się pod - kochiwała.

Podjął decyzję, po czym wszedł do kabiny prysznicowej.

Gretchen wpadła do pokoju hotelowego i natychmiast zaczęła się pakować. Wciąż drżała z upokorzenia i czuła do siebie pogardę. Opamiętała się dopiero, gdy otwarta walizka leżała na łóżku. Czy potrafi odejść teraz, gdy ona i Philippe z wolna stawali się sobie bliscy? Zachował się dziwnie, a jednak wcale nie miała ochoty wyjeżdżać. W jego postępowaniu była głęboka sprzeczność: chronił ją i bardzo się niepokoił, ale gdy zrobiła pierwszy krok, sprawiał wrażenie zde gustowanego. Żaden facet przy zdrowych zmysłach nie odepchnąłby chętniej i dość ładnej dziewczyny. Philippe okazał się wyjątkiem. Był taki: mądry, wykształcony i z pewnością nie brakowało mu doświadczenia. Gretchen daremnie zastanawiała się, gdzie popełniła błąd.

Po raz pierwszy w życiu zdobyła się na taką śmiałość, a Philippe był cudzoziemcem. Nie wiedziała, skąd pochodzi, lecz może w swoim kraju przywykł do kobiet nieśmiałych i uległych. Szukała pretekstu, żeby pozostać w Maroku, więc uznała, że powinna spotkać się z nim jeszcze raz. Musiała wiedzieć, czym go do siebie zraziła. Walizka natychmiast wróciła do szafy, a Gretchen spędziła popołudnie nad basenem.

Następnego dnia rano przywlokła się na śniadanie później niż dotychczas. Miała nadzieję, że goście się rozeszli i nikt nie zauważy jej podkrążonych oczu. Niewiele spała tej

nocy, bo zastanawiała się, jak skłonić Philippe'a, żeby otwarcie z nią porozmawiał... o ile, rzecz jasna, wróci do hotelu. W przeciwnym razie...

cóż, jakoś to przeżyje. Zdecydowała, że poleci do Qawi i rozpocznie nowe życie. W duchu modliła się jednak o kolejne spotkanie. Oby Philippe chciał się z nią zobaczyć.

Wzięła się w garść, przestała o nim myśleć i podeszła do bufetu. Powinna brać przykład z ludzi wybitnych, nauczyć się od nich samodzielności i tak jak oni, bez oglądania się na innych kierować własnym życiem.

I cóż z tego, że ma złamane serce? Trzeba się uczyć na własnych błędach. W tej dziedzinie była przecież bardziej doświadczona niż większość ludzi. Sama jest sobie winna, bo zbyt duże nadzieje wiązała z tą przygodną znajomością. Uśmiechnęła się do kelnerów i starała się wyglądać jak zadowolona turystka. Po co mają wiedzieć, że jest nieszczęśliwa?

Napełniła talerz jedzeniem i usiadła przy restauracyjnym stoliku. Gdy podniosła wzrok, stał przed nią Philippe z ogromnym pękiem białych róż. Bez słowa popatrzył jej w oczy i położył kwiaty na białym obrusie.

- Wybacz mi - powiedział cicho. Kiedy spojrzała na niego, od razu stało się jasne, że nie tylko ona miała za sobą bezsenną noc. Philippe usiadł po drugiej stronie stołu i nakrył ciepłą, silną dłonią jej zimne palce. - Nie chciałem cię obrazić - dodał przeproszającym tonem - ani sprawić ci przykrości.

- Nie jesteś na mnie zły? - Uważne spojrzenie zielonych oczu odkryło na jego twarzy kilka nowych zmarszczek, świadczących o zatroskaniu.

- Ani przez moment nie złościłem się na ciebie - szepnął, zaciskając powieki. Ujął jej dłoń i pocałował zachłannie. - To nie była wściekłość, Gretchen!

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy poczuła dotknięcie jego warg. Obudziła się w niej szalona nadzieja. Czyżby odwzajemniał jej uczucia? Chyba mu się podobała! Lekko zarumieniona, w skupieniu obserwowała jego opaloną twarz.

- Tak się cieszę! Byłam pewna, że czujesz się zakłopotany... bo trochę wczoraj przesadziłam - dodała pospiesznie.

- Naprawdę? - Uniósł brwi, a Gretchen popatrzyła na splecione dłonie.

- Rzuciłam ci się na szyję, a ty najwyraźniej nie miałeś ochoty, żebym cię dotykała. Powinnam była przewidzieć... Dlaczego się ze mnie śmiesz?

Philippe pochylił się nad stolikiem i znowu wycisnął na jej dłoni pocałunek, a potem cofnął rękę, skinął na kelnera i zamówił kawę. Życie znów było piękne. Miał wrażenie, że ubywa mu lat. Rozpierała go energia. Znowu czuł się mężczyzną. Popatrzył na tę cudowną dziewczynę, nieświadomą swego uroku, i uśmiechnął się do niej z całego serca. Gretchen

spoglądała na niego z jawnym zachwytem. Był zabójczo przystojny, mimo jasnych blizn na lewym policzku, które stawały się bardziej widoczne, gdy marszczył brwi albo uśmiechał się szeroko.

- Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz - mruknął, gdy kelner nalał mu gorącej kawy i napełnił ponownie filiżankę Gretchen. - Daję słowo, nie znam przyjemniejszego doznania.

- Naprawdę? - Patrzyła na niego szczerze uradowana.

- Oczywiście. - Usadowił się wygodnie i obserwował ją, bawiąc się filiżanką. - Wkrótce poznasz całą prawdę, lecz teraz jest na to jeszcze za wcześnie. Jakie masz plany na dzisiaj?

- Zdaję się na twój wybór. Z góry zgadzam się na wszystko - odparła rozpromieniona.

Roześmiała się, bo jak zwykle miała w sobie mnóstwo entuzjazmu.

- Na wszystko? - powtórzył przyciszonym głosem. Pochyliła się nad stolikiem, rozejrzała się z udawaną obawą.

- Może ukradniemy dwa wielbłądy i założymy agencję turystyczną?

- Świetny pomysł! - Philippe zachichotał. - Sądysz, że potrafisz jeździć na wielbłądzie?

- Cóż... - Wahala się przez moment, szukając właściwej odpowiedzi, bo jej zdaniem taki elegant raczej nie dałby sobie rady z pustynnym wierzchowcem.

Jednak Philippe uniósł ciemne brwi, uśmiechnął się chępliwie i powiedział:

- Pewnego dnia przekonasz się, że mam wiele ukrytych zalet. Wszystko w swoim czasie. Proponuję żebyśmy dzisiaj zobaczyli Muzeum Forbesa. Jego dom, a właściwie pałac został wystawiony na sprzedaż, ale nadal jest otwarty dla zwiedzających. Kilka lat temu Malcolm Forbes wydał tam wspaniałe przyjęcie. Wiele stacji telewizyjnych pokazywało reportaże z tego wydarzenia.

- Pamiętam! Też je widziałam! Naprawdę bankiet odbył się w tym pałacu? - zawołała.

- Och, muszę go zobaczyć! - Najbardziej cieszyła się, że spędzi kolejny dzień w towarzystwie Philippe'a, ale wołała o tym nie mówić, żeby znów się nie skompromitować.

- Zjedz śniadanie, i ruszamy - powiedział rozpromieniony.

Z radością zanurzyła widelec w miseczce napełnionej sałatką owocową. Miała wrażenie, że spełniają się najpiękniejsze sny. Popatrzyła na róże i opuszkami palców musnęła delikatne płatki.

- Dziękuję - szepnęła. - Uwielbiam kwiaty.

- Wiem. - Skinął na kelnera i powiedział do niego kilka słów tonem rozkazującym i stanowczym, a potem jednym gestem odprawił mężczyznę, który odszedł, zabierając kwiaty.

- Dlaczego wziął moje róże? - spytała, zdziwiona zarówno władczyimi manierami Philippe'a, jak i skwapliwą pokorą kelnera.

- Włoży je do wazonu, który pokojówka zanieś do pokoju. Z przyjemnością myślę, że kwiaty ode mnie będą strzegły twego snu - dodał cicho.

Policzki Gretchen poróżwiały, gdy westchnęła głęboko. Philippe z niepokojem pomyślał, że tak niewiele trzeba, aby sprawić jej przyjemność. A jeśli był tylko balsamem na serce złamane przez niestałego w uczuciach narzeczonego? Może to dla niej tylko zauroczenie, chwilowy zawrót głowy, który wprawdzie jest bardzo miły, ale pozbawiony większego znaczenia? Mniejsza z tym. Nieważne, co nią kieruje, skoro potrafiła wzbudzić w nim doznania, których nie odczuwał przez dziewięć lat. Pragnął jej, i to uczucie było teraz dla niego najważniejsze.

Zwiedzili muzealne wnętrza i ogrody stojącego nad morzem pałacu Forbesa. Philippe trzymał Gretchen za rękę. Czuli się przy nim jak pilnie strzeżony bezcenny skarb, ponieważ Bojo nie odstępował ich na krok. Towarzyszyli im również dwaj agenci ochrony, których spostrzegła w Asilah. Tym razem Philippe nie próbował jej wmówić, że pilnują saudyjskiego arystokraty. Stawał się coraz bardziej tajemniczy, ale nie potrafiła się wyrzec jego towarzystwa. Po raz pierwszy w życiu była zakochana.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Minęło kilka dni. Philippe nieustannie dawał Gretchen do zrozumienia, że tak samo jak ona cieszy się, gdy mogą spędzić razem trochę czasu. Bez szczególnej ostentacji zadbał, żeby miała ochronę przez całą dobę, nawet wówczas, gdy jego przy niej nie było. Jeżeli nie wychodzili razem do miasta, Gretchen przesiadywała w ogrodzie lub nad basenem. Philippe miał wiele spotkań z przemysłowcami i przygotowywał kontrakty dotyczące interesów prowadzonych w jego kraju. Negocjacje zajmowały sporo czasu, starał się jednak zjeść z Gretchen przynajmniej jeden posiłek, a bywały takie dni, kiedy dwukrotnie spotykali się w restauracji. Im więcej o niej wiedział, tym bardziej się do niej przywiązywał. Zawsze była wobec niego uczciwa i szczerą. Nie ujawnił przed nią swojej prawdziwej tożsamości, więc miał całkowitą pewność, że nie stanie się obiektem sprytniej manipulacji. Ucieszył się, że wzbudza jej zainteresowanie jak zwykły człowiek, lecz wtedy przy - pomniał sobie niechcianą litość Brianne; ta myśl była dla niego jak kubeł zimnej wody. Uznał, że postępuje nieuczciwie, pozwalając, żeby Gretchen łudziła się nadzieją. Przecież sądziła, że mogą być razem, a on nie miał żadnej pewności, czy potrafi spełnić jej oczekiwania. Jednak z drugiej strony niczego już nie był pewny.

Każdy dzień stanowił potwierdzenie, że tamta fizyczna reakcja nie była ewenementem. Ilekroć dotykał Gretchen, z radością i zakłopotaniem stwierdzał, że czuje jak każdy normalny mężczyzna. Nie zorientowała się, że jej pragnie, bo doświadczenie w tych sprawach miała znikome. Na wszelki wypadek zachowywał stosowny dystans, żeby nie stracić kontroli nad własnym ciałem. Trzymał Gretchen za rękę, ale ku jej widocznemu rozczarowaniu nie pozwalał sobie na śmielsze gesty. Zachwycał się niewinną kokieterią, radością życia i jawnym zainteresowaniem, które mu okazywała. Nie mógł pozwolić, żeby się wymknęła, więc czekał, aż przyjdzie chwila, kiedy sama już nie będzie w stanie go opuścić. Naprawdę stawiała mu się niezbędną.

Kilka dni później Gretchen, ubrana w czerwony kostium, siedziała nad basenem. Nosila ciemne okulary. Nagle ktoś zasłonił jej słońce, więc otworzyła oczy. Obok niej stał Philippe w eleganckim garniturze, z miną posepniejszą niż kiedykolwiek. Zdjęła okulary i zarumieniła się, gdy taksującym wzrokiem ogarnął jej skąpo odzianą postać. Zmrużonymi oczyma spoglądał na kształtny i jędrny biust, płaski brzuch, szczupłe biodra, długie nogi i ładne stopy. Wstrzymał oddech, gdy przebiegł go miły dreszcz - niezwykle i cudowny dla mężczyzny, który przed wielu laty stracił czucie od pasa w dół. Zaczynał się uzależniać od

tych rozkosznych doznań, które pojawiały się w jej obecności, i coraz częściej zadawał sobie pytanie, jak wypadłby w łóżku. Na razie nie śmiał jednak podjąć takiej próby.

- Chodź ze mną, Gretchen - powiedział w końcu.

- Odkładałem tę chwilę, póki się dało, ale teraz musimy porozmawiać.

Pochylił się, chwycił ją za ramię i pomógł wstać. Sięgnął po obszerną koszulę rzuconą obok leżaka. Wzięła ją i szybko się okryła. Po marmurowych schodach zaprowadził ją na patio umieszczone powyżej basenu i ocienione wysokimi drzewami. Usiedli na białych krzesłach z ręcznie kutego żelaza przy stoliku z marmurowym blatem. Gdy podszedł do nich barman, Philippe zamówił dwa drinki z dodatkiem rumu.

Gretchen zdawała sobie sprawę, że marokańskie wakacje dobiegają końca. Wkrótce miała polecieć do Qawi, a Philippe wróci do siebie. Ciekawe, gdzie leży jego kraj. Na samą myśl o rozstaniu poczuła się rozpaczliwie osamotniona. Minęło zaledwie kilka dni, a ten mężczyzna stał jej się niezwykle bliski.

- Nie piję alkoholu - przypomniała, zaniepokojona jego posepną miną.

- To cię postawi na nogi, gdy wyznam całą prawdę - odparł z ponurym uśmiechem. Wyjął z kieszeni tureckie cygareto i zapytał: - Pozwolisz? - Gdy kiwnęła głową, zapalił je i otoczył się chmurą dymu. Do tej pory nie widziała, by palił. Dzisiaj był wyraźnie zdeenerwowany. Odezwał się dopiero, gdy kelner przyniósł im drinki. - To pina colada - wyjaśnił. - Zawiera odrobinę rumu. Spróbuj. - Posłuchała i skrzywiła się, czując ostry smak alkoholu. - Z każdym łykiem staje się lepsze - dodał z uśmiechem i także się napił. - O czym chcesz rozmawiać? - zapytała. - O sobie - mruknął, opadając na oparcie krzesła. - Najwyższy czas, abym zdobył się wobec ciebie na szczerość. - Twarz mu stężała. - Niezależnie od tego, co sam czuję, powinienem cię uprzedzić, żebyś w związku ze mną nie robiła sobie złudnych nadziei.

- Philippe! - szepnęła zarumieniona. Uciszył ją ruchem dłoni.

- To wyznanie jest dla mnie trudniejsze, niż sądzisz - ciągnął. - Proszę, wysłuchaj mnie do końca. Potem będziesz mówić. Dziewięć lat temu pojechałem w interesach do Palestyny i tam przypadkowo natknąłem się na minę przeciwniechotną, pozostałość jednego z tamtejszych konfliktów. Nastąpił wybuch - opowiadał, unikając jej wystraszonego spojrzenia. - Od tamtej pory nie jestem... mężczyzną. - Trochę mijał się z prawdą, ale nie śmiał jeszcze podzielić się z nią swoimi przypuszczeniami. Słabo go znała. Powinien zasłużyć na jej zaufanie, nim poprosi, żeby mu się oddała, a poza tym chciał zobaczyć, jak zareaguje na wiadomość, że ma do czynienia z impotentem.

Marzenia Gretchen rozwiały się jak sen. Szybko skojarzyła fakty: te blizny na lewej dłoni... Odruchowo popatrzyła na niego i przeniosła wzrok, przyglądając się policzkowi.

Wybuch bomby. Zgadza się, po tamtym wypadku Philippe przestał być mężczyzną. Upiła łyk i zakrztusiła tak mocno, że z trudem chwyciła powietrze. Serce pękało jej z żalu...

Philippe utkwiał wzrok w swoim kieliszku. Czego się spodziewałeś, pomyślał z goryczą. Doskonale pamiętał serdeczność Brianne oraz jej skrywane politowanie. Zaciśnął powieki, gardząc samym sobą. Nagle poczuł na swojej dłoni lekkie dotknięcie chłodnych palców, które gładziły jego blizny. Otworzył oczy, by popatrzeć na Gretchen. Zdumiony stwierdził, że spogląda na niego z czułością i smutkiem.

- Zastanawiałam się, czemu się nie ożeniłeś - wyznała po namyśle. - Nie muszę ci przypominać, że jesteś wyjątkowo przystojny, wykształcony i czarujący. Dziwiłam się, co cię może pociągać w dziewczynie tak zwyczajnej i nudnej jak ja.

- Co ty mówisz? Jesteś cudowna i wcale się przy tobie nie nudzę - wtrącił, szczerze zdziwiony.

- Trudno powiedzieć, żebym była szczególnie atrakcyjna. - Wzruszyła ramionami. - Doszłam do wniosku, że spotykasz się ze mną dla zabicia czasu. Przyjechałeś tu sam, a ja byłam pod ręką. - Skrzywiła twarz. - Nie widziałam innego powodu, dla którego mógłbyś zainteresować się moją skromną osobą i proponować kolejne spotkania.

Philippe westchnął przeciągle. A więc właściwie ją ocenił. Nie zamierzała uciekać. Była odważna. Chwycił jej dłoń i ścisnął mocno.

- Bardzo niska samoocena.

- To samo mogłabym powiedzieć o tobie - odrzekła śmiało. Zaskoczyła go tą uwagą. - Masz powody, żeby się bardziej cenić. Zdaję sobie sprawę, że dla mężczyzny te sprawy mają ogromne znaczenie, ale pamiętaj, że rozmawiasz z dziewczyną, dla której fizyczna przyjemność jest czystą abstrakcją. Deryl kilka razy próbował mnie pieścić. Znosiłam jego awanse bez szczególnego zadowolenia. To moje jedyne doznania tego typu. Zapewne jestem oziębła, a nawet gdyby było inaczej, nie będzie mi brakować doznań, których dotąd nie przeżywałam. - Popatrzyła w ciemne, chmurne oczy. - Stałeś mi się bardzo bliski - wyznała nieśmiało, a potem, mimo zawstydzenia, uśmiechnęła się do niego. - W takim razie... to bez znaczenia, prawda? Myślę... o bliznach.

Philippe opadł ciężko na oparcie i puścił jej dłoń. Jednym haustem dopił swego drinka i siedział nieruchomo, wpatrzony w Gretchen i niezdolny wykrztusić słowa.

- Nie musisz nic mówić - zaczęła, boleśnie dotknięta jego zachowaniem. - Jak zwykle powiedziałaś za dużo, tak? Ilekroć rozmawiamy na te tematy, moja przesadna szczerłość tylko pogarsza sprawę.

- Jesteś absolutnie wyjątkowa, Gretchen. Nie spotkałem dotąd nikogo, z kim mógłbym cię porównać - odparł i westchnął głęboko. Gdy przyglądał się jej zmrużonymi oczyma, sprawiał wrażenie stokroć mądrzejszego i dojrzałego niż ona. Na skupionej twarzy malowała się teraz osobliwa pewność siebie. - A zatem moja... dolegliwość cię nie odstrasza?

- Gdyby ci brakowało ręki albo nogi, nadal byłbyś sobą - odparła z pobłażliwym uśmiechem. - Uwielbiam twoje towarzystwo, bo czuję się... bezpieczna.

- Racja - przytaknął, wybuchając szyderczym śmiechem.

- Nie to miałam na myśli - zachnęła się ostro. Zmarszczyła brwi, szukając odpowiednich słów. - Kiedy jestem z tobą, niestraszne mi żadne niebezpieczeństwo. - Odwróciła wzrok. - Boję się tylko, że spróbujesz mnie uwieść.

- Dlaczego?

- Pewnie by ci się udało - mruknęła ze spojrzeniem utkwionym w mozaikowy wzór terakotowej posadzki.

Zapadła cisza. Gretchen daremnie czekała na odpowiedź. W końcu podniosła głowę i popatrzyła na niego. Znieruchomiał niczym posąg, wpatrując się w nią uporczywie.

- Zaczynam to brać pod uwagę - mruknął w końcu, jakby do siebie, i ponownie zmrużył oczy. - Nie spodziewałem się, że tak zareagujesz. Wcale nie byłbym zdziwiony, gdybyś zarezerwowała miejsce w pierwszym samolocie do Stanów i raz na zawsze wymazała mnie z pamięci.

- Miałabym wrócić do nudnej pracy i monotonnej codzienności? - Roześmiała się, przesuwając kieliszek z resztką alkoholu po gładkim blacie stolika. - Nie mam po co wracać do Teksasu, a poczucie osamotnienia zabrałam ze sobą. - Palcem rysowała wzory na zaparowanym kieliszku. - Wspomniałeś, że od czasu do czasu bywasz w Qawi - dodała, rzucając mu szybkie spojrzenie.

Usiadł wygodnie i założył nogę na nogę. Najwyższa pora wyznać całą prawdę. Gretchen zasłużyła sobie na szczerłość.

- Tak. Przyznaję, mieszkam w tym kraju - odparł lekkim tonem.

- Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś? - Zamrugła powiekami.

- Nic o tobie nie wiedziałem - tłumaczył przyciszonym głosem. - Musiałem najpierw sprawdzić, czy wyznasz mi szczerze, kim jesteś. Od razu się zorientowałem, że Maggie Barton to nie ty - dodał z chytrym uśmieszkiem.

- Skąd wiedziałeś?

- Na moim biurku leży jej zdjęcie, życiorys i podanie o pracę - odparł, wzruszając ramionami. Popatrzył na Gretchen i poprawił się na krześle. Oczy mu błyszczały, gdy czekał cierpliwie, aż sama ułoży rozsypane elementy układanki.

Źrenice rozszerzył jej się, gdy analizowała fakty dotyczące szejka Qawi: jego wiek, kawalerski stan, osobliwe pogłoski i zaszarganą reputację... Westchnęła głęboko, gdy uświadomiła sobie, kim jest Philippe. To jego pilnowali ochroniarze, a Bojo wcale nie był przewodnikiem, lecz tajnym agentem. Nie miała do czynienia z zagranicznym przemysłowcem czy ambasadorem. Philippe to szejek Qawi, jej nowy szef!

- Zgadza się, Gretchen. Dwa i dwa jest cztery, prawda? - mruknął i zachichotał, patrząc w jej szeroko otwarte oczy. - Doceniam fakt, że pierwszego dnia wyznałaś mi, jaka jest twoja sytuacja. Nim słońce zaszło, wiedziałem, że można ci zaufać. Śmiało powierzyłbym ci własne życie.

- Byłam okropnie arogancka i niezręczna! - upierała się.

- Dla mnie jesteś zachwycająca - odparł cicho. - Masz odwagę polującego sokoła i brzydzisz się kłamstwem. Gdybym czuł się prawdziwym mężczyzną, jak przed dziewięciu laty, już byłabyś moja... pod każdym względem.

- Ja?!

- Ty. - Odsunął kieliszek i pochylił się w jej stronę. - Będę z tobą całkowicie szczery, Gretchen. Kiedy postanowiłem zatrudnić Amerykankę z bogatym doświadczeniem życiowym i zawodowym, nie chodziło mi wyłącznie o zdolną asystentkę. Wiesz, co mnie spotkało, i z pewnością jest dla ciebie oczywiste, czemu lękam się płotek. Władca absolutny nie może sobie pozwolić na ujawnianie słabości, zwłaszcza tak poważnych. Zatrudniając nową asystentkę, miałem ukryte motywy i wcale z nich nie rezygnuję - dodał ponuro. - Może zabrzmie to śmiesznie, lecz taka jest racja stanu. Nie wiem, czy zaakceptujesz nowe warunki, ale muszę ci je przedstawić.

- Czego się po mnie spodziewasz? - spytała z wyraźnym zaciekawieniem.

Po wysłuchaniu jego zwierzeń była lekko oszołomiona. Te rewelacje oznaczały kres jej wielkich nadziei. Philippe nie mógł się z nią kochać; co gorsza, okazał się panującym władcą, o którym uboga i ciężko pracująca dziewczyna z Teksasu nie powinna nawet marzyć. Trzeba zadowolić się jego przyjaźnią i nie liczyć na więcej. To zdumiewające, jak wielkie było jej rozczarowanie. Poznała całą prawdę, lecz wciąż buntowała się na samą myśl, że czeka ich rozstanie. Pragnęła go widywać, nawet gdyby od dziś niewiele dla niego znaczyła.

- Musiałabyś przystać na rozmaite warunki i ograniczenia. Nasze spotkania odbywałyby się w obecności twoich służących, którymi są wyłącznie kobiety. Rzecz jasna nie

ma mowy, żeby cię widywali moi ochroniarze albo znajomi mężczyźni. Byłabyś jedyną mieszkanką haremu, co zostałoby przez wszystkich jednoznacznie zrozumiane.

- Mam udawać, że jestem twoją kochanką? - Poczła rozkoszny dreszcz. Oddychała szybko, zielone oczy błyszczały, a policzki były zarumienione.

- Tak.

Zrobiło się jej gorąco i omal nie zemdlła na myśl o jego pocałunkach. Potrzebował kamuflażu, a ona z kolei uświadomiła sobie z całą wyrazistością, że naprawdę go pragnie. Przyciągał ją niczym magnes niezależnie od tego, czy potrafi dać jej rozkosz, czy nie. Wyobrażenia podsuwała śmiało wizje, które wprost zapierały dech w piersiach.

- Nie mam pojęcia, jak powinna się zachowywać kobieta z haremu - przyznała z namysłem.

- Ja również jestem w tej dziedzinie ignorantem, chociaż pamiętam sceny z kilku filmów - odparł żartobliwie, bo wreszcie wróciło mu poczucie humoru. - Nauczmy się tego we dwoje.

- Rozumiem. Oboje jesteśmy nowicjuszami i mamy równe szanse, prawda? - Wyraz niepewności zniknął z jej twarzy. Uśmiechnęła się z nie ukrywaną radością.

- Ładnie to ujęłaś - przytaknął. Ciemne oczy patrzyły na nią z czułością. - Przy mnie twoja niewinność raczej nie będzie zagrożona. Pozostaniesz nietknięta. - Tak mu się przynajmniej wydawało. Nie miał odwagi wyznać Gretchen, co się z nim dzieje w jej obecności ani zdradzać przedwcześnie swych nadziei. Zresztą gdyby wiedziała, mogłaby się przestraszyć i zwyczajnie zwać.

- Jak daleko mamy się posunąć w tej grze? - spytała głośno.

- Musimy być dla wszystkich przekonujący. To wystarczy - odparł.

Wstydliwie odwróciła wzrok.

- Masz na myśli pocałunki... i tym podobne?

- Tak. Zwłaszcza... tym podobne - przyznał i kpiąco uniósł brwi, a ona zachichotała jak pensjonarka.

- Będziemy razem zasiadać do stołu? - ciągnęła. Philippe kiwnął głową.

- Mamy też razem wychodzić? Och, to niemożliwe! - zreflektowała się, bo przypomniała sobie powieść osadzoną w realiach Bliskiego Wschodu. - Tutaj kobiety nie pokazują się publicznie w męskim towarzystwie.

- Jestem władcą Qawi - przypomniał. - W moim kraju kobiety mają prawa wyborcze i własne majątki. Muzułmanki noszące zwyczajowe stroje, czyli abę i hijab, robią to z własnego wyboru, bez nacisków ze strony władz. Ministrami w moim gabinecie są także

panie, a wielkie firmy, które otwierają u nas filie, zatrudniają je na kierowniczych stanowiskach. A jeśli chodzi o życie prywatne... Jako szejk mogę zmieniać i ustanawiać zasady. Będziemy chodzić wszędzie, gdzie zechcemy. Mam też własny jacht, więc nauczę cię żeglować.

- Uwielbiam statki. - Gretchen cieszyła się jak dziecko. Nie widział jej dotąd w tak wspaniałym humorze.

- Byłaś kiedykolwiek na pokładzie? - zapytał.

- Jeszcze nie, ale już się na to cieszę.

- Popłyniemy w rejs. - Philippe niespodziewanie spochmurniał i wyjąkał z trudem: - Nie jesteś... zaniepokojona na myśl o takiej... bliskości z mężczyzną, który... nie jest w pełni sprawny?

- Ależ skąd! - odparła łagodnie. Popatrzyła ukradkiem na jego silne dłonie i mocne ramiona. Przypomniała sobie, co czuła, gdy na huśtawce trzymał ją w objęciach, i zadrżała. To było cudowne przeżycie. - Myślę, że będzie wspaniale. Pomyśleć tylko: sama jedna w całym haremie! - Popatrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem. - Masz pojęcie, co powie służba? Uznają, że jestem warta znacznie więcej niż dziesięć nałożnic!

Philippe był w siódmym niebie, więc roześmiał się głośno.

- Naprawdę ci się podobam? - spytał z ociąganiem. Zakłopotana Gretchen powoli sięgnęła po kieliszek i upiła łyk.

- Tak. Bardzo - odparła zduszonym głosem, a Philippe zatonął na moment w głębinach łagodnych zielonych oczu.

Wydało mu się, że ziemski glob znieruchomiał na moment, by wnet ruszyć dalej po swojej orbicie.

Wcześniej nie umiał przewidzieć, co Gretchen powie na jego sugestię. Kiedy się zgodziła, miał wrażenie, jakby znowu był zdrow i cały. Wyciągnął rękę ponad stołem, niecierpliwym gestem chwycił jej dłoń i ciasno splótł palce.

- Jedno mogę ci obiecać: na pewno będziesz zadowolona - dodał przyciszonym głosem. Oczy mu płonęły. - Choć moje metody działania z pewnością będą oryginalne.

- Ja również sądzę, że nowa posada da mi sporo zadowolenia - przytaknęła Gretchen, trochę zbита z tropu, ponieważ nie była pewna, o co mu właściwie chodzi. Mniejsza z tym. I tak miała wiele powodów do radości. Patrzyła na jego rozchylone usta.

- Mam nadzieję, że nie będziesz protestować, jeśli zaproponuję, żebyśmy juro rano opuścili Tanger? - stwierdził niespodziewanie.

- Tak szybko? Dlaczego? - Serce biło jej coraz szybciej.

- Pamiętasz telefon odebrany przez Boja kilka dni temu? Pożegnałem cię wtedy i natychmiast odszedłem - odparł bardzo poważnie, a Gretchen kiwnęła głową. - Dzwonił jeden z naszych informatorów. Mój najgorszy wróg za kaucją wyszedł z rosyjskiego więzienia i prawdopodobnie już planuje zamach. Przypuszczam, że niedawna próba uprowadzenia w Asilah to jego sprawka, chociaż nie jestem w stanie tego udowodnić.

- Dlaczego tak się na ciebie zawziął?

- Jak myślisz, kto wpakował drania do pudła i zebrał przeciwko niemu niezbite dowody? - tłumaczył Philippe. - Wykazałem, że jest odpowiedzialny za atak na platformę naftową, który spowodował fatalną w skutkach katastrofę ekologiczną w jednym z krajów rosyjskiej Wspólnoty Niepodległych Państw. Ten człowiek stracił wszystko i z tego powodu pragnie zemsty, chyba nie tylko na mnie. Przed czterema dniami kazałem podwoić ochronę, ale moim zdaniem Kurt Brauer wkrótce trafi na nasz ślad. Musimy natychmiast opuścić Maroko i lecieć do Qawi, gdzie mam do dyspozycji znacznie więcej odpowiednio wyszkolonych ludzi i łatwiej mi będzie cię chronić.

- Naprawdę sądzisz, że ten Brauer mógłby wyrządzić mi krzywdę?

- Oczywiście - odparł rzeczowo. - Jeśli będzie miał taką możliwość, bez skrupułów zaszkodzi każdemu, kto jest ze mną związany, choćby luźno. To jego ulubiona metoda.

- Dużo masz takich wrogów?

- Niewielu - zapewnił i uśmiechnął się do niej, a z jego oczu można było wyczytać szczere i serdeczne przywiązanie. Zachichotał cicho. - Na szczęście dla nas obojga. - Nagle spoważniał. - Gretchen, jeśli żałujesz swojej decyzji, a moja propozycja wydaje ci się niebezpieczna, możesz się jeszcze wycofać, ale zrób to w tej chwili. Gdy przyjedziesz do Qawi, będziesz musiała tam zostać - oznajmił stanowczo, a w jego głosie pobrzmiwały zaborcze nuty.

Czuła na sobie jego badawcze spojrzenie. Wyobraziła sobie, że Philippe leży obok, bierze ją w ramiona i pieści jak namiętny kochanek. Poczuła przyspieszone bicie serca.

- Nie boję się twoich wrogów. Niech się dzieje, co chce. Zostanę z tobą.

W jej słowach było tyle radości i zapału, że musiał się znowu uśmiechnąć.

- Wiedziałem, że nie brak ci odwagi - powiedział cicho. - A więc postanowione. Zdajmy się na los. Czas pokaże, co z nami będzie.

- Takie było nasze przeznaczenie - odparła z pogodnym uśmiechem, wiedząc, że w jej życiu zaczyna się wielka przygoda.

Następnego ranka Gretchen czekała w holu, gdy jej nowy szef i Bojo przyjechali po nią do hotelu.

- Chciałam ci zadać jedno pytanie - powiedziała, gdy szli do limuzyny, za kierownicą której siedział uśmiechnięty Mustafa.

- Słucham - odparł, sadowiąc się wraz z nią na tylnej kanapie. Bojo zajął fotel obok kierowcy.

- Philippe to twoje prawdziwe imię?

- Jedno z wielu, które mi nadano. - Roześmiał się. - Używam go, przebywając za granicą.

- Philippe - szepnęła, a w jej ustach krótkie słowo było jak pieszczota. Z pogodną miną wydeła usta i lekko kpiąco uśmiechnęła się, by dodać: - A nazwisko Souverain? A może od razu Jego Cesarska Wysokość Napoleon I?

Philippe również był w świetnym humorze.

- Użyłem francuskiego określenia władcy, bo przecież nim jestem. W moich żyłach płynie francuska, turecka i arabska krew. Nazywam się Sabon, Philippe Sabon. Wolałem zachować incognito, póki nie poznam cię lepiej. Wprawdzie od początku ci ufałem, ale nie mogłem ryzykować.

- Okazałam się taka naiwna. Długo mnie zwodziłeś - przyznała z rozbawieniem.

- Byłaś i jesteś zachwycająca - zaprotestował natychmiast. - Bardzo się wstydzilem z powodu tej maskarady, zwłaszcza że ty od początku byłaś ze mną zupełnie szczerą.

- Nienawidzę kłamstwa - wyjaśniła z prostotą.

- Ja również, ale czasem z konieczności muszę uciekać się do półprawd i niedomówień - odparł, spoglądając na jej lekko opaloną twarz. Włożyła dziś jedwabną bluzkę z długimi rękawami i zielone spodnie.

- Nie jest ci gorąco? - zapytał niespodziewanie.

- Trochę, ale przeczytałam hotelową broszurę i wiem, że miejscowi szczypią kobiety odsłaniające ramiona.

- Zamiast czytać takie bzdury, poproś o radę człowieka stąd. - Z politowaniem kiwał głową.

- Mówisz o sobie? Urodziłeś się w Maroku? - wypytywała, zdziwiona jego słowami.

- Szczerze mówiąc, nie znam swego miejsca urodzenia - odparł cicho, przyglądając się jej z uwagą.

- Moje dzieciństwo to wielka niewiadoma.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Jako mały chłopiec zebrałem w Bagdadzie - powiedział, z trudem ukrywając gorycz.

- Głodowałem, kiedy mój ojciec przyjechał do Iraku. Z pozoru była to wizyta państwowa,

lecz przede wszystkim próbował mnie odnaleźć. Przebywałem wówczas u dawnej niańki, która się mną opiekowała... - Po chwili wahania poprawił się: - A raczej wykorzystywała mnie, posyłając na ulicę, abym żebrał, w ten sposób zdobywając dla niej żywność. Niańka służyła u mojej matki, a po jej zniknięciu uciekła, zabierając mnie ze sobą. Bała się, że ojciec w gniewie zabije mnie, aby pomścić matczyne grzechy.

- A cóż takiego zrobiła twoja matka? - Gretchen była wyraźnie zainteresowana. Gdy Philippe ujął jej dłoń, poczuła miły dreszcz.

- Sypiała przynajmniej z dwoma pałacowymi strażnikami - wycedził przez zęby. - W tamtych czasach dla muzułmanki karą za cudzołóstwo była śmierć, dlatego matka uciekła z kraju.

- Domyślam się, że twój ojciec utrzymywał harem - powiedziała karcącym głosem.

- Jest chrześcijaninem - odparł ku jej zaskoczeniu.

- Miał tylko jedną żonę i mimo różnic religijnych, pozostał jej wierny. Muzułmanka nie powinna wychodzić za innowiercę, z drugiej strony jednak moja matka najwyraźniej w ogóle nie zwracała sobie głowy kwestiami religijnymi i moralnymi. Ojca i mnie wielokrotnie nachodziły bolesne wątpliwości, czy rzeczywiście jestem jego synem, lecz żaden z nas nie miał odwagi zrobić badania krwi - dodał z gorzką ironią.

- Przepraszam. Chyba dość schematycznie myślę o krajach Bliskiego Wschodu.

- Jak większość Amerykanów - odparł cicho, odwracając się w jej stronę. - Poza tym demonizujecie sprawy związane z erotyzmem, przykładacie do nich zbyt dużą wagę.

- Mnie do tego nie mieszaj - mruknęła ironicznie.

- Pod tym względem jestem dość wstrzemięzliwa.

- Wiem. - Podniósł do ust jej lekko wilgotną dłoń i popatrzył w zielone oczy. - Ta świadomość jest dla mnie podniecająca. W tej części świata czystość jest ogromnie ceniona, zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Zachodnią wizję moralności uważamy za wypaczoną.

Gretchen przysunęła się do niego trochę bliżej, zerkając niespokojnie na zajmujących przednie siedzenie dwu mężczyzn, którzy rozmawiali z ożywieniem, nie zwracając uwagi na pasażerów. Philippe usiadł tak, żeby kolanem dotykać jej uda okrytego cienką tkaniną. Uważnie się jej przyglądał.

- Masz na mnie... niezwykle wpływ - szepnął z trudem.

- Dlatego mnie przedtem odepchnąłeś? - spytała cicho, spoglądając na jego wyraziste, pięknie wykrojone usta.

Wsunął smukłą dłoń pod kurtynę jasnych włosów, dotknął jej karku i szepnął na ucho:

- Uciekłem przed tobą, ponieważ byłem tak podniecony, że stało się to widoczne - wyznał szczerze głosem schrypniętym z wrażenia. - Dziewięć lat minęło, odkąd kobieta w ten sposób na mnie podziała.

Gretchen słuchała go z rozchyłonymi ustami. Rozpierała ją duma, a serce kołatało tak mocno, że słyszał jego głośne bicie. Odruchowo wsunęła mu dłoń pod marynarkę i zacisnęła lekko palce na białej koszuli, wyczuwając miękkie owłosienie. Miała powody do radości. Philippe naprawdę jej pragnął!

Usłyszała jego cichy jęk, gdy objął dłonią jej kark. Odsunął się nieco, żeby popatrzeć w zielone oczy o rozszerzonych źrenicach. Czuł na ustach jej przyspieszony oddech i widział, jak cała drży w rytm kołającego serca. Piersi nabrzmiały pod cienkim, białym jedwabiem, podkreślającym ich kształt.

Patrzyła na niego z ledwie skrywaną chętnością, ponieważ dokonała w nim przemiany, niemożliwej do osiągnięcia dla innych kobiet. Przeszedł ją dreszcz pod wpływem tego cudownego odczucia. Philippe gładził kciukiem jej szyję tuż pod uchem, gdzie wyczuwał pulsowanie krwi.

- Wspomniałaś, że cię dotykał - mruknął. Minęło kilka chwil, nim wreszcie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Zawsze miałam na sobie bluzkę - szepnęła drżącym głosem. - Nie pozwoliłam mu jej rozpiąć. - Odruchowo zacisnęła dłoń, przez cienki materiał koszuli wbijając lekko paznokcie w skórę na jego piersi. Wyobraziała sobie tors porośnięty ciemnymi włosami. Pod materiałem wyczuwała sprężystą, miękką poduszkę. - Bardzo bym chciała... żebyś mnie dotykał!

Przytulił do ramienia jej twarz i zadrżał, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Czuł znajome pulsowanie. Nie do wiary! Oddech miał urywany. Mocniej zacisnął palce, obejmujące kark Gretchen, i przygarnął ją do siebie, a ona znów wbiła paznokcie w jego koszulę i skórę. Westchnęła rozkosznie, przytulona do ukochanego, który jęknął cicho. Niech diabli porwą facetów na przednim siedzeniu, tę cholerną limuzynę i przemykające obok auta z opuszczonymi szybami. Philippe pragnął Gretchen!

- Usiądź prosto! Natychmiast! - wycodził przez zęby i zdecydowanym ruchem silnego ramienia odsunął ją na dawne miejsce, umyślnie spoglądając w okno po przeciwnej stronie. Pięść drugiej ręki miał zaciśniętą.

Gretchen kręciło się w głowie, ale nie straciła dobrego humoru. Wiedziała, że Philippe nie odepchnął jej, bo nie mógł znieść jej dotyku. Umyślnie zerknęła na miejsce poniżej pasa, gdzie marynarka była rozchyłona. Nie miała erotycznego doświadczenia, ale dzięki lekturom trochę znała się na rzeczy i potrafiła rozpoznać symptomy męskiego pożądania. Nie miała

wątpliwości, że Philippe jest pod wpływem gwałtownej żądzy. Miała ochotę śpiewać z radości na samą myśl, że zyskała nad nim władzę, której żadna kobieta nie posiadała od dziewięciu lat.

Potem ogarnęły ją wątpliwości. Może przedtem tylko udawał impotentą i karmił ją zmyślonymi historyjkami? Po namyśle uznała, że mówił szczerze. Był tak zaskoczony swoimi odczuciami, że z trudem nad sobą panował i zachowywał się chwilami jak dzikus. Tak mocno zaciskał palce, gdy obejmował jej kark. Postanowiła zawierzyć instynktowi i cieszyć się ledwie odkrytą siłą własnej kobiecości. Po aferze z Derylem straciła pewność siebie, ale teraz zyskała dowód, że jej uroda działa na mężczyzn. Philippe był nią oczarowany i naprawdę jej pragnął!

Wyobraziła sobie, że leżą na posłaniu nadzy i mocno przytuleni, a on patrzy na jej obnażone ciało, dotyka, zasypuje pocałunkami. Była pewna, że pod wpływem jego pieśczoćot wzięci ku niebu.

Popatrzyła na spoczywającą między nimi dłoń zaciśniętą w pięść i pieśczoćotliwym gestem objęła ją szczupłymi, chłodnymi palcami. Chwycił je natychmiast i splótł ze swoimi. Gwałtownie odwrócił głowę i popatrzył na Gretchen takim wzrokiem, że zapomniała o całym świecie. Westchnęła głęboko, gdy mocniej zacisnął palce.

Od tej chwili wiedziała już na pewno, że bezgranicznie go kocha.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W chwili gdy Philippe i Gretchen, eskortowani przez Mustafę i Boja, przyjechali na lotnisko, nastrój zmienił się całkowicie. Przy wejściu czekali trzej potężnie zbudowani mężczyźni w garniturach z mocno wypchanymi marynarkami. Wystarczył jeden gest Boja, aby otoczyli podróżnych i przeprowadzili ich przez zatłoczoną halę odlotów i dalej aż na pas startowy, gdzie czekał prywatny odrzutowiec szejka. Jeden z ochroniarzy wyglądał na zawodowego boksera wagi superciężkiej. Długie, kruczoczarne włosy związał w koński ogon. Nie odezwał się ani razu, lecz wystarczyło jedno słowo i wymowny gest Philippe'a, żeby stał się cieniem Gretchen.

Dwaj mężczyźni w mundurach ukłonili się nisko na widok szejka i przemówili do niego z szacunkiem. Philippe wydał rozkazy, a potem wziął Gretchen pod rękę i pomógł jej wejść po schodach do wygodnej kabiny niedużego samolotu. Bojo i reszta ochroniarzy natychmiast do nich dołączyli, zajmując miejsca przy stolikach w głębi kabiny.

Prywatny odrzutowiec zaciekał Gretchen, która po raz pierwszy weszła na pokład takiej maszyny. Były tam obszerne fotele i niewielkie stoliki. O wygodę pasażerów dbał steward w liberii. Podziwiała elektroniczne gadżety, których było mnóstwo.

- To wewnątrz przypomina gabinet mego brata - stwierdziła z uśmiechem, siadając naprzeciwko Philippe'a przy stoliku umieszczonym pod oknem.

- Czym on się zajmuje? - wypytywał.

- Jest agentem Federalnego Biura Śledczego - odparła. - Bardzo go tam cenią, szybko awansuje. Dawniej był teksaskim strażnikiem i moim zdaniem żał mu tamtych czasów. Jego najlepszy przyjaciel, Judd Dunn, nadal pracuje w Austin i próbuje nakłonić mego brata do powrotu. Mark jest w FBI od dwóch lat i choć podoba mu się ta praca, twierdzi, że wykańcza go nieustanne podróżowanie. - Gretchen zachichotała. - Dawniej nienawidził naszego miasteczka, a teraz powiada, że tęskni za Teksasem.

- Jesteście sobie bliscy? - zapytał Philippe, mrużąc oczy.

- Bardzo - przytaknęła. - Odkąd rodzice umarli, został mi tylko on. Masz rodzeństwo?

- Miałem dwóch starszych braci, lecz obaj piętnaście lat temu zginęli w zamachu terrorystycznym. - Philippe wyjął z kieszeni drogie cygareto, odciął czubek i zapalił.

- Tak mi przykro - powiedziała, bawiąc się końcówką paska zielonych jedwabnych spodni. - Czy obawiasz się innych wrogów poza przestępcą, który właśnie wyszedł z więzienia i jego najemnikami?

- Kto jest głową państwa, ten musi brać pod uwagę możliwość zamachu i utraty życia
- powiedział cicho, opadając na oparcie fotela. - Takie są realia dotyczące władzy i odpowiedzialności za kraj.

- Właśnie dlatego ochroniarze i Bojo stale ci towarzyszą, prawda?

- Nigdzie się bez nich nie ruszam. - Kiwnął głową i uśmiechnął się lekko. - Ojciec miał trzech synów, a tylko ja mu pozostałem i dlatego muszę znosić jego nadopiekuńczość. Rzecz jasna, przypomina sobie o własnym potomku tylko wówczas, gdy na moment odrywa się od swoich bezcennych orchidei - dodał, wybuchając śmiechem.

- Zaakceptował twój pomysł zatrudnienia amerykańskiej asystentki?

Philippe wydał usta i wypuścił smużkę dymu. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, ale doszedł do wniosku, że lepiej mówić prawdę.

- Nie. Do Europejczyków jest źle nastawiony z powodu ich imperialistycznych zapędów sprzed lat, natomiast Amerykanów ma za dekadentów, więc może robić ci przykrości. Ale nie pozwól się zastraszyć - dodał stanowczo. - Mężczyźni już tacy są, że źle traktują te kobiety, które im na to pozwalają.

- Ty również? - spytała z powagą.

Philippe zmrużył czarne oczy i popatrzył na nią bez uśmiechu.

- Oczywiście. Nie masz pojęcia, jakie życie wiodłem do tej pory. Na długo przed objęciem władzy w Qawi uwielbiałem wydawać rozkazy. Muszę cię ostrzec, że od dziecka przywykłem do bezwzględnego posłuszeństwa.

- Wcale nie jestem zdziwiona - wyznała z zagadkowym uśmiechem. Gdy poznała garść szczegółów z jego życia, wydał jej się jeszcze bardziej interesujący. - Czy wszystkie kobiety w twoim kraju noszą chusty na głowach i trzymane są z dala od mężczyzn?

- Ach, ci amerykańscy dziennikarze - mruknął, a twarz mu się wypogodziła. Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Doskonale wiem, o co chodzi. Wy tam w Stanach uważacie, że nasze kobiety są uciemnione i żyją w ciągłym strachu przed okaleczeniem lub śmiercią z męskiej ręki.

- Zmieniłam zdanie, kiedy poznałam ciebie - odparła roześmiana.

- To mi pochlebia. - Spokojnie palił cygaro. - Tak się składa, że próbuję zmienić życie moich poddanek, co się nie podoba ojcu, ale daremnie wściekł się na mnie z powodu wprowadzania nowych praw Twierdzi, że jestem takim samym dekadentem jak Europejczycy i Amerykanie, bo chcę przyznać kobietom równe prawa, choć należą się one wyłącznie mężczyznom.

- Nie zaszkodzi ci odrobina krytyki - odparła, spoglądając na niego z podziwem. Philippe wybuchł śmiechem, a potem, ku ogromnemu zaskoczeniu Gretchen, dodał:

- Mój ojciec także jest chrześcijaninem. Odebrał władzę swemu wujowi i utrzymał ją przez czterdzieści lat, lecz ze względu na wyznawaną religię panowanie nie było dla niego łatwe, póki w Qawi nie zrównoważyły się wpływy poszczególnych wyznań. Obecnie jest ich kilka, a żadne nie dominuje nad innymi. W minionych latach ojciec na wszelki wypadek umyślnie dawał do zrozumienia, jakobym był muzułmaninem, a ja do czasu wstąpienia na tron nie dementowałem tych pogłosek. Mam wielki szacunek dla Proroka i Koranu między innymi dlatego, że większa część mojej rodziny należy do grona jego wyznawców - tłumaczył przyciszonym głosem. - Zapewniam cię, że w Qawi żadna religia nie jest prześladowana.

- Mówiłeś jednak, że twój kraj jest dość... prymitywny.

- W porównaniu z twoim, oczywiście tak. - Wzruszył ramionami. - Mam dalekosiężne plany i chcę wiele zrobić dla moich poddanych. Dbam o szkolnictwo, buduję nowoczesne szpitale, rozwijam przemysł, unikając zatrucia środowiska - dodał pośpiesznie. - Uczymy się na cudzych błędach, więc nie chcemy u nas kwaśnych deszczów ani chemicznych odpadów. To jest nie do przyjęcia. Rozwijamy wyłącznie przemysł elektroniczny: produkujemy komputery i dodatkowy sprzęt, przygotowujemy oprogramowanie. Uzyskaliśmy koncesję jednej z największych amerykańskich firm, która oferuje znakomite produkty. Dotyczy to zarówno sprzętu, jak i oprogramowania. Pewnie znasz ich komputery - dodał. - Właścicielem jest Canton Rourke.

- Mówią o nim: mister Software! - Gretchen westchnęła z podziwem. - Chyba zbankrutował kilka lat temu.

- Owszem, ale odzyskał majątek. Poznałem go dzięki wspólnemu przyjacielowi, który dawniej był najemnikiem, a potem osiadł w Cancun w Meksyku. Na - żywa się Diego Laremos.

- Znasz prawdziwego najemnika? - spytała zaciekawiona.

Roześmiał się, pochylił się w jej stronę i zerknął przez ramię na ochroniarzy.

- Jak myślisz, kim jest Bojo?

- Nie bujasz? - mruknęła, otwierając szeroko oczy.

- Teraz pracuje dla mnie, ale dawniej należał do elitarnego oddziału, którym dowodził były lekarz. Nazywał się Micah Steele.

Gretchen na moment wstrzymała oddech.

- To niesamowity zbieg okoliczności! - odparła pośpiesznie. - Słuchaj, przecież w kancelarii adwokackiej pracuję... pracowałam z jego przyrodnią siostrą!

- Micah o niej wspominał. A Eb Scott i Cy Parks?

Pewnie znasz te nazwiska. Oni również należeli do tamtego oddziału. Poza tym Cord Romero, który...

- Stracił wzrok! - dokończyła z ożywieniem. - Moja najlepsza przyjaciółka, Maggie, wróciła do domu, żeby się nim opiekować. Oboje zostali adoptowani i razem dorastali. Mam u ciebie pracę tylko dlatego, że Maggie zrezygnowała. Przyleciałam z nią do Maroka.

- Przeznaczenie - mruknął Philippe. Wyciągnął rękę i pogłaskał jej smukłe palce. Oczy mu błyszczały.

- Tak - przyznała, oddychając z trudem. - Przeznaczenie.

Muskał opuszkami palców grzbiet jej delikatnej dłoni, aż rozchyliła usta i poczuła szybkie pulsowanie krwi. Spostrzegł, jak reaguje na delikatną pieczęć i dziękował opatrności, że zesłała mu tę dziewczynę, dzięki której nabrał ochoty do życia i znów poczuł się mężczyzną. Najlżejsze dotknięcie budziło w nim pożądanie. Wstrzymał oddech i popatrzył w jasnozielone oczy.

Kiedy tak spoglądali na siebie, odrzutowiec ruszył. Kilka minut później byli już w powietrzu. Zostawili za sobą pas startowy i lecieli nad chmurami. Czarne oczy Philippe'a lśniły, gdy wpatrywał się w zarumienioną i pogodną twarz Gretchen. Sprawiała wrażenie równie niecierplivej jak on. Nagle rozpiął pasy bezpieczeństwa obu foteli, a potem wyciągnął rękę, zachęcając dziewczynę, żeby wstała. Gdy mijali ochroniarzy siedzących przy stolikach, rzucił jakiś rozkaz i pociągnął zdziwioną Gretchen w głąb samolotu.

Otworzył niewielkie drzwi, przepuścił dziewczynę i zamknął je za sobą. Znaleźli się w niewielkim apartamencie, gdzie było szerokie łóżko, biurko, a także dwa częściowo zasłonięte żaluzjami, okrągłe okienka. Panował tam łagodny półmrok.

Gretchen już miała się odezwać, ale Philippe stanowczym gestem położył jej palec na ustach, wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka, położył na pościeli i wyciągnął się obok niej. W przyćmionym świetle popatrzyła na niego z jawnym zdumieniem.

- Uznajmy to nasze sam na sam za wyjątkowo seksistowskie przeegzaminowanie kandydatki na moją asystentkę - szepnął żartobliwie.

Pięknie wykrojone usta musnęły wargi Gretchen tak czule, że zadrżała w jego objęciach. Zakręciło mu się w głowie, gdy poczuł jej przyspieszony oddech. Dotknął smukłej szyi tuż nad kołnierzykiem haftowanej bluzki z białego jedwabiu. Gretchen wpatrywała się w niego, zafascynowana napięciem malującym się na śniadej twarzy. W kabinie panowała cisza, przerywana jedynie piskliwym buczeniem silników odrzutowca. Philippe oddychał ciężko, spoglądając w zielone oczy. Gretchen także z trudem chwytała powietrze, a ciepły powiew jej

oddechu pieścił mu usta. Dziewczęce serce kołatało tak mocno, jakby miało wyrwać się z piersi.

- Tak długo czekałem, Gretchen - szepnął. - Z obawy przed kompromitacją niemal dziewięć lat trzymałem się z dala od kobiet. - Ręka mu drżała, gdy przesunął nią po białym jedwabiu. Przez warstwę tkaniny czuła ciepło rozpalonej skóry, zaskoczona osobliwą wrażliwością i napięciem swego ciała. Te doznania całkiem ją zaskoczyły. Poruszyła się odruchowo.

- Och... niesamowite uczucie! - jęknęła.

- Dobrze ci? Mnie również. - Ośmielony pierwszą reakcją, objął dłonią jej pierś. Z męską chętnością popatrzył w dół na powoli nabrzmiewające sutki.

Gretchen wstrzymała oddech, z wahaniem uniosła rękę, wsunęła mu je pod marynarkę i przycisnęła do okrytego koszulą torsu. Philippe jęknął cicho pod wpływem przyjemności wywołanej tym delikatnym dotknięciem. Dłonie cofnęły się od razu.

- Przepraszam - mruknęła Gretchen.

- To mi się podoba - zapewnił, przytrzymując jej rękę i przyciskając je znowu do torsu. - Próbuje dalej. - Oczy mu błyszczały. Przesunął jej palce ku guzikom kamizelki i kiwnął głową.

- Dla mnie to nieznaną ląd - tłumaczyła cicho. - Nie wiem, co robić.

- Wszystkiego cię nauczę - rzucił. - Nie ma się czego bać. Przecież wiesz, że jako mężczyzna właściwie jestem do niczego, więc pozostaniesz nietknięta i zachowasz...

Stanowczym gestem położyła dłoń na ustach Philippe'a i obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Miałeś okropny wypadek - odparła z poważną miną. - To wcale nie znaczy, że jesteś wart mniej od innych mężczyzn. Należałoby raczej powiedzieć, że to mnie brak podstawowych... umiejętności - dodała z czułym uśmiechem. - Nie mam pojęcia, co powinnam odczuwać, więc lepiej nie oczekuj ode mnie konstruktywnej krytyki swoich działań.

- I pomyśleć, że chciałem zatrudnić kobietę doświadczoną! - Philippe westchnął głęboko.

- Każdy popełnia błędy - stwierdziła wielkodusznie i dodała kpiąco: - Nie miałeś pojęcia, co tracisz. W porządku, nie będę ci tego wypominać.

Philippe miał wielką ochotę wybuchnąć śmiechem, a jednocześnie pragnął natychmiast przyłgnąć do niej całym ciałem i kochać się do całkowitego wyczerpania. To były dla niego całkiem nowe odczucia. Kiedy dotykał jej aksamitnej skóry, budziły się w nim

szalone pragnienia. Świadomy własnych emocji, nagle znieruchomiał. Gretchen wiedziała, co się z nim dzieje, więc uniosła brwi i nieśmiało powiedziała przyciszonym głosem:.

- A mówiłeś, że nie możesz.

- Dawniej nie byłem w stanie - przyznał chrapliwym szeptem. - Przez cholernych dziewięć lat. I pomyśleć tylko - dodał z jawną irytacją - że odczuwam, żądzę, będąc z kobietą, która nie ma zielonego pojęcia, czym jest rozkosz!

Ubawiona jego marudzeniem, parsknęła śmiechem.

- Niedawno mówiłeś, że na Wschodzie ceni się czystość, a teraz mi wyrzucasz, że nie jestem rozpustnicą. Jesteś niepoprawny - szepnęła, lecz po chwili pogodny nastrój ustąpił miejsca narastającemu pożądaniu. Wyczytał to z jej oczu. Zachęcająco poruszyła biodrami i mocniej do niego przylgnęła.

- Niepoprawny? Ach tak! - mruknął, zachwycony jej żarliwością, nieoczekiwaną i serdeczną kpina, rzeczowym podejściem do jego ograniczeń i delikatną pieśczością jej rąk. Uśmiechnął się z ociąganiem. Spodziewał się trudnej i ryzykownej próby, a tymczasem spotkało go przyjemne zaskoczenie i prawdziwa radość. Wsunął dłoń pod jędrny pośladek i uszczypnął lekko. Wybuchnął śmiechem, gdy pisnęła, zachichotała i żartobliwie go odepchnęła. Kolanem rozsunał jej uda i przykrył ją własnym ciałem, czując żądzę tłumioną niemal przez dziesięć lat. Coraz bardziej się rozpałał.

- Kusicielka - szepnęła, muskając wargami jej usta. - Zwodzisz mnie, choć marzę o prawdziwie rajskich rozkoszach! - Całował rozchylone wargi i pieścił je, muskając językiem. Przesuwał dłońmi w górę i w dół, dotykając bioder i szczupłej talii.

- Philippe? - odezwała się urywanym szeptem.

- Tak? - mruknął z roztargnieniem.

- Mam także piersi - przypomniała zniecierpliwiona i delikatnie przygryzła jego usta.

Znieruchomiał i uniół głowę, a czarne oczy spojrzały na nią ze zdumieniem.

- Słucham?

- Chciałam ci tylko uświadomić, że biodra to nie wszystko. Biust też się liczy - tłumaczyła, oddychając z trudem.

- Myślałem, że trzymam w objęciach niewinną dziewicę - odparł z przekąsem.

- Racja, ale to nie znaczy, że od szyi do talii nic nie czuję. - Niecierpliwymi palcami rozpięła guziki jego kamizelki i koszuli.

Oparł się na łokciach, starając się ją rozszyfrować.

- Nie jesteś zakłopotana? - wypytywał.

- Chyba żartujesz! Przy tobie? - odarła spontanicznie, zaabsorbowana rozpinaniem guzików. - Ojej, jakiś ty owłosiony! Miło cię dotknąć. - Zmarszczyła brwi. - Powinnam się wstydzić?

- Ależ z ciebie głuptas! - tłumaczył. - Zrozum, igrasz z ogniem. Nie zwodziłem cię, wyznaję, że od dziewięciu lat nie byłem z kobietą.

- Okropnie marudzisz - szepnęła, przytulona. - Och, jak cudownie...

Kiedy przyłgnęła do niego całym ciałem, ogarnięty jeszcze większym pożądaniem jęknął chrapliwie i ścisnął poduszkę, jakby miał kogoś udusić. Gretchen zachęcająco rozsunała nogi, a jej drżące z niecierpliwości dłonie przesuwwały się po jego torsie. Wdychała z jawną przyjemnością nikłą woń mydła, drogiej wody po goleniu i tytoniowego dymu. Poznawała powoli zapach Philippe'a.

Wiedziała, co się z nim dzieje, i czuła jego bliskość. Prowokująco, chociaż nieświadomie uniosła biodra i pod wpływem nagłej przyjemności jęknęła przeciągle. Znieruchomiała, gdy z całych sił objął rękami jej biodra i zadrżał.

- Gretchen - szepnął i pocałował ją zachłannie, czując, jak cała dygoce pod nim.

Nie mógł się nią nasycić, a tymczasem jej maciło się w głowie. Wsunęła dłonie pod cienką koszulę i objęła go z całej siły. Gdy dotknęła długiej, głębokiej blizny na ramieniu, znieruchomiał w ciasnym uścisku. Wstrzymał oddech, czując lekkie dotknięcie na jednej z niezliczonych i tak bardzo szpecących go, okropnych szram. Uniósł głowę, szukając na jej twarzy oznak obrzydzenia.

- Jest ich więcej, prawda? - spytała cicho, wyciągając poły jego koszuli zza paska od spodni. Po chwili wahania ujął małe dłonie, dotykające nagiej skóry, jakby próbował zatrzymać czas. Gretchen spytała z ociąganiem: - Może... jednak nie chcesz, żebym cię... pieściła?

- Nie poniżej pasa - odparł i zacisnął zęby.

- Dlaczego?

- Gretchen, moje blizny są okropne, miejscami sięgają prawie do kości. Te po lewej stronie, tuż obok jąder, to istny horror.

- I co z tego? Za kogo ty mnie masz? - zachnęła się, a potem dodała szeptem: - Uwielbiam cię dotykać. Pragnę twoich pieścizot.

- Skapiłem ci ich. Na razie.

Małe dłonie znieruchomiały. Popatrzyła mu w oczy, a serce biło jej coraz mocniej.

- A... chciałbyś?

- Też pytanie! - odparł z powagą.

Sięgnęła do guzików haftowanej bluzki i spokojnie zaczęła je odpinać. Gdy rozchyliła tkaninę, od razu spostrzegła, że czarne oczy zerknęły odruchowo na skąpy, koronkowy stanik.

- Tylko nie oczekuj zbyt wiele - mruknęła, zaskoczona własną śmiałością. - Noszę wkładki. Szczerze mówiąc, nie mam się czym pochwalić.

- Jakie wkładki? - zapytał, marszcząc brwi. Skrzywiła się, odsuwając jedwab na boki, i sięgnęła do umieszczonego z przodu zapięcia biustonosza.

- No tutaj - odparła zakłopotana.

- Ty mała oszustko - zakpił, ale w jego głosie słyszała żartobliwy ton. Zdołała się wreszcie uporać z zapięciem, więc lekko rozsunała miseczki. - Cemu sądzisz, że będę rozczarowany?

- Większość mężczyzn woli u kobiet bujne kształty, prawda?

Gdy bez pośpiechu przesunął palcem wzdłuż rowka między piersiami, poczuła miłe dreszcze. Wyprężyła się mimo woli, bo gładził delikatnie jędrne wzgórki. Uśmiechnął się chępliwie niczym zadowolony drapieżnik, a oczy mu zabłyśły.

- Mężczyźni różnią się w opiniach na temat ideału kobiecej figury. Co do mnie - szepnął, wolniutko rozsuwając miseczki - lubię małe piersi, które można objąć wargami. - Z zachwytem patrzył na jej zdumioną minę. - Nie oglądasz filmów? - dodał.

- Wręcz przeciwnie. Czytam także książki - wyjąkała z trudem. Przyłgnęła do jego dłoni, kiedy odsłonił twarde sutki, czekające na jego dotknięcie. - Ale nie śmiałam nawet marzyć, że sama wreszcie poczuje, jak to jest.

- Tak bardzo pragnąłbym cię zaspokoić - westchnął, patrząc zachłannie na obnażone piersi. Muskał je opuszkami palców, zataczając kręgi wokół pociemniałych suteków, które pocierał delikatnie, jakby sprawdzał, czy Gretchen właściwie reaguje na pieśczość. Jęknęła głośno, więc przez chwilę patrzył jej w oczy, a następnie pochylił głowę, mrucząc: - Muszę przyznać, że jestem nadzwyczaj przewidujący. Dobrze zrobiłem, każąc wyciszyć to pomieszczenie.

Gretchen wiała się pod nim, gdy objął ustami jej pierś, i wbiła paznokcie w ciepły, szeroki tors. Uniosła biodra i na dłuższą chwilę wstrzymała oddech, zamknięta w jego objęciach i obezwładniona porażającą siłą namiętnego pocałunku. Gdy podniósł głowę, przywarła do niego z całą siłą i szepnęła z ustami przy jego uchu:

- Och, błagam! Nie przerywaj.

Usłuchał, całując na przemian piersi Gretchen, aż zaczęła drzeć. Zsuwał się coraz niżej, zasypując ją pocałunkami. Na przeszkodzie stanął mu w końcu pasek jej spodni. Zaklął

cicho, mocując się z zapieciem, a potem zachłanne, gorące usta dotknęły płaskiego brzucha. Westchnęła spazmatycznie.

- To za mało, za mało - usłyszała mruczenie, gdy uniósł się, żeby pocałować ją w usta.

Próbowała zebrać myśli, by zrozumieć rzuconą półgłosem uwagę. Nagle poczuła, że smukłe ręce zsuwają w dół jej bieliznę i spodnie. Oszołomiła ją śmiałość kolejnej pieszczoty. Nie sądziła dotąd, że kiedykolwiek pozwoli mężczyźnie dotykać się w ten sposób.

- Philippe! - wyjąkała.

Zamknął jej usta pocałunkiem i dał rozkosz. Gdy w kabinie zapanowała pełna napięcia cisza, znów objął wargami małe, jędrne piersi, a tymczasem dłońmi pieścił ją w sposób budzący najwyższe zakłopotanie. Gdy próbowała zaprotestować, jednym dotknięciem sprawił, że zapomniała o całym świecie, ogarnięta gorącym spazmem przyjemności, jakiej dotąd nie знаła. Drżąc rytmicznie, zacisnęła powieki i wyprężyła się ku jego zwinnym rękom. Pograżona w ekstazie, zapomniała o skrupułach i szczytowała po raz pierwszy w życiu.

Gdy uniesienie minęło, rozplakała się w jego objęciach, szukając ukojenia. Przytulił ją mocno i kołysał czule, a nagie piersi ocierały się o tors porośnięty ciemnymi włosami. Zaspokoił ją, lecz nadal odczuwał pożądanie. Dawniej nie śmiałby nawet o tym marzyć. Skoro podniecenie utrzymywało się tak długo, istniała pewna szansa, że będzie w stanie... naprawdę osiąść Gretchen.

Uniósł głowę i popatrzył na lekko zaróżowioną twarz, a potem w ogromne, tajemnicze, zawstydzone oczy. Nadal drżała, oszołomiona rozkoszą, którą dał jej przed chwilą. Odgarnął potargane, jasne włosy, opadające jej na twarz.

- Kiedy zapowiadałem, że będziesz zadowolona, miałem na myśli tego rodzaju doznania - mruknął.

Pomimo wielkiego zawstydzienia przemogła się i zapytała cicho:

- A więc taki jest seks?

- Zapewne. Słabo pamiętam - odparł kpiąco z czułym uśmiechem. Nagle poczuł, że paznokcie Gretchen znów wbijają mu się w tors.

- Philippe?

- Tak? - Pochylił głowę i musnął wargami jej usta.

- Nadal... jesteś podniecony - szepnęła.

- I to jak! - przytaknął skwapliwie. - Sam się bardzo dziwię, Od dawna tego nie odczuwałem.

- Jeśli chcesz spróbować... - zaczęła, dotykając ręką jego policzka i pięknie wykrojonych ust.

Wpatrywał się w pociemniałe, zadumane oczy.

- Zrobiłabyś to dla mnie? Bez ślubu oddałaś mi dziewictwo?

Przygryzła wargę i zaczęła niepewnie:

- Jesteś głową państwa. Jeśli zechcesz się ożenić, wybierzesz partnerkę o statusie równym twojemu.

Gładził potargane włosy, które rozsypały się na poduszce.

- Wybiorę taką dziewczynę, która będzie umiała przyjąć do wiadomości moje ograniczenia i słabości, jakiegokolwiek by one były - odparł cicho. - Wprawdzie odczuwam pożądanie i wygląda na to, że mógłbym się kochać, ale nie ma pewności, czy sprawdzę się w łóżku. Problem w tym, że nic nie czuję. Być może nigdy już nie będę szczytował, Gretchen - tłumaczył całkiem otwarcie. - Nie odwracaj głowy. Musimy o tym rozmawiać. Nawet gdybyśmy zostali kochankami, nie mogę dać ci dziecka. Blizny są głębokie i rozległe, więc nie chcę, żebyś na nie patrzyła.

- Czy przez te wszystkie lata, które minęły od postawienia diagnozy, chociaż raz byłeś u lekarza?

- A po co? - mruknął ponuro, przetoczył się na plecy i utkwił spojrzenie w suficie. - Lustro pokazuje mi wszystko, co powinienem wiedzieć, o ile jestem w stanie na siebie patrzeć.

Gretchen podpełzła do niego, przytuliła się mocno i dotknęła policzkiem obnażonego ramienia.

- Musisz mnie wszystkiego nauczyć - powiedziała cicho. - Tak bardzo pragnę, żebyś czuł to samo, co ja przed chwilą poczułam dzięki tobie.

Serce Philippe'a na moment przestało bić. Objął ją mocniej.

- Jesteś... bardzo hojna i bardzo ci dziękuję za te słowa. Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie znaczą.

Ale nie wykorzystam kobiety, a tym bardziej niewinnej dziewczyny, żeby poeksperymentować i sprawdzić, co mogę odczuwać. Czy kiedykolwiek widziałaś nagiego mężczyznę? - Położył jej palec na ustach, bo próbowała zaprotestować. - Wyglądam okropnie, jestem strasznie zeszpecony.

- Skoro mi nie ufasz, po co tu przyszliśmy? Trzeba było zostać w salonie. - Chwyliła mocno jego dłoń.

- Byłem taki podniecony - usprawiedliwiał się. - Chciałem się przekonać, czy cokolwiek poczuję.

- Ale nie dałeś sobie żadnej szansy! Dbałeś tylko o moje potrzeby - odparła smutno.

Podniósł jej rękę do ust i znów położył się na plecach, wpatrzony w sufit.

- Może jedynie to mi pozostało - odparł całkiem spokojnie.

Gretchen powoli wsunęła palce w gęste włosy na jego torsie.

- Czujesz coś?

- Chyba tak. Nie potrafię tego określić - mruknął po dłuższej chwili. - Kiedy ciebie dotykam, wrażenia są intensywniejsze. - Pogłaskał znowu jasną, zmierzwioną czuprynę.

- Czy po wypadku próbowałeś się kochać?

- Lekarze twierdzili, że to bezcelowe, i sędzę, że mają rację. - Zaciśnął palce wsunięte w jej włosy. - Wszystko, co odczuwam w twojej obecności, to prawdziwa zagadka.

- Może nie byłeś w stanie nic zdziałać, ponieważ zabrakło ci odwagi, aby spróbować?

- Raz się zdecydowałem - wyznał z goryczą. - Poznałem pewną Europejkę.

- I jak było?

- Zawiodłem, a ją to okropnie rozbawiło - dodał ponurym głosem, wspominając szyderczy śmiech tamtej kobiety. - Od tej pory dałem sobie z tym spokój. Rozpuszczałem rozmaite pogłoski, żeby o mnie nie plotkowano, postanowiłem też upozorować poważny związek.

- Ja na pewno nie śmiałabym się z ciebie. - Gretchen była wściekła na bezimienną idiotkę.

Philippe objął ją znowu i mocno przytulił, tak że ich biodra się zetknęły.

- Powinienem cię natychmiast odesłać do Teksasu.

- Wspaniały pomysł! - odparła z jawną odrazą. - Mam ślęczeć nad prawniczą dokumentacją, a tymczasem jakaś zdzira będzie się szarogęsić w twoim haremie, co? Jak możesz tak się nade mną znęcać?

Uniósł brwi i obserwował ją przez chwilę, a potem leniwie przeniósł wzrok na kształtny biust przytulony do jego torsu. Nadal odczuwał silne podniecenie. Przy Gretchen nabierał sił i miał ich więcej niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy na nią patrzył, uświadomił sobie nagle, że wszystkie jego pomysły skończą się dla niej tym, że będzie miała kompletnie zaszarganą reputację. Wychował się na Bliskim Wschodzie i miał silne poczucie przyzwoitości. Teraz wzdragał się na samą myśl, że przez swój egoizm mógłby postawić ją w sytuacji co najmniej dwuznacznej z moralnego punktu widzenia. Była niewinną dziewczyną. Powinien się wstydzić, że chciał ją wykorzystać do swoich celów. Dotknął czule pełnych warg.

- Wolisz zamieszkać ze mną i grać rolę pani doktor, tak?

- Tylko pod warunkiem, że gra będzie uczciwa - odparła, rzucając mu kpiące spojrzenie. - Nie chcę być jedyną osobą, która chętnie się rozbiera.

Czarne oczy rozjaśniła radość, bo Philippe szczerze się cieszył, że trzyma w ramionach tę cudną dziewczynę.

- Szkoda - mruknął, obejmując ją mocniej. - Ślicznie wyglądasz, kiedy nie masz ubrania.

- Będę się musiała nauczyć, jak należy organizować przyjęcia i konferencje - oznajmiła z westchnieniem, a Philippe wciąż głaskał jasne włosy.

- Zatrudniam mnóstwo ludzi, którzy znakomicie sobie z tym radzą. Ty masz się troszczyć wyłącznie o mnie.

- Rozleniwę się i zacznę tyć. - Żartobliwie uniosła brwi, a Philippe uśmiechnął się do niej.

- Bezczytność ci nie grozi. Zamierzam teraz spędzać w pałacu mnóstwo czasu, żeby dopracować swoje reformy, zwłaszcza edukacyjną. Pomożesz mi przekonać moich poddanych z rozmaitych plemion, żeby pozwolili dzieciom zdobywać wiedzę.

- Z największą radością, ale przecież nie znam arabskiego! - odparła.

- Szybko się nauczysz. W Qawi używamy łatwego dialektu. Chętnie zostanę twoim korepetytorem.

- Ja również mam śmiałe plany, które chciałabym urzeczywistnić - wyznała, spoglądając mu w oczy.

- Cóż to takiego?

Zamiast odpowiedzieć, mruknęła cicho, uniosła głowę i pocałowała go w usta, przygryzając najpierw górną, a potem dolną wargę.

- Tak lubię - mruknął, dyskretnie udzielając jej wskazówek. - Teraz rozumiem. Masz także inne plany? - wypytywał.

Znowu go pocałowała.

- Chcę dzięki tobie stać się kobietą.

- Musisz chyba wyjaśnić, co znaczy ten idiom. - Philippe znieruchomiał i trochę spochmurniał, ale Gretchen roześmiała się i szepnęła mu do ucha:

- Chcę, żebyś został moim kochankiem.

- To moje największe pragnienie - jęknął, tuląc ją coraz mocniej. Głaskał czule obnażone, ciepłe plecy. - Ale musisz przyznać, że szanse są niewielkie.

- To prawda, że rokowania były niepomyślne, ale mój dziadek zawsze powtarzał... - znacząco zerknęła na wiadomy fragment jego ciała - ... że nie ma dymu bez ognia.

- Ty mała okrutnico! Znowu idiom. Westchnął, bo Gretchen pochyliła głowę, dotknęła ustami jego torsu i zawahała się na moment. Jego serce kołatało coraz mocniej pod szczupłą dłonią. Leżał nieruchomo, nie słyszała nawet jego oddechu, więc przysunęła się jeszcze bliżej i znów całowała szeroką pierś, umyślnie obejmując wargami twardy sutek. Szybko się uczyła od ukochanego.

Zadrżał, czując, że gdzieś odlatuje. Objął dłońmi jej głowę, przytulił mocno i wsunął palce w jasne włosy, zachęcając ją do śmielszych pieszczot. Gretchen uniosła głowę i położyła dłoń na jego pępku.

- Naucz mnie, jak cię zaspokoić - szepnęła i całowała go dalej.

Mamrotał gorączkowo w niezrozumiałym dla niej języku, ale nie odsunął zuchwałej ręki. Pospieszenie rozpiął pasek i rozsunął suwak, kierując palce Gretchen ku jedwabnej bieliźnie, ale gdy uwolniła dłoń i sięgnęła pod tkaninę, natychmiast ją powstrzymał.

- To przecież nieważne - szepnęła pospiesznie, myśląc o bliznach.

- Przeciwnie - jęknął. - Zresztą rób, co chcesz. . Pokierował jej dłonią i poczuł, że mimo pozornej brawury jej palce zadrżały, gdy pod jedwabiem wyczuła twardą, aksamitną w dotyku męskość. Ostrożnie uczył ją śmiałych pieszczot. Oboje milczeli, tylko przyspieszone oddechy przerywały ciszę. Philippe drżał pod wpływem nagłej przyjemności, która jednak nie narastała, by dotrzeć do spełnienia.

- Cholera! - wykrztusił. - Ja... nie mogę!

- Co robisz źle? - spytała.

Nakrył ręką jej palce i leżał bez ruchu, dysząc ciężko. Zamknął oczy.

- Nic. To moja wina. Czuję rozkosz, ale nie mogę zaznać jej w pełni. Zresztą to nie jest odpowiedni czas i miejsce na takie eksperymenty.

Odsunął jej ramię, przesunął się na brzeg łóżka, zerwał się na równe nogi i zaczął poprawiać ubranie. Gretchen także wstała i sięgnęła po swoje rzeczy. Nie czuła wstydu ani zażenowania. Wyczytał to z zielonych oczu, kiedy odwrócił się, żeby na nią popatrzeć.

- Nie żałuję - powiedziała, nim się odezwał.

- Ja również. - Nadal spoglądał jej w oczy. - Należysz do mnie - dodał z powagą. - Pobierzemy się.

- Dlaczego? - spytała schrypniętym głosem.

- Bo jeśli istnieje choćby cień szansy, że mogę cię mieć, na pewno z niej skorzystam - odparł z prostotą, uporczywie patrząc jej w oczy. - W moim świecie mężczyźni wolno posiąść dziewicę tylko wówczas, gdy ją poślubi.

- Przecież nie jesteśmy sobie równi! - zaprotestowała gorączkowo.

- Gretchen, czy chcesz, żebym kazał pilotowi zawrócić i lecieć do Stanów?

- Po tym... sam na sam?! - krzyknęła zdumiona i oburzona.

Philippe zachichotał, objął ją i z jawnym uwielbieniem kołysał czule w ramionach.

- To najpiękniejsze doznanie w moim życiu - szepnął. - Jeśli naprawdę chcesz podjąć ryzyko, możemy się pobrać wedle zwyczajów i praw mojego ludu. - Po chwili wahania wyjaśnił niechętnie: - Takie małżeństwo jest ważne tylko w Qawi. Gdybym się okazał niezdolny do skonsumowania naszego związku, wrócisz do Stanów, nie tracąc niewinności.

- A jeśli będziemy się kochać? - zapytała szeptem. • Uniósł głowę i zajrzał w zielone oczy.

- Trzeba będzie sporej armii, żeby cię wywieźć z Qawi. Gdybym zdołał cię osiąść - dodał chrapliwym głosem - nigdy mi nie umkniesz!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gretchen z czułym uśmiechem przyglądała się Philippe'owi.

- Nie przypuszczałam, że moje życie tak się zmieni - wyznała cicho. - Z radością cię poślubię, ale to nie jest konieczne.

- Jeśli w pałacu zaczną krążyć obrzydliwe plotki, będzie to zniewaga dla mnie i kompromitacja dla ciebie. Poza tym - dodał z naciskiem - zgodnie z miejscowym obyczajem ojciec kazałby mi obciąć dłonie. Jest wielkim tradycjonalistą. Mam podobne nastawienie do życia. - Wydał usta i z uśmiechem popatrzył na Gretchen. - To samo można powiedzieć o tobie.

- Nie chcę przysparzać ci kłopotów.

- Sprawiałaś, że znów czuję się mężczyzną i sądzisz, że mogłabyś mi zawadzać? - spytał kpiąco.

- Poza tym jednym wyjątkiem już nie próbowałeś się kochać, prawda? - Po jego minie poznała, że te domysły są słuszne. - Niewykluczone, że gdybyś zaryzykował z inną, także by się udało. Wspomniałaś o blondynce, którą ci przypominam - powiedziała i natychmiast poczuła nieprzyjemne ukłucie zazdrości, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Brianne. - Spochmurniał, wspominając tamten związek.

Uwielbiał ją i bardzo tęsknił. Odeszła z Pierce'em Huttonem, bo Philippe był głęboko przekonany, że nie jest w stanie być z kobietą. Gretchen widziała poczucie zawodu malujące się na jego twarzy. Nagle ogarnęła ją niepewność.

- Wciąż jest ci bliska? - spytała niecierpliwie.

- Zawsze tak będzie - wyznał otwarcie. - Ale Brianne jest szczęśliwą mężatką i ma dwuletniego synka. Nawet gdybym był znów w pełni sprawny, nie robiłbym sobie żadnych nadziei. Brianne jest dla mnie stracona. - Odwrócił się i popatrzył w zielone oczy, a jego ciemne tęczówki lśniły jak gwiazdy. - Nasze wspólne odczucia są bardzo obiecujące, więc tym razem nie zamierzam dać za wygraną. Powiem otwarcie: jeśli chcesz ucieć, zrób to natychmiast.

- Masz spadochron? - Kapryśnie wydeła usta i uniosła brwi.

- Nie - odparł rozbawiony.

- W takim razie, *monsieur* Souverain, już się pan ode mnie nie uwolni - mruknęła ironicznie.

Philippe chwycił jej rękę i otworzył drzwi.

- Wychodzimy - rzucił, wybuchając śmiechem, i popchnął ją ku fotelom.

Usłuchała, bardzo rozbawiona. Ochroniarze gapili się na nich, z różnym skutkiem próbując ukryć zdumienie. Gretchen przypuszczała, że znali plotki dotyczące szefa, a ich potwierdzenie stanowił teraz jej zmięty strój i usta spuchnięte od pocałunków. Philippe nie wyglądał lepiej. Agenci sprawiali wrażenie zaskoczonych promiennym wyrazem jego pociągłej, wyrazistej twarzy. Bardzo dobrze, uznała zadowolona. Niech trochę pogłódkują.

Do końca lotu siedziała obok Philippe'a. Gdy wylądowali w Qawi, ujrzała krajobrazy podobne do marokańskich. Tak jak sądziła, wszędzie rosły palmy daktylowe, nad Zatoką Perską ciągnęły się piaszczyste plaże, a błękitne fale lśniły w słońcu. Na starówce wznosiły się śnieżnobiałe domy. Katedra i meczety zachwyciły urodą, a w oddali wznosiły się nowe gmachy współczesnych dzielnic. Philippe skinął na stewardów. Wkrótce podeszła do nich młoda kobieta w eleganckim mundurze i podała mu zwój czarnej tkaniny.

- To konieczne jak parasol podczas deszczu w twoim kraju - tłumaczył z powagą. - Jestem władcą Qawi i muszę szanować wszystkie miejscowe zwyczaje, a także chronić cię przed ekstremistami, których i tu nie brakuje.

- Nie musisz mi tego wyjaśniać - zapewniła. - W hotelu rozmawiałam z pewną muzułmanką i dowiedziałam się od niej, że dla wielu kobiet, które skrupulatnie przestrzegają zasad Koranu, aba i hijab to widome symbole ich dumy i moralnej czystości.

- Skąd znasz te określenia? Wiesz, że oznaczają wierzchnią szatę kobiet islamu oraz szal okrywający głowę?

- Nauczyłam się od tej kobiety - odparła. - - Męska szata nazywa się thobe, na nią wkładacie bist, a gutura na głowie podtrzymywana jest sznurkową opaską zwaną igal.

- Wspaniale! Zdumiewasz mnie - powiedział z nie ukrywanym uznaniem.

- Shukran.

Philippe roześmiał się, gdy podziękowała mu po arabsku.

- Naprawdę jestem zachwycony. - Wstał z fotela i sięgnął po czarną szatę zwaną hijab, która spowiła jej postać, ukrywając także jasne włosy zwinięte w zgrabny kok.

- Doskonale - mruknął Philippe. Narzucił jej na ramiona obszerną czarną pelerynę z kapturem. - Wśród moich poddanych nie brak ludzi gotowych skrzywdzić kobietę, która ukazuje światu ładną figurę. Zrozum, nie chcę narażać cię na niepotrzebne ryzyko.

- Dzięki, rozumiem twoje intencje - odparła z uśmiechem. - Gdybyś pojechał ze mną do Stanów, musiałbyś włożyć kowbojski kapelusz. Ostrzegani, że dowcipnisie zwykle starają się namówić przybyszów, aby wsiedli na nieujeżdżonego konia.

Omiał nie parsknął śmiechem, bo Gretchen najwyraźniej sądziła, że nie poradziłby sobie z dzikim, narowistym wierzchowcem. Miała ciekawą, ale błędną opinię na jego temat. Bardzo się zdziwił, gdy w Qawi pozna wreszcie jego prawdziwe oblicze. Usunął się z drogi ochroniarzom, którzy podeszli do eleganckiej limuzyny, stojącej już obok samolotu, i otworzyli drzwi.

- Powinieneś od razu powiedzieć mi, kim jesteś - dodała z wyrzutem Gretchen, gdy asfaltową drogą jechali w stronę miasta, będącego zapewne stolicą szejkanatu.

- I pozbawić się dobrowolnie radości czerpanej z naszego związku? - odparł z uśmiechem. - Podobno kobiety wolą mężczyzn otoczonych mgiełką tajemnicy, prawda?

- Jesteś królem. - Szybko oswoiła się z tą myślą, ale uznała, że Philippe powinien sobie uświadomić, jak wiele ich dzieli.

- Jestem szejkiem - poprawił - czyli przywódcą plemion, który zwyczajowo sprawuje władzę w tych stronach. Od sześciu pokoleń władza nieprzerwanie spoczywa w rękach mężczyzn z naszej rodziny, a ojciec był wśród nich pierwszym chrześcijaninem.

- Rozumiem. Można powiedzieć, że jak nasi królowie odziedziczyłeś koronę.

- Władcy pustynnych plemion nie dostają władzy i tytułu w spadku, tylko je zdobywają. Rządzi ten, kto osiąga przewagę i potrafi ją utrzymać - odparł cicho.

Uniósł brwi i przez moment Gretchen miała wrażenie, że spogląda na obcego człowieka. Zbita z tropu i zaciekawiona, chciała zadać następne pytanie, ale w tej samej chwili zadzwonił telefon, a z głośnika interkomu dobiegł niecierpliwy głos. Philippe najpierw wyjął przenośny aparat i wysłuchał pilnych wiadomości, a następnie podniósł słuchawkę umieszczoną obok tylnej kanapy auta. Rozmawiał z ożywieniem, potem zawahał się, po namyśle rzucił kilka słów, skrzywił twarz i przerwał połączenie.

- Znowu kłopoty - mruknął. - Napastnicy usiłowali przekroczyć granicę. Są ofiary w ludziach. - Popatrzył na Gretchen. - To oznacza, że konieczna jest inspekcja północnej strefy przygranicznej. Muszę się uporać z tym problemem.

- Masz wojsko? - zapytała.

- Nie utrzymuję regularnej armii, którą zapewne masz na myśli. Szejkanat Qawi istnieje od dawna, ale brak nam typowych sił zbrojnych, chociaż posiadamy nowoczesne uzbrojenie taktyczne oraz niewielki, lecz doborowy i nieźle wyposażony oddział wojskowy. Z napastnikami poradzę sobie tradycyjnymi metodami. Najpierw załatwimy intruzów, a potem zajmiemy się naszymi sprawami. Sam dopilnuję przygotowań do ślubu i wesela.

- Mówisz poważnie?

- Najzupełniej.

- Ale wspomniałeś, że twój ojciec nie znosi Ameryki - przypomniała.

- Gretchen, na pewno go oczarujesz - powiedział cicho. - To jedynie kwestia czasu.

- Wyjeżdżamy natychmiast?

- Dopiero za parę dni - odparł. - Muszę spotkać się z ojcem oraz ministrami, żeby omówić podpisane traktaty i negocjowane kontrakty. Dla ciebie również mam zajęcie - dodał przyciszonym głosem. - Przedstawiciele ministerstwa edukacji wprowadzą cię w tajniki planowanej przez nas reformy edukacji.

- Obym tylko stanęła na wysokości zadania - powiedziała z obawą.

- Nie mam w tej kwestii żadnych wątpliwości. Szybko się zorientujesz, w czym rzecz - zapewnił.

- Przy tobie nabieram pewności, że mogę coś osiągnąć - wyznała. - Do niedawna byłam tylko obserwatorką, a prawdziwe życie toczyło się obok mnie. Teraz chcę w nim uczestniczyć.

- Co się stało z tym facetem, który chciał się z tobą ożenić? - zapytał, mrużąc oczy.

- Mówisz o Derylu? - Westchnęła ponuro. - Przy - gruchał sobie córkę bankiera i zmył się... - Widząc zdziwienie malujące się na jego twarzy, parsknęła śmiechem. - Daruj. Nasz język potoczny obfituje w zagadkowe idiomy. Amerykanie je uwielbiają. Deryl zaczął umawiać się z córką bankiera. Zerwał ze mną, gdy tylko zorientował się, że spadek po matce nie jest wart zachodu.

- Materialista - wtrącił Philippe.

- Owszem. Moje życiowe doświadczenie było tak znikome, że się nie zorientowałam, co jest grane - przyznała. - Matka była ogromnie zaborcza, szczególnie wówczas, gdy się dowiedziała, że jest śmiertelnie chora. Pewnie dręczyły ją obawy, że zostanie sama, a ja przecież nie opuściłabym jej w potrzebie.

- Oczywiście - mruknął, przyglądając się jej uważnie. - Nie należysz do osób, które w trudnych chwilach odwracają się od najbliższych.

- Z drugiej strony jednak dzięki Derylowi nie byłam zupełnie sama, kiedy matka umierała. Mark przebywał wtedy na Florydzie, wykonując tajną misję. Przyjechał do domu dopiero na pogrzeb.

- Sama musiałaś załatwiać wszystkie formalności?

- Deryl trochę mi pomagał, dopóki nie zaczęliśmy rozmawiać o testamencie. - Z ponurą miną pokiwała głową. - Trudno mu się dziwić. Który mężczyzna chciałby osiąść ze mną na zadłużonym ranczu w pobliżu małego miasteczka w Teksasie?

- Tak mało się cenisz? - spytał kpiąco. Gretchen otworzyła szeroko oczy.

- A więc już mnie wyceniłeś! - żartowała, pochylając się w jego stronę. - Czy to prawda, że na Bliskim Wschodzie są jeszcze białe niewolnice?

Philippe wybuchnął śmiechem i spytał żartobliwie:

- Myślisz, że chciałbym cię sprzedać?

- Nie sądzę - odparła pogodnie. - Przecież nie potrzebujesz forsy.

- Słuszna uwaga - przytaknął, obrzucając ją zachwyconym spojrzeniem. - Czyste złoto - mruknął. - Tak się mówi o kobietach twego pokroju. Dostałbym za ciebie dobrą cenę.

- No proszę, jednak po cichu kalkulujesz! - stwierdziła ubawiona, a Philippe zachichotał.

- Nawet gdybym był paskudnym zbrojnym, nie sprzedałbym najdroższego klejnotu z mojego skarbcza - mruknął cicho.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Zaczynała zupełnie nowe życie w obcym kraju, u boku mężczyzny, który ją oczarował. Wysunęła dłoń spod obszernej szaty, zaś Philippe, nie odwracając głowy, chwycił ją ukradkiem i ciasno splótł palce, a potem szybko cofnął ramię. Gretchen przypomniała sobie, że w tych stronach publiczne okazywanie uczuć jest nie do przyjęcia, więc pospiesznie schowała rękę pod fałdzistą abą. Philippe zauważył ten gest i nie kryjąc zadowolenia, mrugnął do niej porozumiewawczo.

Gdy w oddali ukazał się pałac, Gretchen była zachwycona. Philippe z przyjemnością obserwował jej reakcję.

- Przed nami Palais Tatluk, nasza rodowa siedziba - powiedział, wskazując górujący nad miastem ogromny, piętrowy gmach z białego kamienia. Drzwi zwieńczone były łukami, podobnie wyglądały okna zamknięte czarnymi kratami o wyszukanych kształtach. Gretchen zdziwiła się, nie widząc balkonów, lecz po chwili przypomniała sobie, że w arabskich budynkach zawsze wychodzą one na wewnętrzny dziedziniec, aby mieszkanki domów nie przyciągały ciekawskich spojrzeń.

- Robi wrażenie - przyznała, daremnie szukając odpowiednich słów, oddających jej zachwyt.

- To jedyny gmach, który przed dwoma laty uniknął zniszczenia podczas najazdu Brauera i jego najemników - mruknął ponuro Philippe tonem tak groźnym i gwałtownym, że znów wydał jej się obcym człowiekiem. - Po udanym ataku urządzili sobie kwaterę w moim pałacu.

- Jak im umknąłeś? - zapytała. - Opowiedz. Proszę, jeśli to nie tajemnica.

- Wymknąłem się przez furtkę ukrytą w zewnętrznym murze, trafiłem na karawanę zmierzającą w stronę Omanu i przyłączyłem się do niej - odparł przyciszonym głosem. -

Miałem w kieszeni tylko niewielką sumę, ale zdołałem dotrzeć na Martynikę. Tam... pożyczyłem sporo pieniędzy. Wystarczyło na skuteczny kontratak.

- Przeciwno najemnikom?

Gdy na nią popatrzył, jego twarz przybrała dziwny wyraz.

- Mało wiesz o moim kraju i nie znasz jego mieszkańców. Przygotuj się na to, że część twoich opinii nie przystaje do rzeczywistości. W żadnym z krajów Bliskiego Wschodu nie ma tak świetnie wyszkolonego i walecznego oddziału, jak mój sz - KUSZ.

- Słucham?

- Mówię o swoich ochroniarzach. To mój sz - KUSZ, czyli „młot”. W walce nikt im nie dorówna, może z wyjątkiem brytyjskich komandosów - wyjaśnił.

- W moim oddziale służą wspaniali żołnierze o wyjątkowych predyspozycjach, a ich metody szkolenia określiłbym jako unikalne.

- Rozumiem. Całkiem jak u nas w oddziałach Zielonych Beretów albo elitarnych jednostkach piechoty morskiej - podchwyciła. - Rzucą się ich przeciwko terrorystom.

- Rzucą się... - powtórzył zbity z tropu.

- Znowu idiom - jęknęła.

- Już wiem, o co chodzi. - Kpiąco uniósł brwi.

- Generał siedzi za biurkiem, a żołnierzy „rzucą” do walki, tak?

- Nie wszystkich naraz - odparła rzeczowo. - Zresztą trudno oczekiwać od wysoko postawionych ważniaków, aby osobiście prowadzili swoich ludzi do ataku.

- Naturalnie. - Odwrócił głowę, żeby Gretchen nie spostrzegła, jak bardzo jest ubawiony tą rozmową.

- Wspomniałeś, że twoja rodzina sprawuje władzę od kilku pokoleń.

- To prawda - przytaknął. - Dawniej Qawi leżało w granicach tureckiego imperium otomanskiego, a w dziewiętnastym wieku o nasze terytorium wojnę toczyli Francuzi i Brytyjczycy. Wówczas przybyli tu misjonarze, aby rozpocząć ewangelizację. W 1930 roku wywalczyliśmy niepodległość. Mój dziadek pokonał wtedy oddział Legii Cudzoziemskiej, zjednoczył ocalałe plemiona beduińskich koczowników i został ich szejkiem. Ojciec przejął po nim władzę, ale wtedy był już chrześcijaninem, co wywołało pewne zamieszanie, więc musiał na polu bitwy dochodzić swoich racji. Dwaj moi przyrodni bracia byli muzułmanami, a mnie wychowano w poszanowaniu obu religii, lecz kilka lat temu nawróciłem się i zostałem ochrzczony. Z obawy przed niezgodą w państwie mój ojciec uznał, że rozsądnej będzie nie roztrząsać publicznie kwestii mego wyznania. Z pewnością już się zorientowałaś, że islam jest podzielony na wiele odłamów, a niektóre z nich skupiają wojowniczych ekstremistów.

Staramy się współistnieć z nimi oraz wyznawcami religii mojżeszowej. W Qawi skrupulatnie przestrzega się praw dotyczących swobody wyznania.

- Myślę, że jesteś wspaniałym przywódcą. - Gretchen popatrzyła na niego z jawnym podziwem.

Uśmiechnął się do niej.

- Muszę jeszcze przejść długą drogę, nim stanę się takim człowiekiem, ale sądzę, że moja wędrówka nabierze tempa, jeśli będę miał pod opieką nieposkromioną, dzielną pustynną księżniczkę.

- Trudno przypisać mi szaloną odwagę - odparła, unikając jego spojrzenia.

- Ale to się zmieni - odparł cicho. - Masz serce sokoła. Brak ci tylko pewności siebie, żebyś mogła odkryć swoje możliwości. Dzięki mnie nareszcie uwierzysz w nie i okrzepiesz wewnętrznie, bo przekonasz się, że sam czerpię siły z twojej bliskości.

- Nie rozumiem, czemu uważasz mnie za wyjątkową kobietę - odparła, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Życiowe doświadczenia nauczyły cię wytrwałości i dały wewnętrzną moc, ale do tej pory brakowało ci dobrej sposobności, żeby ją wypróbować, prawda, Gretchen? Wszystkie znane mi kobiety, z jednym wyjątkiem, na odgłos strzelaniny takiej jak w Asilah, uciekłyby z krzykiem, szukając bezpiecznej kryjówki, ale ty ze mną zostałaś.

- Jak mogłabym zwać i zostawić cię samego. Groziło ci ogromne niebezpieczeństwo!
- zawołała z oburzeniem.

Philippe westchnął, odruchowo napinając mięśnie. Popatrzył na nią zamglonymi oczyma, a pociągła twarz wyrażała niecierpliwość i tęsknotę.

- Wiesz, że sokoły dobierają się w pary na całe życie? - spytał zdławionym głosem.

Pod jego uważnym spojrzeniem spłonęła rumieńcem i poczuła żar ogarniający całe ciało. Piersi jej nabrzmiały. Wstrzymała oddech, zdumiona intensywnością nagłego pożądania. Philippe patrzył na bezkształtną abę z grubej tkaniny, pod którą sterczały hardo dwa małe wzgórki. Zacisnął usta, gdy przebiegł go miły dreszcz i z nienawiścią pomyślał o swojej impotencji. Jęknął cicho i odwrócił głowę, obserwując krajobrazy, przemykające za oknem samochodu.

- Obiecuję ci, że pewnego dnia - zaczęła cichutko, żeby nie usłyszeli jej ochroniarze, zajmujący przednie siedzenie - będziesz szczerze zadowolony, że Maggie nie mogła przyjąć posady. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby cię uszczęśliwić.

- Naprawdę chcesz się związać z człowiekiem, którego męskość jest wątpliwa? - Philippe sprawiał wrażenie wystraszonego.

- Moim zdaniem za nisko się cenisz, mój drogi - odparła głosem pełnym emocji. - Wolę twoje pocałunki niż typowy związek z innym mężczyzną.

Powoli odwrócił się w jej stronę. Twarz miał poważną, spojrzenie uporczywe i pełne niepokoju. Patrzył na Gretchen z jawną tęsknotą.

- To samo mógłbym powiedzieć tobie - szepnął. Oczy jej zabłyśły, gdy rozpromieniona wpatrywała się w niego. - Mógłbym się w tobie zakochać na zabój - dodał cicho.

- Wiem. A ja w tobie - szepnęła. Philippe znieruchomiał na moment, jakby lada chwila miał nagle machnąć ręką na tradycję i obyczajowe zakazy. Pochylił się lekko w stronę Gretchen, ale w tej samej chwili auto zarzuciło na zakręcie. Spojrzał w okno i zobaczył długi, wybrukowany kamiennymi płytami podjazd, wysadzany dziesiątkami smukłych palm, zamknięty pałacową fasadą.

Philippe sprawiał wrażenie zirytowanego niedawną chwilą słabości. Wsiadł, nie czekając na Gretchen, gdy tylko kierowca otworzył drzwi. Bez pośpiechu szła w stronę pałacu, a ochroniarz z kucykiem deptał jej po piętach. Wyglądał na rodowitego Araba, ale rysy twarzy zdradzały podobieństwo do słynnego piosenkarza Elvisa Presleya. Ciekawe, jak by zareagował Philippe, gdyby się dowiedział, że nadała przydomek temu osiłkowi. Może z czasem o tym usłyszy.

Wnętrze pałacu okazało się równie piękne, jak zachwycająca fasada. Ceramiczne kafelki posadzki utrzymane były w dwunastu odcieniach błękitu. Wszędzie widziało się łagodnie zaokrąglone łuki, a na podłodze leżały kosztowne dywany. Największy podziw Gretchen wzbudziły monumentalne schody w sieni, rozświetlonej tęczowym blaskiem kryształowego żyrandola. Obróciła się wolno, zafascynowana urodą wnętrza i tak zapatrzyła się w cudowne detale, że wpadła na stojącego za nią mężczyznę. Odwróciła się natychmiast i spojrzała w czarne oczy. Nieznajomy patrzył na nią jak drapieżnik na bezbronną ofiarę. Usłyszała głos Philippe'a, który zwrócił się do niego po arabsku, a potem dokonał oficjalnej prezentacji.

- To jest Ahmed, mój stryj, brat ojca. Ahmedzie, oto moja narzeczona, Gretchen Brannon z Jacobsville w Teksasie.

Przez moment z oczu starszego mężczyzny wyzierała jawna nienawiść.

- Narzeczona? Niewierna? To... Amerykanka? - Ostatnie słowo zabrzmiało w jego ustach niczym najgorsza obelga.

Gretchen wyprostowała się z godnością i już miała odpowiedzieć, ale nim się odezwała, stanął przed nią Philippe i z pasją przemówił po arabsku do stryja, który skrzywił twarz, ukłonił się pospiesznie, mruknął coś i odszedł. Agenci ochrony poszli za nim. Został jedynie Elvis, który strzegł bezpieczeństwa Gretchen.

- Uprzedzałem, że nie będzie łatwo - przypomniał łagodnie Philippe. - Ostrzegam, że nie wolno ci się z nim spierać. Jest muzułmaninem, więc uznałby to za obrazę.

- Rozumiem. Możesz być tego pewny. - Westchnęła głęboko, a Philippe przyglądał jej się z czułością. - Mnie by to nie przeszkadzało, ale lękam się o twoje bezpieczeństwo. Stryj Ahmed ma ogromne wpływy i spore poparcie na dworze. Poza ojcem i mną jest jedynym krewnym uprawnionym do pełnienia władzy w tym kraju. Chętnie zostałby szejkiem.

- Aha. W takim razie będę uważała, aby nie posłużył się mną przeciwko tobie.

- Moim zdaniem to absolutnie niemożliwe - odparł, mrugając do niej porozumiewawczo i nagle się rozpogodził. - Trudno tak rozmawiać. - Zdjął jej abę, a przy okazji potargał włosy. Rzucił szatę Elvisowi, ruszył w głąb długiego korytarza i bez słowa dał znak, żeby poszła za nim. - Teraz następna przeszkoda - mruknął do siebie.

Minęli kolejny łuk, skręcili w boczny korytarz i nagle stanęli na progu rajskiego ogrodu. Pomieszczenie wyłożone było ceramicznymi płytkami, a w każdym rogu znajdowały się dźwięcznie szmerzące fontanny. Rosło tam mnóstwo palm i tropikalnych roślin, przede wszystkim orchidee. Były ich setki.

- O Boże! - zawołała Gretchen. - Jakie piękne. Jakie piękne! - Podeszła do zielonożółtego kwiatu i pochyliła się, żeby go powąchać. Opuszkami palców musnęła delikatne płatki.

- Nie dotykać! - dobiegł z tyłu chrapliwy, ostry głos.

Odskoczyła natychmiast, potknęła się i omal nie straciła równowagi. Starzec w białym stroju zwanym thobe i nakryciu głowy z tej samej tkaniny o nazwie taiga, przyglądał się intruzom. Był potężnie zbudowany, wysoki i lepiej ubrany niż zwykli ogrodnicy. Jego broda i wąsy były zupełnie siwe.

- Cudowne okazy - powiedziała Gretchen, przyglądając potargane włosy. - Przepraszam, nie powinnam była podchodzić, ale uwielbiam kwiaty. Chciałam obejrzeć i dotknąć to чудо, a pragnienie było silniejsze ode mnie. Miałam kiedyś własną orchideę. Phalanopsis, niedroga i dość popularna. Bardzo o nią dbałam.

- Była tylko jedna? - zapytał stary mężczyzna, a Gretchen się zarumieniła.

- Brakowało mi odpowiedniego pomieszczenia, żeby je hodować, a nawet gdybym je przygotowała, mogłabym sobie pozwolić tylko na kilka roślin - odparła szczerze.

- Stoisz z odsłoniętą twarzą przed mężczyzną, który nie jest twoim mężem - oznajmił karcącym tonem i spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Twoje odzienie jest zniewagą moich oczu, razi też poczucie przyzwoitości mego brata oraz całej męskiej służby domowej.

Philippe wysunął się naprzód i stanowczo, ale z ogromnym szacunkiem, powiedział kilka słów do starca, który nie krył zdumienia.

- Amerykanka? Bezbożnica z ohydneho gniazda rozpusty?! - krzyknął, wskazując na Gretchen, która wstrzymała oddech. Co za tupet! Ten ogrodnik za dużo sobie pozwala. Po chwili rozgniewany staruch dodał, obrzucając ją taksującym spojrzeniem: - Na domiar złego ta bezbożnica jest chuda jak szczapa.

- Jak pan śmie! - krzyknęła, nim Philippe zdołał ją powstrzymać. Jej oczy lśniły ze złości jak zielone płomienie. - Zapewniam, że regularnie chodzę do kościoła. Obiłabym szpicrutą każdego faceta, który próbowałby się do ranie dobierać, nim włoży mi obrączkę na palec.

Starszy pan uniósł brwi, przygryzł wargę i przekrzywił głowę, obserwując uważnie skurczoną z wściekłości i zarumienioną twarz Gretchen.

- FIL - fil - mruknął kpiąco i niespodziewanie wybuchł śmiechem.

Philippe też zachichotał i przez chwilę rozmawiał z nim po arabsku. Starzec miał kwaśną minę, ale przestał się ciskać. Philippe skłonił głowę, a jego rozmówca lekceważąco machnął ręką, odwrócił się, podszedł do swoich roślin i od tego momentu traktował intruzów jak powietrze. Philippe skinął na Gretchen, która poszła za nim.

- Boże mój, co za świętoszek! - mruknęła z oburzeniem. - Jak prawem mnie tak beształ? Co znaczy to krótkie słowo, które rzucił na koniec?

- Mniejsza z tym - wymamrotał Philippe, tłumiąc chichot. - Uprzedzałem, że spróbuje zbić cię z tropu. Gdybyś się przestraszyła, jego ochroniarze natychmiast odstawiłby cię na lotnisko i wprowadzili na pokład pierwszego samolotu zmierzającego do Ameryki.

- Twój ogrodnik ma spore wpływy! - zawołała.

- Jaki ogrodnik? Przecież to mój ojciec.

- Ojej, dałam plamę! - mruknęła zrozpaczona i przygryzła wargi.

- Spokojnie, z czasem do ciebie przywyknę - uspokajał Philippe.

Odwrócił się do ochroniarza z kucykiem, idącego za nimi w głąb korytarza, i wydał mu rozkaz. Osilek ukłonił się i odmaszerował.

- Dokąd poszedł?

- Już ci go brakuje, co? - odparł z uśmiechem Philippe. - Powiedziałem mu, że ma cię strzec jak oka w głowie i chodzić za tobą jak cień. Gdy położysz się do łóżka, będzie spać u twoich drzwi.

- Widzę, że istotnie bardzo ci zależy na moim bezpieczeństwie - odparła, trochę zaskoczona. Jego słowa zrobiły na niej duże wrażenie.

Philippe spoważniał, odwrócił się do niej i powiedział z naciskiem:

- Przypuszczam, że Brauer ma szpiegów wśród mojej służby. Moim zdaniem jest także odpowiedzialny za strzelaninę na granicy. Nie mogę pozwolić, żeby mnie teraz zaskoczył. Pamiętaj, że nie wolno ci opuszczać pokoi, chyba że będzie z tobą Hassan.

- Masz na myśli Elvisa?

- Nadałaś mu przezwisko, tak? - Philippe uniósł brwi. - Rozmawialiście? - spytał niespodziewanie.

- Ależ skąd! Nie znam arabskiego - odparła, zdziwiona jego słowami.

- Jasne. Pewnie to intuicja.

- Mówisz zagadkami - skarciła go.

- Tak sobie żartuję, drobiazg. Przezywaj go, jak ci się podoba. W Qawi, gdy para szykuje się do ślubu, przyszły mąż daje oblubienicy posag.

- Nie przyjmę od ciebie pieniędzy - odparła stanowczo.

- Jak sobie życzysz. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Chcę ofiarować ci Hassana. Jest twój.

- Na czyste złoto ten chłopak mi nie wygląda, ale ma pewnie ukryte zalety - mruknęła sceptycznie, ubawiona jego pomysłem. - Rozumiem, że jest moją własnością, tak? Czy to oznacza, że po ewentualnym rozwodzie mogę zabrać go ze sobą do Stanów?

- Nie będzie takiej potrzeby - odparł, wybuchając śmiechem. - Nie ma mowy o rozwodzie, jasne?

- Pewnie. - Spojrzała mu w oczy. - Ale nie weźmiemy ślubu kościelnego, prawda?

- Na razie nie. - Philippe od razu spoważniał. - Odbędzie się tylko prosta ceremonia zgodna z plemiennymi zwyczajami, w obecności niewielkiej grupy świadków, bez oficjalnych uroczystości. Ślub w katedrze. .. Widziałaś chyba, że mamy tu wspaniały kościół katedralny. Taka ceremonia oznacza związek na całe życie. - Popatrzył na nią z goryczą i smutkiem. - Gdyby się okazało, że możemy mieć dzieci, konieczna będzie oficjalna uroczystość i huczne wesele. Ale nie sądzę, że bym był w stanie dać ci potomstwo.

- Kto obejmie tron po twojej śmierci? - zapytała, pochmurniejac tak samo jak on.

- Jeszcze ci nie mówiłem? Gdy umrę, szejkiem zostanie syn Brianne - odparł z prostotą. - Śliczny chłopiec, ma po ojcu czarne włosy i ciemne oczy. Pierce Hutton będzie protestować, kiedy się dowie o moim postanowieniu. Wścieka się, ilekroć okoliczności wymagają, żebym się spotkał z jego żoną. Jest okropnie zaborczy i chorobliwie zazdrosny.

Ta Brianne nadal wiele znaczy dla Philippe'a, skoro postanowił jej synowi oddać swój kraj, pomyślała Gretchen. Ciekawe, jak to przyjmie jego stryj, nie mówiąc już o rodzonym ojcu.

- Bóg raczy wiedzieć, co ona w nim widziała - mruknął Philippe, zirytowany jak zawsze, gdy mówił o Huttonie.

- Nie ma żadnych zalet? - spytała z ciekawością.

- Jest bogaty.

- Nic więcej?

- Prowadzi międzynarodową firmę budowlaną. To jego własność. Projektuje i konstruuje platformy wiertnicze oraz inne tego rodzaju obiekty. - Philippe popatrzył na Gretchen. - Nie lubię tego faceta, ale muszę przyznać, że nie brak mu odwagi. On i Brianne ledwie uszli z życiem podczas ataku Brauera. Cudem udało im się opuścić Qawi. To właśnie Hutton pożyczył mi pieniądze na przygotowanie kontraktaku. - Oczy zabłyśły mu groźnie. - Wciąż mi to wypomina.

A zatem ci dwaj nadal ze sobą rywalizują. Zaciekawiona Gretchen pomyślała o tajemniczej Brianne. Z pewnością jest wyjątkowo urodziwa, skoro dwaj wspaniali mężczyźni są pod jej urokiem. Nie ulegało wątpliwości, że mąż bardzo ją kocha. Gretchen poczuła zazdrość, kiedy uświadomiła sobie, że Brianne nie jest obojętna Philippe'owi.

- Zobaczmy się dzisiaj? - spytała nagle.

- Chyba tak - odparł, skinieniem przywołując ładną, młodą kobietę w beżowej haftowanej szacie zwanej galabija, opadającej miękko do kostek. Na wierzch nieznajoma narzuciła hijab w delikatny wzór. Przyprowadził ją Elvis. - Leila zaprowadzi cię do twoich komnat. Dawniej zajmowała je moja babka po mieczu. Myślę, że ci się spodobają. Babcia pochodziła z Turcji, ale poślubiła Francuza.

- Poznam ją?

- O nie! - Pokręcił głową. - Umarła dwadzieścia lat temu. Pamiętam, że uwielbiała orchidee, więc ojciec ma to po niej.

- Należy docenić, że w ogóle potrafi się zdobyć na cieplejsze uczucia - mruknęła ponuro.

- Tak, kocha te swoje roślinki - przytaknął Philippe z kpiącym uśmiechem. - Jest również przywiązany do ojczyzny, ale trudno powiedzieć, żeby był szczególnie wylewny. Mniejsza z tym. Rzadko będziesz go widywać. Do komnat zaprowadzi cię... Hassan - dodał pogodnie.

Domyśliła się, że omal nie użył przezwiska, i dlatego uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. Po arabsku zwrócił się do ochroniarza i wydał rozkaz skwitowany ukłonem oraz szybkim skinieniem głowy. Popatrzył na młodą ślicznotkę o ciemnych oczach i powiedział do niej kilka słów. Uśmiechnęła się i wzięła Gretchen za rękę.

- Proszę iść za mną, dostojna pani FIL - fil - powiedziała z szacunkiem.

- No i dzięki mojemu ojcu mamy kolejne przezwisko, *mademoiselle* - kpił dobrodusznie Philippe.

- Co znaczy to słowo? - zapytała nieufnie. W czarnych oczach błysnęły wesołe iskierki.

- Papryczka. Możesz mi wierzyć, że kiedy ojciec tak cię nazwał, miał na myśli wyjątkowo ostry gatunek!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Leila zaprowadziła Gretchen do urządzonych z przepychem komnat w kobiecej części pałacu. Dominowały tam dwie barwy: biel i złoto. Gretchen, skromna dziewczyna z Teksasu, oniemiała na widok tych wspaniałości i przyglądała się z niedowierzaniem wnętrzom, które dla niej wyglądały jak barwne zdjęcia z luksusowych czasopism: śliczna posadzka z terakoty, ceramiczna dekoracja ścian, pokój kąpielowy wielki jak cały parter domu w Jacobsville i wyposażony w spory basen oraz świetliki w dachu. Basen wyłożono identycznymi płytkami jak te, z których wykonana była podłoga. Ledwie go było widać zza palm i kwitnących roślin, stojących dookoła w ozdobnych doniczkach.

- Podoba się tutaj? - zapytała Leila z błyskiem dumy w oczach. Z namysłem szukała angielskich słówek.

- Jakie piękne wnętrza! - odparła rozmarzona Gretchen, a Leila pochyliła się ku niej i dodała przyciszonym głosem:

- Dawny harem. Sadi z niego nie korzysta, ale pradziadek miał dwadzieścia nałożnic. Tutaj mieszkały pod nadzorem eunuchów.

- Sadi? Co to znaczy? - spytała zaciekawiona Gretchen.

- Sadi czyli pan, władca.

- Władca pustyni - szepnęła, widząc oczyma wyobraźni szejka w łopoczących białych szatach, pędzącego na białym ogierze z wiatrem w zawody i wiodącego gromadę pustynnych wojowników. Uśmiechnęła się rozbawiona tymi rojeniami. Podejrzewała, że Philippe nie potrafi nawet jeździć konno. Czuła, że staje się marzycielką, bo działa na nią magia tego wnętrza.

- Potężny on jest, ten sadi nasz - dodała Leila z wielkim zapałem, choć szyk zdania budził sporo wątpliwości. Otworzyła walizkę Gretchen, przyniesioną przez ochroniarza. Zafrasowana kiwała głową, przyglądając się skromniutkiej garderobie, złożonej z dwu spódnic, bluzki, pary spodni oraz meksykańskiej sukienki i czarnego szala. - Nie, nie, to przecież nie wystarczy! Sadi musi zamówić nowe rzeczy, dostojna pani FIL - fil - perorowała, coraz swobodniej posługując się angielszczyzną. - Wysoka pozycja wymaga odpowiedniego stroju.

- Co takiego?

- To przecież oczywiste! Dostojna FIL - fil jako narzeczona naszego szejka jest przysługą panią tego domu i kraju - odparła z prostotą Leila. Uśmiechnęła się, widząc

zdumienie na twarzy Gretchen. - Wiemy, że sadi pragnie cię poślubić, pani. A już się obawialiśmy, że wcale nie znajdzie sobie narzeczonej. Prawdę mówiąc, mimo różnych pikantnych plotek chodziły też słuchy, że w ogóle nie interesuje się kobietami... - Gretchen zarumieniła się jak piwonია i zakłopotana odwróciła wzrok, a Leila po swojemu zrozumiała jej zawstydenie i zachichotała uradowana. - Aha! Teraz rozumiem jego wstrzemięźliwość. Szukał panny, która naprawdę stanie mu się bliska. - Znowu się roześmiała. - Wszystko jasne.

- Jest bardzo... przystojny - mruknęła Gretchen.

- To wyjątkowy mężczyzna, dostojna pani - odparła Leila. - Prawdziwy tygrys w ludzkiej skórze. Beduini snują o nim długie opowieści przy obozowych ogniskach. Ich ulubiona historia dotyczy ataku, po którym najemnicy zostali wyparci z podbitego Qawi.

- Ach tak, opowiadał mi o swoich dzielnych ochroniarzach - przypomniała sobie Gretchen, a Leila obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- W tej kampanii wzięli udział wojownicy ze wszystkich pustynnych plemion - tłumaczyła cierpliwie. - Każde z nich przysłało swoich ludzi. Zapewne nie wiesz, dostojna pani, jak głębokie różnice dzielą poszczególne plemiona, ile między nimi zdrady, waśni, żądzy odwetu, które należało usunąć w cień, aby doprowadzić do zjednoczenia.

- Mało wiem o Qawi - usłyszała cichą odpowiedź. - Wiele powinnam się nauczyć.

- To będzie ciekawa lekcja - zapewniła Leila. - Chcesz teraz, pani, zażyć kąpieli w jacuzzi?

- Macie tu wannę z bąbelkami? - zawołała uradowana.

- Owszem. I wiele innych nowoczesnych udogodnień. - Leila wybuchła śmiechem. - Wanna jest tak ogromna, że starczy miejsca dla dwojga małżonków - dodała zarumieniona.

- Leilo! - zawołała Gretchen. Policzki miała czerwone.

Dama dworu spojrzała na nią z uznaniem.

- Widzę, pani, że podzielasz nasze przekonania, i bardzo mnie to cieszy. Pustynne plemiona wysoko cenią surowe zasady moralne.

- Pochodzę z małego miasteczka - tłumaczyła Gretchen. - A poza tym zawsze byłam ogromnie staroświecka.

- W takim razie warto, abyś poznała nasze tradycje, dostojna pani. - Ciemne oczy Leili lśniły z radości. - Jeśli sadi pozwoli, sama chętnie ci o nich opowiem.

- Czy na wszystko potrzebna jest tutaj zgoda mężczyzny? - zapytała z powagą Gretchen. - Kobiety w każdej sprawie pytają o pozwolenie?

- Na Bliskim Wschodzie życie codzienną w dużym stopniu regulują prawa Koranu - oznajmiła uroczyście Leila - co oznacza, że współżycie poza małżeństwem jest zabronione,

nie ma też zgody na uczynki sprzeczne z zasadami moralności. Te prawa obowiązują zarówno kobiety, jak i mężczyźni. - Przerwała na moment i uważnie obserwowała, jak na jej słowa zareaguje wyzwolona Amerykanka.

- W moim kraju osoby, które szanują dawne wartości, uważa się za relikty czasów prehistorycznych - powiedziała cicho Gretchen, a Leila uniosła brwi.

- W takim razie zapraszamy do naszej jaskini, *mademoiselle* - odparła nieśmiało.

Gretchen wybuchnęła śmiechem. Od razu polubiła tę miłą i dowcipną kobietkę.

- Serdeczne dzięki, jak to mówią między nami, jaskiniowcami !

- A teraz zapraszam do kąpieli.

Philippe obawiał się wprawdzie, że nadmiar obowiązków nie pozwoli mu na odwiedzinę, ale kiedy Gretchen sączyła poobiednią kawę i chrupała migdałowe ciasteczka, niespodziewanie wszedł do jej komnaty. Zdziwiła się na widok Leili, która deptała mu po piętach. Odprawił ją niecierpliwym skinieniem dłoni, kazał zamknąć drzwi i czekać w przedpokoju.

- Mamy przyzwoitkę? - zapytała kpiąco, gdy usiadł na krześle po drugiej stronie szklanego stolika. - Jakie to ekscytujące!

Philippe zachichotał. Włożył *thobe*, czyli elegancką, ciemnoniebieską szatę haftowaną złotą nicią, podobną do marokańskich strojów zwanych *djellabah*. Na nogach miał buty z niewielkim obcasem, w Maroku znane jako *bouches*. Przechylił głowę i z jawną przyjemnością patrzył na Gretchen, wystrojoną w galabiję z białego jedwabiu wyszywanego złotem. Tkanina była tak cienka, że prześwitywała przez nią długa, haftowana koszula z gęsto tkanej bawełny.

- Włożyłaś tradycyjny strój - powiedział z zadowoleniem. - Moim zdaniem należą ci się znacznie piękniejsze suknie. Polecę, żeby jutro przysłano tu krawcową. Niech weźmie miarę i uszyje odpowiednie ubrania. Bardzo mi się podobasz w bieli, ale nasyciona, głęboka zieleń znakomicie podkreśla twoją urodę.

- Po co masz wydawać na mnie tyle pieniędzy? - sprzeciwiła się natychmiast. - Nie lubię się stroić, a gdy będziemy razem wychodzić, narzucę tylko abę i wystarczy.

- Będiesz odgrywać w Qawi ważną rolę, więc powinnaś odpowiednio wyglądać - tłumaczył cierpliwie, uśmiechając się serdecznie. Opadł na oparcie krzesła i wpatrywał się w nią zaborczym wzrokiem. Po chwili dodał: - Zresztą bardzo lubię kupować ci ładne rzeczy, więc pozwól mi na to.

- Zgoda - odparła pogodnie - ale chciałabym dostać przynajmniej jedną parę dżinsów, żeby w nich jeździć konno... tylko we dwoje.

- Z przyjemnością wybiorę się z tobą na przejażdżkę, lecz musisz nosić bryczesy i toczek, Gretchen. Odpowiedni strój do konnej jazdy to podstawa.

- Ale ja wolę dzinsy - grymasiła.

- Dobrze, moja księżniczko, ale włożysz je dopiero wówczas, gdy zrobimy sobie... rzymskie wakacje - odparł żartobliwie.

- Świetnie. - Przyjrzała się jego zmęczonej twarzy i odkryła kilka nowych zmarszczek.

- Jesteś zmęczony - powiedziała cicho. - Wyglądasz jak człowiek pogryziony przez jadowitą bestię.

- Trafiaś w sedno. - Roześmiał się, wstał i przeciągnął się leniwie, rozluźniając zmęczone mięśnie. - Nakarmili cię?

- Zjadłam pyszny obiad - odparła. - Dostałam pieczony drób, naprawdę świetnie przyrządzony. Słodczyce też są bardzo smaczne. Chcesz spróbować? - zapytała, biorąc z tacy migdałowe ciastko w kształcie półksiężyca.

Wyciągnęła rękę, a Philippe pochylił się nad nią i otworzył usta, wpatrzony w zielone oczy, kiedy go karmiła. Gryzł wolno i przełknął bez pośpiechu, a potem schylił się jeszcze bardziej i pocałował ją rozchylonymi wargami. Ich muśnięcie było delikatne i lekkie jak piórko. Wstrzymała oddech i chciała objąć go za szyję, ale odsunął się i obserwował ją uważnie.

Popatrzył na wielkie łoża z muślinowymi zasłonami i baldachimem, podtrzymywanym czterema kolumnami. Zerknął ponownie na Gretchen i zmierzył taksującym spojrzeniem jej postać, osłoniętą białym jedwabiem. Czarne oczy rozjaśnił tajemniczy blask.

- Dla spragnionego godziny wloką się jak dni - mruknął czule. - Chodź do mnie, maleńka.

Wyciągnął mocne ramiona i wziął Gretchen na ręce. Pochylił głowę i pocałował przymknięte powieki. Zaniósł ją do łóżka i ostrożnie ułożył na bogato haftowanej narzucie. Znieruchomiała, wpatrzona w niego wielkimi, głodnymi oczyma. Wsunął się na nią oparty na łokciach, żeby zmniejszyć swój ciężar. Silne ręce spoczywały obok jej głowy. Palcami wyciągnął szpilki podtrzymujące długie włosy, które rozsypały się i otoczyły jej twarz niczym złocista aureola.

Popatrzył na małe wzgórki sterczące pod białą galabiją, a następnie, wciąż patrząc w zielone oczy, sięgnął dłonią do guzików i zaczął je rozpinąć. Serce Gretchen uderzało coraz mocniej. Była pewna, że Philippe czuje jego kołatanie, a także jej przyspieszony puls. Gdy wierzchem dłoni musnął obnażoną skórę, odruchowo poruszyła się, rozpalona delikatną pieśczętą.

Włożył rękę pod suknię i rozsunął jedwabne poły, dotknął skóry miękkiej jak aksamit i objął pierś, okrytą cieniutką koronką stanika.

- Aha - szepnął, czując pod palcami twardy sutek. Poczuł rozkoszny dreszcz. - Tym razem nie masz żadnych poduszek?

- Przy tobie nie są mi potrzebne. - Wolno pokręciła głową. - Ty sprawiłeś, że jestem dumna ze swojej urody.

- I tak być powinno - odparł czule. - Masz taką gładką skórę - szepnął, całując przymknięte powieki i gładząc małą, jędrną pierś. Pocałował Gretchen w usta, przygryzł ostrożnie dolną wargę i coraz śmielej pieścił biust.

- Posłuchaj, Gretchen - powiedział zduszonym głosem. - Będę cię całować całą, aż zaczniesz krzyczeć z rozkoszy. Chcę, żeby Leila cię usłyszała, ale jeśli się wstydzisz... - Kiedy to mówił, jego dłonie nie próżnowały, odsuwając jedwab rozpinanej z przodu sukni i bawełnę koszulki. Gretchen uniosła się lekko i uwolniła ramiona ze zwojów materiału. Opadła na posłanie i leżała nieruchomo, jakby zachęcała, żeby na nią patrzył i podziwiał jej nagość. Bez wstydu i nieśmiałości objęła go za szyję.

Gdy popatrzył w łagodne, zielone oczy, poczuł się jak prawdziwy władca. Pochylił głowę i okrywał pocałunkami smukłe ciało. Gretchen uniosła się lekko, westchnęła niecierpliwie, jakby zachęcała, żeby objął wargami jej sutki... Urywany krzyk sprawił, że ogarnęła go nagła żądza. Pocałunki były coraz bardziej zaborcze. Ocierał się o nią. Zapomniał o Leili, o swoich postanowieniach, o zahamowaniach i skrupułach dotyczących reputacji narzeczonej. Cały płonął i czuł znajome pulsowanie. Był tak podniecony, że prawie nie czuł ostrych paznokci wbijających się w jego plecy tuż nad paskiem. Wsunął się między długie nogi Gretchen i poczuł, że drżą. Pragnął natychmiastowego zaspokojenia i w tej chwili nic więcej się dla niego nie liczyło. Może jednak... może jednak... może...

- Sadi!

Wzdrygnął się. Spojrzenie miał groźne, gdy oderwał wzrok od smukłej postaci i wielkich, zielonych oczu przesłoniętych mgłą namiętności. Popatrzył w stronę drzwi prowadzących do ogromnej łazienki. Stała w nich Leila. Ramiona splotła na piersi i obserwowała go z jawną dezaprobatą. Wściekły, rzucił kilka słów po arabsku. Odpowiedziała w tym samym języku - cicho, ale stanowczo. Philippe zaklął po francusku, po angielsku, po arabsku. Zerknął na suknię i koszulę, które tak zręcznie porozpinał. Z najwyższym trudem opanował drżenie wywołane niezaspokojoną żądzą. Nigdy dotąd tak go nie wzięło. Nadal odczuwał pożądanie. Najchętniej zerwałby z siebie i z Gretchen te szmatki i wszedł w nią. Tak chciał... Jęknął chrapliwie, odsunął się na brzeg łóżka i ukrył rozpaloną twarz w dłoniach.

Gretchen oddychała z trudem. Zebrała rozpiętą szatę, okrywając nagie piersi, i spojrzała na Leilę, zbita z tropu i zawstydzona.

- Proszę iść ze mną, pani - oznajmiła stanowczo. Podeszła bliżej i pomogła jej wstać z łóżka. - Sadi, trzeba poczekać do ślubu - skarciła po angielsku swego władcę. - Co za wstyd!

- Leilo, jesteś gorsza niż zaraza! - jęknął Philippe i wybuchnął śmiechem, chociaż cierpiał jak potępieniec. - Szkoda, że nie spełniłem życzenia Mustafy al Bakira, gdy błagał, żebym mu ciebie dał.

- Za wysokie progi na jego nogi - odparła rezolutnie. - Wolałabym poślubić wołu. Zabiorę teraz moją panią do sąsiedniej komnaty. Proszą stąd wyjść, sadi - dodała, ciągnąc Gretchen w stronę drzwi. - Nie pozwolę zhańbić mojej pani.

Philippe wstał z trudem. Idąc w stronę drzwi, nie patrzył na kobiety. Nieustępliwa Leila wyprowadziła Gretchen, która przytrzymała rozpiętą do pasa szatę zsuwającą się z ramion. Philippe zatrzymał się przy drzwiach i z chełpliwym uśmiechem wyduł usta.

- W takim razie trzymaj moją narzeczoną pod kluczem, póki nie wyruszymy na pustynię - poradził Leili - bo nie mam sił, żeby oprzeć się takiej pokusie.

- Tak mówił Hassan - odparła, kiwając głową, gdy pytająco uniósł brwi. - Owszem, sadi. Dobrze wiem, co wyprawialiście podczas lotu! Moja pani nie jest bezpieczna podczas waszych spotkań. Moim zadaniem jest dopilnować, żeby do ślubu pozostała nietknięta, czy to się mojemu panu podoba, czy nie!

- Jestem na ciebie zły - przyznał Philippe, mrugając do niej porozumiewawczo. Zwrócił się do Gretchen: - I na pustynię kiedyś spadnie deszcz, *mademoiselle* - powiedział ciepłym barytonem i roześmiał się cicho, gdy spłonęła rumieńcem.

Gdy wyszedł, Leila z ponurą miną pomogła swej pani zapiąć koszulę i galabiję.

- O co mu chodziło, kiedy powiedział, że na pustynię kiedyś spadnie deszcz? - spytała Gretchen.

- To takie arabskie przysłowie. Niby że i tak postawi na swoim - odparła Leila. - Nie warto teraz zaprzącać sobie głowy tymi sprawami - odparła z godnością, ale twarz jej się wypogodziła. - A to szubrawiec - dodała, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Niepotrzebnie mu zaufałam i zostawiłam was samych! Gretchen milczała. Było dla niej oczywiste, że Philippe cieszył się, bo przyłgnęła do niego opinia potencjalnego uwodziciela. Stanowcza interwencja Leili ubawiła go i szczerze uradowała z powodów, które dla arabskiej damy dworu miały pozostać tajemnicą. Wspominając jego namiętne pieszczoty i gwałtowne podniecenie, nabrała pewności, że pewnego dnia pozna wszystkie sekrety alkowy. Nie mogła się doczekać ślubnej ceremonii, po której ukochany będzie w końcu należał do niej. Jeśli

zdoła go uwieść, tajemnicza Brianne przestanie być groźna i straci miejsce w jego sercu. Gretchen była zdecydowana dopiąć swego wszelkimi możliwymi sposobami.

Tydzień minął bardzo szybko. Gretchen zwiedzała ogromny pałac i poznawała służbę. Żal jej się zrobiło pracowników szorujących białe ściany, bo używali żrących środków czystości, więc dłonie mieli czerwone i szorstkie. Gdy zatroskana wspomniała o tym Philippe'owi, natychmiast polecił zakupić dla nich gumowe rękawice ochronne. W kuchni zobaczyła chorą kobietę, z trudem trzymającą się na nogach, więc od razu poszła do niego z kolejnym problemem. Szybko wezwano medyka, a pacjentka dostała skuteczne leki i zwolnienie lekarskie.

Gretchen dostrzegła też wiele innych nieprawidłowości, czym uradowała i rozczuliła przyszłego męża. Zwrócił mu uwagę na fakt, że nikt nie liczy godzin pracy pałacowej służby, że brakuje podstawowych udogodnień socjalnych oraz przedszkola dla dzieci zatrudnionych tu kobiet. Pewnego dnia po drobiazgowej inspekcji spotkała się z pracownikami i rozmawiała z nimi za pośrednictwem tłumacza przysłanego przez Philippe'a. Cierpliwie wysłuchiwała wszystkich skarg i zażaleń. Każdy miał dość czasu, żeby się wypowiedzieć. Kucharz, narzekał, że brak mu nowoczesnego sprzętu, niezbędnego do przyrządzania tak lubianych przez szejka potraw kuchni francuskiej. Ochmistrz początkowo krzywo patrzył na cudzoziemkę mieszącą się w nie swoje sprawy, ale gdy po jej interwencjach w ciągu paru dni warunki pracy znacznie się poprawiły, uznał ją za sprzymierzeńca. Toczyli długie i poważne rozmowy, bo ochmistrz uznał, że najwyższa pora zmienić zastawę i zamówić nowe obrusy do sali jadalnej.

Gretchen nie ograniczała się jednak do problemów związanych ze służbą. Pewnego dnia zobaczyła na ulicy przylegającej do pałacu dzieci, które rzucały patykami. Nie miały zabawek, nikt ich nie pilnował. Wzięła ze sobą tłumacza i odwiedziła jeden z czyściutkich domów w obrębie murów obronnych starego miasta, zwanego kasbah. Poleciła wezwać wszystkie matki zamieszkałe w okolicy. Większość z nich pracowała w tkackich manufakturach, produkujących materiały dla mieszkańców pałacu, a ich dzieci zostawały bez opieki i bawiły się na ulicach, ponieważ nie było przedszkola. Gretchen natychmiast poszła z tym do Philippe'a i oznajmiła, że trzeba je zorganizować natychmiast, zatrudniając fachową opiekunkę, żeby tkaczki mogły spokojnie pracować.

Philippe zgodził się bez dyskusji. Podziwiał skuteczność działania swojej przyszłej żony. Ledwie zjawiła się w stolicy Qawi, wprowadziła mnóstwo korzystnych zmian. Była ogromnie aktywna: uważnie wszystko obserwowała, była pilną słuchaczką, szybko się uczyła. Od razu dostrzegała nieprawidłowości wymagające interwencji i brała się do pracy, żeby je

usunąć. Na jego oczach zdobywała doświadczenie i szykowałą się do nowej życiowej roli. Cała służba była nią oczarowana. On sam także uległ jej urokowi. Z dnia na dzień narastało w nim pożądanie, jednak Leila zachowywała czujność i strzegła przed nim swojej pani. Niechętnie pozwaliała mu na krótkie wieczorne odwiedziny, ale stanowczo odmawiała opuszczenia komnaty. Philippe spojrział na nią pewnego wieczoru, gdy siedziała przy drzwiach z haftem na kolanach, i rzucił kilka słów po arabsku. Uśmiechnęła się, puszczając jego uwagę mimo uszu i wyszywała dalej.

- Za dwa dni pojedziemy do Wadi Agadir - zwrócił się do Gretchen. - Wkrótce do pałacu zostaną dostarczone twoje nowe stroje. Leila będzie ci towarzyszyć w czasie podróży.

- Przyłączymy się do karawany? - spytała uradowana. - Będą konie i wielbłądy...

- Pojedziemy samochodem terenowym - sprostował Philippe, wybuchł śmiechem i puścił do niej oko, gdy spojrzała na niego zawiedziona. - Jestem mieszczuchem - dodał z ociąganiem, rzucając ostrzegawcze spojrzenie Leili, która właśnie otworzyła usta, aby zaprotestować. - Dlaczego miałbym katować się jazdą na wielbłądzie, skoro mogę wygodnie podróżować dobrym autem?

- Przeczytałam zbyt dużo powieści i zbyt często oglądałam filmy z Rudolfem Valentino. Stąd te romantyczne urojenia - odparła zakłopotana Gretchen. - Jestem pewna, że jazda autem terenowym również będzie emocjonująca.

- Mam nadzieję, że cała ta wyprawa stanie się dla nas obojga wspaniałym i niezapomnianym przeżyciem - odparł cicho, ujął jej dłoń i podniósł do ust. - Muszę już iść. Pięknych snów.

- Ty również śpij dobrze. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zły.

- Za co? - spytał zdziwiony.

- Zrobiłam w pałacu spore zamieszanie. Wybacz, jeśli przysparzam ci kłopotów. Może wolisz, żebym siedziała w swoich komnatach i...

Leila głośno się roześmiała, a Philippe jej wtórował.

- Szef kuchni własnoręcznie piecze twoje ulubione ciasteczka z migdałami, a dodam, że mówimy o pyszałku, którego podwładni nazywają „Napoleonem”. Kobiety z pralni skrapiają twoje rzeczy najdroższymi wonnościami. Dzieci tłoczą się wokół ciebie, gdziekolwiek pójdziesz. Mój własny kamerdyner ukradł orchideę z cieplarni ojca, co jest strasznym przestępstwem, za które dawniej zostałyby skrócone o głowę. Odważył się na taki postępek, żeby doniczka z pięknym kwiatem ozdobiła twój salon. Mówisz o kłopotach i masz rację, bo lękam się, że służba może podciąć mi gardło, jeśli tylko uzna, że cię obraziłem!

- Tak jest w istocie, pani - wtrąciła Leila i parsknęła śmiechem na widok zdziwionej miny Gretchen. - Ludzie cię uwielbiają.

- Są tacy mili i uczynni. Uznałam, że muszę się im odwdziaczyć - odparła. Leila niespodziewanie wstała i popatrzyła znacząco na szejka. - Idę po nici, ale wracam za chwilę, sadi - dodała ostrzegawczo.

- Trudno, dobre i to - odparł z westchnieniem. Leila ukłoniła się, rzuciła swej pani porozumiewawcze spojrzenie i wyszła.

Philippe otworzył ramiona, więc Gretchen natychmiast się w nie rzuciła. Gdy objął ją mocno, przytuliła głowę do szerokiej piersi, wsłuchana w głośne uderzenia jego serca.

- Myślałem o naszej pustynnej wyprawie. Może jednak powinienem cię tutaj zostawić - powiedział z ustami przy jej skroni.

- Dlaczego? - Odsunęła się i popatrzyła mu w oczy. - Zmieniłeś zdanie? Już nie chcesz się ze mną ożenić?

- Ależ skąd! - odparł cicho, dotykając palcem jej ust. Wpatrywał się w nią jak urzeczony. - Zastanawiam się tylko, czy powinienem cię ze sobą zabrać, skoro ta wyprawa może się okazać znacznie bardziej niebezpieczna, niż początkowo sądziłem.

- Nie jestem strachliwa.

- Ja również, ale wystawię cię na spore ryzyko.

- Może pojedziemy tylko we dwoje? - zapytała kokieteryjnie.

- Jesteś niemożliwa! - jęknął przeciągle, pochylił głowę i pocałował ją namiętnie. - Z pewnością nie wyruszymy samotnie. Będą nam towarzyszyć ochroniarze, a potem dołączą również delegacje wielu pustynnych plemion. Zbierze się bardzo silny oddział.

- Mówisz, jakbyśmy wyruszali na wojnę.

- I tak się to może skończyć - odparł ku jej zaskoczeniu. Minę miał dziwnie ponurą. - Od tygodnia zbieram wieści od moich informatorów. Brauer jest w Salid, tuż za moją północną granicą. Mam dowody. Dobrał sobie grupę płatnych morderców, gotowych wykończyć każdego. Dla nich to kwestia ceny. Stacjonuje w pobliżu linii granicznej, planując następne posunięcie. Nie mogę pozwolić, żeby tam długo tkwił.

- Jak chcesz go stamtąd wywabić? - spytała zaniepokojona. - Jest lepiej uzbrojony niż twoi poddani, zgadłam?

- Zgromadził w obozie nowoczesne materiały wybuchowe, ręczne wyrzutnie rakietowe, miny przeciwpiechotne i granaty. Zyskał sobie wielu przyjaciół mających wobec niego dług wdzięczności, a handlarze bronią uważają go za wypłacalnego klienta i chętnie robią z nim interesy. Nawet jeśli doprowadzi do wybuchu wojny i poniesie finansowe straty,

odbije to sobie dzięki procentowi od sprzedanej przez nich broni. Tak czy inaczej będzie spory ruch w interesie. Sytuacja polityczna w naszym regionie jest bardzo skomplikowana, więc jeżeli w porę go nie powstrzymam, może doprowadzić do poważnego konfliktu.

- Jak mogę ci pomóc? - spytała. Philippe pocałował ją w czoło.

- Co ty knujesz, skarbie? Jeśli zamierzasz wziąć na ramię ręczną wyrzutnię raketową i wyruszyć ze mną, aby zapolować na tego skurwiela, wybij to sobie z głowy.

Gretchen wybuchnęła śmiechem.

- Nie jestem strzelcem wyborowym, lecz doskonale radzę sobie z lassem i potrafię obchodzić się z bronią. Mark mnie nauczył. Poza tym mogę dosiąść każdego czworonoga.

- Te umiejętności mogą się kiedyś okazać przydatne - odparł, a potem odsunął się i zajrzał w zielone oczy. - Szkoda, że Leila jest taka surowa. Gdyby nam trochę odpuściła... - Pochylił głowę i musnął wargami jej usta. Wtuliła się w jego objęcia, gdy zacieśnił uścisk. Emanowała rozkosznym ciepłem, które i jego rozgrzewało. Miał nieodparte wrażenie, że już teraz stanowią jedność.

- Już idę! - usłyszeli znajomy, pogodny głos dobiegający zza drzwi. Po chwili stanęła w nich sympatyczna służąca.

- Zapowiadam ci - mruknął Philippe z ponurą miną - że jeśli po ślubie zbliżysz się do nas na odległość mniejszą niż sto metrów, każę cię umieścić na strzelnicy zamiast tarczy.

- Ciekawe, kto będzie wtedy przygotowywał kąpiel dla mojej pani - odparła z uśmiechem Leila. - Kto zadba o porządek, wybierze odpowiedni strój na każdą okazję i zrobi makijaż dostojnej pani, żeby jej uroda rozkwitała dla ciebie, sadi?

- Mojej pani nie trzeba upiększać. - Philippe pogłaskał Gretchen po policzku. - Jest śliczna.

- I taka pozostanie, jeśli będzie się wysypiać. Dobranoc, sadi - dodała znacząco.

- Zapominasz się, kobieto - odparł, rzucając jej karcące spojrzenie. - Moje słowo jest tu prawem.

- Owszem, sadi, w pozostałych skrzydłach pałacu możesz robić, co chcesz, ale tu jesteś intruzem, więc to ja decyduję, nie ty. Dobranoc, sadi.

Philippe bezradnie uniósł ramiona, popatrzył na Gretchen z żalem i rezygnacją, a potem, mamrocąc po arabsku, wyszedł.

- Od wielu lat służę w pałacu, ale nie słyszałam dotąd, żeby sadi się śmiał - powiedziała Leila i zaczęła chichotać. - Cała służba plotkuje o zmianach w jego usposobieniu. Ty go odmieniłaś, pani. Jest tobą oczarowany.

- Myślę, że raczej on rzucił na mnie czar - odparła z roztargnieniem Gretchen. - Mam wrażenie, że moje życie zmieniło się w bajkę. Do głowy by mi nie przyszło, że taki wspaniały mężczyzna zainteresuje się całkiem przeciętną dziewczyną.

- Mówisz o sobie, pani? To chyba żart! Emanujesz wewnętrznym pięknem, które rzadko się spotyka - powiedziała cicho Leila. - Sadi je dostrzegł. Będiesz dla niego idealną żoną, pani. Dasz mu wspaniałych synów!

- To moje największe marzenie - zapewniła Gretchen, odwracając głowę.

Pilnie strzegła tajemnicy, którą powierzył jej ukochany. Zdawała sobie sprawę, jak znikome jest prawdopodobieństwo, że doczekają się potomstwa, i bardzo posmutniała, uświadomiwszy sobie tę bolesną prawdę. No cóż, trudno. W pałacu kręciło się mnóstwo dzieci, postanowiła więc zadbać o ich wychowanie i odpowiednią edukację. Może to jej zrekompensuje brak własnego dziecka. Gdyby koniecznie chciała je urodzić, powinna opuścić Philippe'a i związać się z innym mężczyzną, ale ta myśl była dla niej nie do zniesienia. Miała pewność, że cokolwiek przyniesie najbliższa przyszłość, jej życie jest nieodwołalnie związane z losem Philippe'a. Takie było przeznaczenie, więc z pokorą przyjęła jego wyroki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzy dni później ogromny, biały landrower zaparkował przed bocznym wejściem do pałacu. Służba ładowała do środka prowiant i potrzebny sprzęt. Za autem stało kilka wielbłądów niosących dywany i resztę bagażu. Gretchen miała ochotę skakać z radości, ponieważ zapakowano również jej ślubny strój, uszyty przez krawcową rezydującą w pałacu. Miała wyjść za mężczyznę, którego los cudem postawił na jej drodze. Kto by pomyślał, że to będzie jej ukochany. Wprawdzie ceremonia połączy ich trwałymi więzami tylko na obszarze szejkanatu Qawi, ale będą przecież małżeństwem. .. dopóki Philippe jej nie odeśle. Z całego serca pragnęła do niego należeć i tak go do siebie przywiązać, żeby nie był w stanie się z nią rozstać.

Oboje nosili podróżne stroje w kolorze khaki. Gretchen łudziła się nadzieją, że Philippe wyruszy na wyprawę odziany w szaty pustynnego nomady, ale z dziwnym błyskiem w oku oznajmił, że zanadto przesiąkł kulturą Zachodu, by gustować w tradycyjnych ubraniach. Jeden z jego ochroniarzy ze zdumienia omal nie potknął się o własne nogi, słysząc, że sadi wygaduje takie bzdury, ale Gretchen tego nie spostrzegła, bo właśnie zachwycała się wielbłądami.

Słyszała, że Philippe i jego ojciec strasznie się pokłócili. Sądziła, że poszło o ślub. Gdy służba wynosiła bagaże, Leila podeszła do niej i oznajmiła, że stary szejk udzieli jej posłuchania. Gretchen nie miała ochoty z nim rozmawiać, ponieważ zdawała sobie sprawę, że nie jest przez niego lubiana. Do tej pory schodziła mu z drogi, ale od czasu do czasu zakradała się do cieplarni, żeby popatrzeć na śliczne orchidee. Bardzo uważała, żeby nikt jej tam nie przyłapał, lecz teraz doszła do wniosku, że starszy pan dowiedział się o sekretnych odwiedzinach i dlatego był rozgniewany.

Leila zaprowadziła ją do olbrzymiej cieplarni przylegającej do pałacu. Stary szejk, który czekał przy wejściu, odwrócił się i rzucił Gretchen nieprzyjazne spojrzenie, oburzony strojem podkreślającym zgrabną figurę: długa spódnica w płowym odcieniu, bluza z tego samego materiału, a do tego wysokie botki. Strój podróżny dostarczono wraz z nowymi ubraniami, zamówionymi przez Philippe'a. Gretchen bardzo lubiła ten prosty zestaw.

- Gdzie aba? - spytał oschle starszy pan, wymownym gestem podkreślając brak tradycyjnej szaty. Gretchen westchnęła ciężko i uśmiechnęła się do niego.

- Zapomniałam, bardzo mi przykro. Wychowałam się na ranczu w Teksasie, więc przeważnie chodziłam dzinsach i T - shircie. Nawet w tym prostym stroju podróżnym czuję się jak przebieraniec...

Stary szejk powiedział kilka słów takim tonem, że Gretchen bała się myśleć, co znaczą.

- Drwiesz ze mnie - oburzył się.

- Ależ skąd - odparła pojednawczym tonem. - W żadnym wypadku. Nic pan o mnie nie wie. Nie kpię z innych ludzi i nie lubię ich krzywdzić. Mówiłam prawdę. Po prostu mało wiem o eleganckich ubraniach, nie jestem również amatorką życia towarzyskiego, /resztą proszę się nie martwić - dodała z godnością.

- Philippe poślubi mnie tylko według plemiennego obrządku, co oznacza, że nie jesteśmy związani na całe życie. Małżeństwo jest ważne jedynie w Qawi. Pański syn nie zostanie uziemiony.

- Proszę?

Gretchen pokręciła głową. Czy w tym kraju nikt nie rozumie angielskich idiomów? Chyba powinna zmienić sposób mówienia i starannie ich unikać.

- Chciałam powiedzieć, że to nie jest związek na całe życie - wyjaśniła. - Jestem świadoma, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, Philippe poślubi kobietę ze swojej sfery. - Zarumieniła się lekko. - Jeśli chodzi o mnie, do małżeństwa skłoniły go... inne przyczyny - wyjaśniła zakłopotana.

Starszy pan spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. Minę miał bardzo poważną. - To niewłaściwe - odparł krótko.

- W takim razie proszę go powstrzymać - mruknęła, wzruszając ramionami. - Powiedziałam mu, że nie musi się żenić.

- Mnie też nie chciał słuchać - burknął stary szejk. Odwrócił się do niej plecami, podszedł do swoich orchidei i nagle zgarbił się dziwnie. Po chwili spojrzał jej prosto w oczy. - Cóż, jedź z Philippe'em, ale dopilnuj, żeby ochroniarze nie odstępowali go na krok. - Skinął, żeby podeszła bliżej i rozejrzał się jakby z obawy, czy ktoś ich nie podsłuchuje, a następnie powiedział otwarcie: - Jeden ze służących uciekł dziś rano. Zatrudniono go w pałacu na życzenie mego brata. Moim zdaniem to nie przypadek. Ktoś szpieguje Philippe'a - tłumaczył szeptem.

- Pańskim zdaniem ten sługa ma powiązania z człowiekiem, którego pański syn wpakował do więzienia? - spytała Gretchen. - Philippe opowiadał mi o nim.

- To Kurt Brauer - przytaknął stary szejka lodowatym tonem. - Bardzo prawdopodobne. Stracił majątek i wpływy, a teraz chce poprawić swoje położenie kosztem mojego syna. Próbowałem namówić Philippe'a, żeby wysłał na granicę nasze oddziały wojskowe i użył broni dalekiego zasięgu. W ten sposób szybko i bez najmniejszego ryzyka przywróciłby porządek, ale nie chce o tym słyszeć i twierdzi, że nie może narażać swoich ludzi na niebezpieczeństwo, a sam dekwatować się na tyłach, ponieważ Brauer wykorzysta to przeciwko niemu. Przywódcy plemienni mogliby uznać takie postępowanie za dowód słabości władcy i przystać do najeźdźców. - Gretchen chciała zaprotestować, ale starszy pan ruchem ręki nakazał jej milczenie. - To prawda. W końcu mnie przekonał, lecz nadal jestem zaniepokojony. Philippe jest lekkomyślny i wcale nie dba o swoje bezpieczeństwo. W moim imieniu rozkaż Bojowi, żeby strzegł szejka dniem i nocą, nie zważając na jego marudzenie!

- Obiecuję - powiedziała z naciskiem i zmrużyła oczy. - Od kogo mogę pożyczyć pistolet?

- Słucham, *mademoiselle*? - Stary szejka w zdziwieniu unióśł brwi.

- Dobrze strzelam. - Trochę przesadziła, ale w każdym razie jakoś sobie radziła. - Mój brat pracuje w policji. Nauczył mnie obchodzić się z bronią. Jeśli wszystkie sposoby zawiodą, a Philippe odprawi Boja, zmęczony ciągłą asystą, w nocy sama będę trzymać straż przy jego łóżku.

Starszy pan długo milczał. W końcu uznała, że zajęty swoimi myślami, nie słuchał jej wywodów. Obserwował ją uważnie, marszcząc białe brwi. Nagle twarz mu się rozpozogodziła. Wyraźnie złagodniał i niespodziewanie poweselał.

- Ty go kochasz!

Zarumieniła się, odwróciła wzrok i odparła zduszonym głosem:

- Jest mi bardzo bliski.

- Kochasz go - powtórzył stary szejka i westchnął głęboko. Po chwili namysłu dodał, spoglądając na nią z zaciekawieniem: - Teraz zaczynam rozumieć. Widzisz, zastanawiałem się, czemu młoda Amerykanka tak chętnie godzi się na hańbiący układ, który stawia pod znakiem zapytania rzetelność jej zasad moralnych. Ale ty go kochasz - ciągnął przyciszonym głosem. - Czy wiesz, że Philippe ryzykuje wojnę domową, wiążąc się z tobą?

- Jaką wojnę!

- Mój brat groził mu wybuchem rozruchów, jeżeli ślub się odbędzie, lecz Philippe nie chciał słyszeć o odwołaniu ani nawet o odłożeniu ceremonii. - Uśmiechnął się, patrząc w zielone oczy, szeroko otwarte ze zdumienia. - Bardzo cię pragnie. Kto wie, może naturalne popędy są silniejsze, niż się wydaje naukowym sławom z medycznego światka, co? -

Zachichotał, gdy zakłopotana Gretchen spłonęła rumieńcem. - Jedź na pustynię i wyjdź za niego - mruknął. - Żaden europejski lekarz nie potrafił go wyleczyć, lecz moim zdaniem tobie się uda. - Pokiwał głową. - A ja myślałem, że mój chłopak zwariował.

- I miał pan rację. Naprawdę mu odbiło - odparła wystraszona. - Proszę pana, trzeba go powstrzymać. Nie można dopuścić do wojny! Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby przeze mnie ginęli niewinni ludzie!

- Nie będzie żadnych ofiar - zapewnił stary szejk. - Mój brat mówił głupstwa. Dużo krzyczy, ale jest tchórzem, a poza tym boi się mego syna. Większość przywódców plemiennych także się go lęka - tłumaczył dalej. - Ostatnimi laty mało kto miał odwagę narażać się na jego gniew.

- Mówi pan o Phillipie? - Zmarszczyła brwi. - Przecież on jest uosobieniem spokoju, łagodności i... Co pana tak rozśmieszyło?

- Wobec ciebie, moje dziecko - odparł uradowany.

- Zapytaj go kiedyś, jak to się stało, że w Palestynie wybuchła przy nim mina przeciwpiechotna.

- Już pytałam. - Gretchen zamrugła powiekami.

- Powiedział mi, że to był wypadek. Pojechał tam w interesach. Fatalny zbieg okoliczności sprawił, że nastąpił wybuch.

- Zapewne nie zastanawiałaś się, co skłoniło człowieka interesu, podróżującego zazwyczaj po wielkich miastach, żeby spacerował po polu minowym.

Taka myśl rzeczywiście nie przyszła jej wcześniej do głowy. W Palestynie wiele miast poważnie ucierpiało podczas ciągłych wojen i powstań, lecz nawet tam nie minuje się przecież ulic. Czemu o tym nie pomyślała, gdy Philippe opowiadał swoją historię? Te rozważania przerwał jej niecierpliwy klakson.

- Kierowca się denerwuje - zauważył z uśmiechem stary szejk. - Chwileczkę.

Podniesionym głosem wezwał służącego. Przez moment rozmawiali z wielkim ożywieniem. Mężczyzna podbiegł do lokaja i poszeptał z nim chwilę. Tamten oddalił się natychmiast i wkrótce wrócił, niosąc jakieś zawiniątko, które podał swemu panu. Po odsunięciu brzegów tkaniny oczom zebranych ukazał się nabity colt kaliber 45 oraz pudełko naboji.

- Upominek od waszego prezydenta. W głowie mi nie powstało, że przyda się w takich okolicznościach. - Starszy pan uśmiechnął się, a potem nagle spoważniał. - Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecko.

- Dzięki. Nie zawiodę pana. Będę pilnować Philippe'a.

- Twoim zdaniem potrzebuje niańki? - spytał pogodnie.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie wygląda na twardziela. Jest raczej typem intelektualisty, a wielkomięskie dzielnice są jego naturalnym środowiskiem. Może pan być o niego spokojny. Strzelam celnie.

Ciemne oczy starszego pana rozjaśnił błysk szczerej radości. Miała wrażenie, że lada chwila znów wybuchnie serdecznym śmiechem.

- Idź już. - Odprawił ją ruchem dłoni. - Gdy wrócisz, pogadamy spokojnie o orchideach. Wtedy zapewne przyznasz mi rację, że pozory mylą.

Zamierzała spytać, co chce przez to powiedzieć, ale klakson zabrzmiał po raz drugi, więc ukłoniła się z wdziękiem, chwyciła tobołek i pobiegła do drzwi.

- Gdzie byłaś? - wypytywał niecierpliwie Philippe. - Musimy dotrzeć do oazy, nim zacznie się najgorszy upał.

- Przepraszam. Zapomniałam o bieliźnie. Philippe zrobił dziwną minę wartą utrwalenia dla potomności. Gretchen żałowała ogromnie, że nie może zrobić mu zdjęcia. Wepchnęła zawiniątko do swojej torby i usiadła z tyłu obok ukochanego. Bojo uśmiechnął się do nich i zajął miejsce za kierownicą. Obok niego siedział Elvis. Obaj mieli na sobie ubrania w kolorze khaki i czarne oficerki. Gretchen i Philippe mieli podobne kapelusze, a ochroniarze czapki z daszkiem. Wszyscy założyli ciemne okulary. Philippe sprowadził je dla Gretchen z Ameryki. Były markowe i bardzo drogie. Zastanawiała się, co by powiedział Mark, gdyby usłyszał, że przed chwilą wyruszyła land - rowerem na wojenną ekspedycję z arabskim szejkiem, a w torbie ma pożyczonego colta kaliber 45. Z trudem stłumiła śmiech, bo sytuacja wydawała się absurdalna. Mniejsza z tym. Najważniejsze, aby Philippe nie domyślił się, że postanowiła go chronić, bo pewnie czułby się zakłopotany.

- Gdzie byłaś? - zapytał Philippe, gdy ruszyli.

- Twój ojciec chciał ze mną rozmawiać. Wydało mu się podejrzane, że jeden ze służących twojego stryja zbiegł dziś rano.

Philippe uniósł brwi i natychmiast przekazał Bojowi tę informację.

- Kochany stryjasek uwielbia wywoływać zamęt, ale ta ostatnia wpadka może go wiele kosztować - dodał groźnie.

Burknął coś po arabsku i wyciągnął smukłą rękę do Boja, który rzucił mu telefon komórkowy. Gretchen ze zdziwieniem popatrzyła na aparat z mnóstwem przycisków i podwójnym ekranem. Philippe naciskał guziki, ale złowił jej zaintrygowane spojrzenie.

- GPS. Wspaniały wynalazek. - Gdy zbита z tropu. zmarszczyła brwi, tłumaczył dalej: - Pozwala zlokalizować rozmówcę w każdym miejscu na kuli ziemskiej, a także ustalić własne

namiary nawet w samym sercu pustym. Dzięki niemu mogę przekazać współrzędne celowniczym wyrzutni rakiet dalekiego zasięgu na wypadek, gdyby Brauer dysponował uzbrojeniem lepszym, niż przypuszczam.

- Namierzanie przeciwnika, kierowanie ogniem - powtórzyła i kiwnęła głową, choć niewiele z tego rozumiała.

- Gdyby zaszła taka potrzeba, mogę też wezwać myśliwce i bombowce. Mamy tu bazę wojsk lotniczych, gdzie czekają samoloty wyposażone w pociski raketowe, choć naszych sił zbrojnych nie da się, rzecz jasna, porównać z armią Stanów Zjednoczonych.

- Ojej! - Roześmiała się zawstydzona. - Nadal myślę stereotypami. Przepraszam, naprawdę powinnam się wiele nauczyć o twoim Qawi.

Philippe pokiwał głową i znów nacisnął kilka guzików.

- Ustalam położenie oazy - tłumaczył, wykonując kolejne czynności. - Określam także odległość i czas potrzebny do jej pokonania, rzecz jasna w przybliżeniu. - Zadał Bojowi kolejne pytanie i uważnie wysłuchał odpowiedzi. Skinął głową i rzucił mu aparat, który tamten złapał, nie odwracając głowy.

Najwyraźniej znowu coś się wydarzyło. Gretchen była ciekawa, czy Philippe skontaktował się już z bazą lotniczą. Może po prostu każe zbombardować obóz Brauera, a potem osobiście tam pojedzie, żeby dopaść wroga? Gdyby takie myśli chodziły mu po głowie, trzeba go będzie pilnować. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Zerknęła na Philippe'a i utwierdziła się w przekonaniu, że musi bronić ukochanego. Nie dopuści, żeby coś mu się stało, nawet gdyby miała przez cały tydzień siedzieć przy nim z coltem w ręku!

- Mamy problem, o którym jeszcze ci nie mówiłem - - powiedział Philippe, gdy ujechali kilkanaście kilometrów. - Brauer wysłał do Paryża płatnych morderców, którzy usiłowali zamordować Brianne Hutton.

- To kobieta, o której mi opowiadałeś, prawda? Ma dwuletniego synka. - Przejęta Gretchen wstrzymała oddech, a Philippe zacisnął zęby.

- Dowiedziałem się o tym dziś rano. Od razu wysłałem grupę ochroniarzy, aby ich pilnowali w drodze do Qawi. Hutton i szef jego ochrony zajmą się tropieniem niedoszłych zabójców.

- Czy to nie jest zadanie dla policji? - spytała.

- Gdy chodzi o życie Brianne, nie ufam nikomu, nawet jej mężowi - oznajmił krótko. - Niechętnie zgodził się na wyjazd Brianne, ale w końcu zrozumiał, że tu będzie najbezpieczniejsza. Pałac jest teraz nie do zdobycia, więc potrafię ją obronić.

- I w tych warunkach kontynuujemy naszą wyprawę?

- zapytała szczerze zdziwiona, choć zrobiło jej się ciężko na sercu, kiedy pomyślała, że wkrótce Brianne przybędzie do Qawi. Zdawała sobie sprawę, jakie uczucia żywi do niej Philippe. Pustynny ślub niczego tu nie zmieni, a po powrocie do pałacu skromna Gretchen będzie nikim w porównaniu z piękną i elegancką panią Hutton. Jakże mogłaby z nią konkurować!

- Brianne przybędzie do Qawi dopiero za pięć dni - tłumaczył. - Tyle potrważą niezbędne przygotowania do podróży. Hutton nie chce ryzykować i ma rację. Trzeba zadbać, żeby podczas lotu nie było żadnych niespodzianek. Brianne i jej syn przylecą jednym z jego odrzutowców. Będą mieli własną ochronę. Trzeba wszystko sprawdzić, żeby wyeliminować groźbę sabotażu i zapiąć wszystko na ostatni guzik. - Philippe był wyraźnie zaniepokojony. - W Paryżu są już moi ludzie, którzy pomogą Huttonowi. Szef jego ochrony dopiero od niedawna pracuje na tym stanowisku. Nie znam faceta i bardzo żałuję, że Tate Winthrop zrezygnował, ale jego żona bardzo się bała, ilekroć dostawał niebezpieczne zlecenia. Nic dziwnego, zwłaszcza że niedawno urodził im się syn.

- Doskonale ją rozumiem - odparta cicho, dziękując niebiosom, że Philippe jest dyplomatą, a nie żołnierzem. - A nasza plemienna ceremonia? - dodała z ociąganiem. - Chyba powinienes ją odłożyć.

- Nie - odparł natychmiast, spoglądając na nią spod przymkniętych powiek. - Ożenię się z tobą niezależnie od tego, co wyprawia ten skurwiel Brauer.

- Obrzucił gorącym spojrzeniem szczupłą postać w dopasowanym stroju podróżnym i zmarszczył brwi. - Gdzie twoja aba? - zapytał nagle. - Kiedy przyjedziemy do oazy, musisz ją natychmiast włożyć.

- I ty przeciwko mnie? - Kpiąco uniosła brwi.

- Co chcesz... - Skrzywił się, a potem wybuchnął śmiechem. - Rozumiem. Ojciec również ci to wytknął.

- Pokiwał ze zrozumieniem głową. - Odebrał bardzo surowe wychowanie. Ze mną pod wieloma względami było podobnie, odkąd wróciłem do Qawi. Przedtem jako mały ulicznik nie miałem bladego pojęcia o dyscyplinie i odpowiedzialności. Ojciec mnie nauczył, jak należy postępować.

Gretchen ze współczuciem myślała o jego dzieciństwie. Biedny chłopiec, przemknęło jej przez głowę, i omal nie powiedziała tego na głos, ale w oddali ukazała się chmura kurzu. Zaciekawiona Gretchen popatrzyła na szeroką, piaszczystą drogę, prowadzącą w głąb pustyni. Przypuszczała, że lada chwila z szarego obłoku wyłoni się kawalkada samochodów terenowych. Gdy dostrzegła tajemnicze jasne kształty, wstrzymała oddech i z otwartymi ustami

czekała, aż przybysze wyłonią się z kłębow pyłu. Zamiast aut wypadła z niego grupa uzbrojonych w strzelby mężczyźni ubranych na biało. Dosiadali cudownych wierzchowców. Gretchen nie widziała dotąd równie pięknych koni rasy arabskiej.

Wojownicy radośnie strzelali w powietrze i krzyčili, okrążając samochód. Bojo zahamował i wybuchnął śmiechem, a Philippe natychmiast wysiadł i podbiegł do mężczyzny dowodzącego współplemieńcami, który w tej samej chwili zeskoczył z konia. Przywitali się mocnym uściskiem jak rodzeni bracia i jeden przez drugiego gadali po arabsku.

- To Achmed - wyjaśnił Bojo, widząc zdumienie na twarzy Gretchen. - Rządzi jednym z wielu plemion zjednoczonych przez ród Tatluk. Jest krewnym sadiego. Przysiągł służyć mi wiernie aż do śmierci.

Achmed był prawie tego samego wzrostu co Philippe. Miał na sobie szatę, która okrywała go od stóp do głów, Nieufnie przyglądał się ubraniu swego władcy i robił na ten temat bardzo głośne uwagi. Philippe roześmiał się i odpowiedział, żywo gestykulując, a jego kuzyn kiwnął głową, zerknął na samochód i uśmiechnął się szeroko.

- O czym rozmawiają? - wypytywała Gretchen, a Bojo odchrząknął.

- Mówią o... samochodzie, *mademoiselle*. Zastanawiała się, co go tak ubawiło, ale w tej samej chwili Philippe wrócił do auta i usiadł obok niej, a plemienny przywódca zręcznie wskoczył na siodło i wraz z oddziałem pogalopował w głąb pustyni.

- Wspaniali jeźdźcy! - zawołała Gretchen, wstrzymując oddech. - Jakie konie!

- Araby - tłumaczył Philippe, z rozbawieniem spoglądając na jej rozmarzoną twarz. - Na całym świecie nie znajdziesz lepszych.

- Co za widok. Nie mogłam się napatrzeć! - Nadal śniła na jawie, więc słuchała go z roztargnieniem.

- Czeka cię wiele podobnych niespodzianek - mruknął ironicznie.

- Naprawę? - Prawie nie zwracała na niego uwagi, wpatrzona w oddalających się jeźdźców. - Będą na nas czekać w oazie?

- Tak. I pozwolę ci popatrzeć na konie - zapewnił, uradowany jej entuzjazmem.

- Och, cudownie - odparła rozmarzona. Philippe uniósł brwi i uśmiechnął się do Boja, który pospiesznie odwrócił głowę, żeby nie zobaczyła jego miny.

Obozowisko nie było dla Gretchen wielkim zaskoczeniem. Dzięki filmom i lekturom sporo wiedziała o pustyni i zamieszkujących ją koczowniczych plemionach, ale nie była przygotowana na przepych namiotów. Zaprowadzono ją do jednego z nich, a tymczasem grupa nomadów rozstawiała prowizoryczną siedzibę Philippe'a. Namioty były obszerne, wyłożone kosztownymi dywanami i ozdobione pięknymi wiszącymi lampami. Z uśmiechem

zastanawiała się, jak rozmiłowany w luksusie sadi zniesie obozowe niewygodny i mimo wszystko dość prymitywne warunki. Nie pasował do tego otoczenia, jak eleganter w smokingu przeniesiony na zupełnie pustkowiu.

Gdy koczownicy skończyli pracę, Gretchen została zaprowadzona przez Leilę do kobiecej części paradnego namiotu. Ułożyła się na spiętrzonych poduszkach i patrząc na zbytkowe wyposażenie, porównywała je z wnętrzem swego domu. Całkiem inne światy i gusta. Leila zaczęła rozpakowywać rzeczy, więc rozleniwiona przymknęła powieki i westchnęła głęboko. Otworzyła oczy, gdy poczuła, że ktoś ściąga jej długie buty.

- Tak lepiej, prawda? - spytała z uśmiechem służebna. - Moja pani jest zmęczona?

- Umieram ze znużenia - mruknęła sennie Gretchen. - Strasznie długo jechaliśmy. Już sądziłam, że ta podróż nigdy się nie skończy. Do głowy im nie przyszło, żeby włączyć klimatyzację i zamknąć okna. Ani w Maroku, ani w Qawi nie widziałam żadnego auta z podniesionymi szybami. - Skrzywiła twarz, gdy drugi but zsunął się z jej stopy. - Kolację mam zjeść sama, prawda?

- Tak, pani - potwierdziła Leila. - Przynajmniej dziś wieczorem. Jutro odbędzie się ceremonia zaślubin i potem z pewnością nie będziesz już samotna - dodała roześmiana.

Jutro... Gretchen miała wrażenie, że przebywa w krainie marzeń, gdzie wszystko jest zaczarowane. Przez moment z niepokojem myślała o ślubie i swojej niepewnej przyszłości. Może Philippe nie zdoła jej pojąć, ale kochała go tak bardzo, że pragnęła z nim zostać mimo tych ograniczeń. Nie wątpiła, że jeśli ukochanemu nie uda się skonsumować małżeństwa, bez żalu odeśle ją do Ameryki. Jak mu pomóc? Co zrobić, żeby mu to ułatwić? Ciekawe, skąd mam wiedzieć takie rzeczy, myślała z ponurą miną, przecież zupełnie nie wiem, jak kokietować i uwodzić facetów.

- Proszę teraz odpocząć - poradziła cicho Leila, stawiając buty pod ścianą w głębi namiotu. - Wkrótce przyniosę jedzenie i wodę. A może moja pani woli napić się kawy?

- O tak! Dużo kawy - westchnęła Gretchen.

- Zaraz podam.

Gretchen przeciągnęła się i przymknęła oczy. Kiedy uniosła powieki, siedział przy niej Philippe i obserwował uważnie jej twarz.

- Cześć. - Uśmiechnęła się do niego.

- Przespałaś kolację - mruknął czule. - Podróż była męcząca?

- Niestety tak. Poza tym od śmierci mamy źle sypiałam - dodała, aby nie pomyślał, że nowe otoczenie jest przyczyną bezsenności.

- Jutro się pobierzemy. - Philippe wpatrywał się w senne, zielone oczy.

- Tak. Naprawdę tego chcesz?

- Oczywiście. - Ujął jej dłoń i pocałował czule.

- Która godzina?

- Pora iść do łóżka - mruknął żartobliwie i zachichotał, kiedy się zarumieniła. - Nie dziś, mój skarbie, ale rozumiesz prawidłowo - dodał z uśmiechem.

Rozpromieniła się, ponieważ mimo tak jawnej niecierpliwości, czuła się przy nim całkiem swobodnie.

- Mój brat nie uwierzy, kiedy mu powiem, co mnie spotkało.

- Szkoda, że czas nagli. Powinien tu przylecieć na nasz ślub. Niestety, to spotkanie trzeba odłożyć na później. Brauer się zbliża, więc trzeba jak najszybciej zakończyć przygotowania do ataku na jego grupę. - Znowu pocałował ją w rękę. - Pięknych snów.

- Ty również wypocznij. - Gdy wstał, spytała pospiesznie. - Gdzie będziesz spać?

- W tamtej części namiotu. - Roześmiał się i gestem wskazał swą pustynną sypialnię. - Leila ma posłanie przed twoją komnatą, a Hassan pilnuje mojej - dodała. - Mówię o tym na wypadek, gdybyś tej nocy zamierzała mnie uwieść.

- Jakżebym śmiała! - Gretchen wybuchła radosnym śmiechem.

Odprowadziła go spojrzeniem, a potem wstała i wyjęła z torby niewielkie zawiniątko. Pistolet i naboje wsunęła pod poduszkę. Zamierzała udawać, że śpi, bo nie mogła pozwolić, aby ktokolwiek zagroził jej ukochanemu. Będzie go chronić przed intruzami.

Czuwała do świtu, toteż rankiem oczy miała podkrążone i z trudem zbierała myśli. Gdy Leila wyszła, żeby przygotować śniadanie, pospiesznie schowała broń. Nim doszła do siebie po bezsennej nocy, zjawiono się parę kobiet, które miały przygotować pannę młodą do ceremonii ślubnej. Wykapały i ubrały Gretchen, a jej ręce i stopy pomalowały henną. Gdy skończyły, jasne włosy okrywała chusta oraz lekki welon. Gretchen uznała, że wygląda tajemniczo... i prawie ładnie.

Idąc w otoczeniu kobiet aleją między namiotami w stronę placu, gdzie miały się odbyć zaślubiny, szukała wzrokiem Philippe'a, ale spostrzegła go dopiero wówczas, gdy stanęła przed niskim staruszką w białej szacie. Odwróciła głowę, podniosła wzrok i napotkała roześmiane spojrzenie czarnych oczu swego przyszłego męża. Patrzył na nią spod łopoczącej na wietrze białej chusty, umocowanej na głowie opaską z podwójnego czarnego sznura, która była oznaką wysokiej godności i nazywała się igal. Za pasem miał zakrzywiony ceremonialny sztylet ze srebrną rękojeścią wysadzaną drogimi kamieniami, ukryty w pochwie z kości słoniowej. Ten smukły mężczyzna w białych szatach pustynnego nomady nie przypominał miejskiego eleganta i sprawiał groźne wrażenie.

Obserwowała go, próbując się oswoić z nowym wizerunkiem. Starzec przemówił do nich po arabsku. Philippe umiejętnie kierował Gretchen w trakcie uroczystości, podpowiadał jej właściwe słowa i dawał znak, kiedy należy je wypowiedzieć. Gdy padły już wszystkie nakazane zwyczajami formuły, na chwilę związano dłonie nowożeńców, a potem Philippe wyciągnął sztylet, śmiałym cięciem przepołowił bochen chleba i jedną część podał Gretchen.

- Tak nakazuje tradycja - powiedział cicho, chowając sztylet. - Zjedz odrobinę.

Posłusznie skubnęła kawałek chleba i połknęła, błagając niebiosa, żeby się nie zakrztusić. Wypita łyk wody i jakoś poszło.

- Jesteśmy małżeństwem - oznajmił czule.

- Już po wszystkim? - zapytała, tocząc wokół radosnym spojrzeniem. - Czemu nie uniosłeś welonu i nie pocałowałeś mnie?

- Zrobię to, kiedy będziemy sami, pani FIL - fil - odparł pogodnie. - Odtąd tylko ja mogę oglądać twoją twarz.

- Powinniśmy oboje respektować to prawo. Ty również mógłbyś nosić zasłonę - stwierdziła, uśmiechając się zalotnie.

- Zgoda, ale tylko wówczas, gdy będę jechał przez pustynię.

- Do twarzy ci w tradycyjnym stroju - powiedziała, z dumą spoglądając na wysoką postać. - Pożyczyłeś go od kuzyna?

- Jest między nami kilka nieporozumień, które trzeba będzie wyjaśnić - zaczął, spoglądając na nią z ukosa.

W tej samej chwili między namiotami pojawił się galopujący jeździec, dopadł niewielkiego zgromadzenia, zeskoczył z konia, rzucił się na kolana przed swoim panem i wyrzucił z siebie potok arabskich słów. Philippe zadał mu kilka krótkich pytań, wysłuchał odpowiedzi, a potem wyrzucił ręce w górę. Mężczyźni natychmiast pobiegli ku swoim wierzchowcom.

- Wróć do namiotu i zostań tam - powiedział stanowczo do Gretchen i popchnął ją w głąb alei. - Nie waż się stamtąd wychodzić. Hassan! - krzyknął na ochroniarza i wydał mu rozkazy.

Hassan uklonił się, wziął Gretchen za ramię i pociągnął ją w stronę paradnego namiotu. Rozzłoszczona, próbowała się opierać, a gdy weszli do środka, wyrwała ramię z dłoni swego opiekuna. Leila znacząco pokręciła głową.

- Szykują się do walki - wyjaśniła młodej Amerykance. - Pani, nie możesz wystawiać się na niebezpieczeństwo!

- Bzdura! - rzuciła gniewnie. - To Philippe jest zagrożony! Obiecałam staremu szejkowi, że będę go strzec. Nie pozwolę, żeby ruszył do bitwy bez odpowiedniej asysty. Powiedz Elvisowi, żeby się stąd wyniósł, bo inaczej zacznę się przebierać w jego obecności, więc zobaczy mnie półnągą i zostanie za to skrócony o głowę.

Wstrząśnięta i przerażona Leila usłuchała natychmiast. Gdy Hassan wyszedł, Gretchen, nie zważając na jej obecność, włożyła podróżny strój w kolorze khaki, wsunęła pistolet za pasek, a pudełko z nabojami do kieszeni. Pomna na uwagi Philippe'a i miejscowe zwyczaje, narzuciła obszerną abę. Kapelusz został na posłaniu, bo nie mieścił się pod kapturem. Pobiegła do tylnego wyjścia namiotu, bo Hassan pilnował frontu. W obozie było jeszcze sporo wierzchowców. Na horyzoncie chmura kurzu wskazywała kierunek, w którym odjechali wojownicy.

Gretchen skrzywiła twarz, szukając wzrokiem osiodłanego rumaka. Stał w głębi obozu, obok jednego z namiotów. Miała nadzieję, że w Qawi nie wieszają się koniokradów. Trudno, nie miała innego wyjścia. Przecież nie mogła pozwolić, żeby Philippe rzucił się samotnie w wir niebezpiecznej walki. Jej aba była ładująco podobna do wierzchnich szat wojowników, więc wmieszanie się między nich nie powinno stanowić problemu. W ten sposób Gretchen będzie miała oko na męża. Dzielni koczownicy z pewnością również zamierzają go chronić, ale to ich szejk, więc odruchowo będą zachowywali stosowny dystans, co w krytycznym momencie może się okazać dla niego zgubne. Niewiele myśląc, wskoczyła na osiodłanego konia i ruszyła w stronę piaszczystego obłoku, w którym zniknął Philippe, jadący na czele swego oddziału. U wejścia do namiotu pojawiła się Leila i krzyknęła coś do Hassana, który natychmiast zaczął szuka konia.

Mimo całej grozy sytuacji, Gretchen rozkoszowała się jazdą na wspaniałym arabskim wierzchowcu. Podziwiała grę mięśni przebiegających pod skórą zwierzęcia, jego chód, wdzięk i zapach. Gnała naprzód niczym wiatr. Pęd powietrza szybko potargał jej włosy, z których wypadły spinki i grzebienie. Długie kosmyki zasłaniały jej oczy i wsuwały się do ust. W oddali widziała kawalkadę wojowników. Popędziła konia, wbijając pięty w jego boki.

Szybko odrabiała dystans i już niewiele brakowało, żeby wkrótce zrównała się z ostatnimi jeźdźcami, gdy niespodziewanie koń zmylił krok, potknął się i cofnął niespodziewanie. Wyrzucona z siodła Gretchen spadła na piasek u podnóża ogromnej wydmy. Wstała natychmiast i lekko zachwiała się na nogach. Kaptur opadł na plecy i jasne włosy lśniły w promieniach słońca jak czyste złoto. Gdy starała się uspokoić oddech i jednocześnie schwytać konia, zza piaszczystego wzniesienia niespodziewanie wyłoniło się kilku jeźdźców. Znieruchomiała, ponieważ na pierwszy rzut oka było oczywiste, że nie są

miejscowi. Nosili uniformy podobne do wojskowych mundurów i byli uzbrojeni po zęby. Jeden z nich miał rude włosy. Parsknął śmiechem i krzyknął coś w obcym języku do mężczyzny stojącego obok, który błyskawicznie zjechał po osuwającej się wydmie. Przyszło mu to z równą łatwością jak Gretchen spętanie cielaka.

Mocnym ramieniem objął ją w talii i posadził przed sobą na koniu, chociaż walczyła zawzięcie, gryzła i kopała, próbując się uwolnić. Nagle poczuła uderzenie w tył głowy jakimś twardym przedmiotem i straciła przytomność. Jeździec zawrócił i dołączył do oddziału.

- Mamy ją! To moja pasierbica! - powiedział ironicznie człowiek, mówiący z wyraźnym niemieckim akcentem, a rudzielec uniósł głowę dziewczyny, żeby tamten mógł na nią popatrzeć. Kurt Brauer zaklął paskudnie.

- To nie jest Brianne! - krzyknął z wściekłością. - Mówili, że już tu przyleciała!

- Pewnie mamy Amerykankę, która mieszka z Sa - bonem - padła odpowiedź. - Podobno chciał się z nią ożenić.

- Popatrzcie na jej dłonie. - Brauer wybałuszył oczy. - Są pomalowane henną. Przyjechała od strony obozu. Jest dobrze, panowie - dodał z ironicznym uśmiechem. - Chyba mamy tu samą panią Sabon.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy Gretchen odzyskała przytomność, była w namiocie znacznie mniejszym od tego, który niedawno opuściła. Dokuczały jej okropne mdłości i potworny ból głowy, którą ścisnęła dłońmi, rozglądając się po niewielkim wnętrzu. Przy stole zarzuconym papierami siedział jakiś mężczyzna. Popatrzył na nią, kiedy się poruszyła.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Gretchen Brannon - odparła słabym głosem. Była tak oszołomiona, że zapomniała o niedawnym ślubie, podała więc panieńskie nazwisko. Ból głowy stał się nie do zniesienia. - A ty kim jesteś?

- Kurt Brauer. Sądzę, że Philippe mówił ci o mnie - odparł ponuro.

- A więc to ty!

- Tak - odparł z chełpliwym uśmiechem. - Ja. Teraz Philippe już mi się nie wymknie - dodał. - Sądzę, że w zaistniałej sytuacji chętnie zgodzi się na moje warunki. Wkrótce się dowie, że wpadłaś w moje ręce. Dzięki informatorom dużo o tobie wiem.

- Naprawdę uważasz, że da się szantażować, bo schwytałeś jego asystentkę? - powiedziała, z trudem zdobywając się na lekceważący ton.

- Ależ skąd! Jesteś dla niego znacznie ważniejsza - mruknął drwiąco. - Wiem z pewnego źródła, że przed kilkoma godzinami *monsieur* Sabon ożenił się z tobą.

- Małżeństwo zostało ułożone, abym mogła pracować z nim w pałacu, nie wywołując plotek - odparła z naciskiem.

- Philippe twierdził dotąd, że nie zamierza stanąć na ślubnym kobiercu. Tak się składa, że wiem, czemu podjął taką decyzję - tłumaczył kpiącym tonem. - Przestał być mężczyzną. - Zamilkł, jakby czekał, jak Gretchen zareaguje na jego obraźliwe słowa, lecz ona zachowała udawaną obojętność. Przez chwilę obserwował ją uważnie, a potem wybuchnął urągliwym śmiechem. - No proszę, nie zaprzeczasz. Zamierzam poinformować rodaków Philippe'a o tej jego ułomności. Niech znają prawdę o swoim władcy. Ludzie żyjący w tej części świata u mężczyzny najwyżej cenią możliwość obcowania z kobietą i spłodzenia potomstwa. Moim zdaniem tron ich władcy zacznie się chwiać, jeśli odkryją, że zasiada na nim impotent. Stryj Philippe'a hojnie wynagrodzi każdego, kto mu pomoże przejąć władzę, bo gdy bratanek zostanie usunięty z drogi, tamten będzie pierwszy w kolejce do korony.

- Dlaczego tak szczerze ze mną rozmawiasz? - zapytała, podejrzliwie mrużąc oczy. - Doskonale wiesz, że powiem wszystko Philippe'owi.

- Nie będziecie już mieli sposobności do rozmowy, *madame* - odparł ponuro. - Zostawię cię na pustyni. Sępy z tobą pogadają. Za kilka dni przekażę twemu mężowi wiadomość, gdzie cię może znaleźć. Chciałbym wtedy zobaczyć jego minę. Podobno ma bzika na twoim punkcie.

Serce Gretchen biło coraz mocniej. Nie wolno się bać, powtarzała w duchu, trzeba zachować spokój. Wiedziała, że jeśli ulegnie panice, może ją to kosztować życie.

- Nie protestowałaś, gdy nazwałem twego męża impotentem. - Brauer nagle zmienił temat.

- Kto by sobie zaprzętał głowę idiotycznymi kłamstwami? - odparła z kamienną twarzą, chociaż umierała ze strachu. - Moja służąca umarłaby ze śmiechu, gdyby usłyszała twoje bzdurne insynuacje. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Ta dziewczyna sporo o nas wie dodała zagadkowo. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Brauer wydawał się zbity z tropu, więc dodała pobłażliwym tonem: - Nie ufaj plotkom, Brauer, bo to się dla ciebie źle skończy.

Przez chwilę obserwował ją uważnie, a potem chełpliwy uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- W takim razie sądzę, że bez oporu poddasz się badaniom lekarskim. Jeśli wasze małżeństwo zostało skonsumowane, medycy szybko ustalą, co i jak.

Spokojnie, dziewczyno, nie daj się zwariować, powtarzała w duchu. Odparła z drwiącym uśmiechem:

- Jasna sprawa. Możesz sprowadzić tu swojego konowala.

Zbity z tropu Brauer nagle się zdenerwował i popatrzył na nią, nie kryjąc złości.

- Mniejsza z tym. Mamy cię w ręku i to jest najważniejsze. Straciłem cały majątek i przesiedziałem dwa lata w koszmarnym ruskim pierdlu. Teraz nareszcie mogę sprawić, że Philippe Sabon będzie cierpiał za krzywdy, które mi wyrządził. Zemszczę się, choćbym miał to przypłacić życiem. Musi zapłacić za swoje uczynki!

- A czym ci tak zawinił? Przecież to ty ze swoimi wynajętymi goryłami zniszczyłeś pół jego stolicy. I jeszcze się ciskasz?! - zawołała oskarżycielskim tonem.

- Trzeba być ostatnią kanalią, żeby bez skrupułów mordować niewinnych cywilów!

Brauer podbiegł i spoliczkował ją tak mocno, że upadła. Natychmiast zerwała się na równe nogi i z całej siły uderzyła go pięścią, aż się zatoczył. Oddał cios - także pięścią. Krzyknęła, przewróciła się i obolałymi knykciami dotknęła pulsującego policzka. Rozzłoszczona, odruchowo dotknęła miejsca na wysokości paska, za który wsunęła colta, ale go tam nie było.

- Tego szukasz? - zapytał, podnosząc leżącą na stole broń. Obok dostrzegła pudełko z nabojami. Wycelował w nią i patrzył w zadumie. - Może oszczędzę ci męki na pustyni i od razu cię rozwalę. Wystarczy jeden nabój.

Gretchen po raz pierwszy stanęła w obliczu śmierci, ale nie czuła lęku. Nie zważając na obolały policzek, dumnie uniosła głowę.

- Proszę bardzo - mruknęła, mierząc go zimnym spojrzeniem zielonych oczu. - Trzeba być prawdziwym twardzielem, żeby uderzyć kobietę, a zastrzelenie jej to dowód niezwyklej odwagi. Dobrze mówię?

Zaklął, rozwścieczony jej drwiącą uwagą, rzucił pistolet na stół i krzyknął. Do namiotu wpadł ten sam rudzielec, który rzucił Gretchen na swego wierzchowca. Przez chwilę rozmawiali z ożywieniem, chyba po niemiecku. Brauer dał rudzielcowi kartkę, a ten kiwnął głową, dziwnie spojrzawszy na Gretchen i wyszedł. Po chwili rozległ się świst oraz warkot silnika.

- Mój helikopter - wyjaśnił Brauer. - Posyłam swojego człowieka do Palais Tatluk z żądaniem okupu.

- Ojciec Philippe'a każe go upiec na wolnym ogniu - odparła, nie kryjąc złośliwej satysfakcji.

- Nie sądzę. Stary szejk dawno stracił serce do walki. Poradzi synowi, żeby spełnił moje żądania, skoro mam ciebie i proponuję negocjacje. W rezultacie Philippe wreszcie wpadnie w moje ręce.

- Jesteś tego pewny? Nie mów hop, póki nie przeskoczysz - burknęła opryskliwie.

- Wszystko przewidziałem. Philippe to jajogłowy mieszczuch. Walka nie jest żywiołem tego faceta. Mało trzeba, żeby go pognębić, więc szczerze mówiąc, niepotrzebnie zadaję sobie tyle trudu, ale chcę, żeby cierpiał, gdy cię znajdzie. - Przymknął powieki, jakby ta wizja sprawiła mu fizyczną przyjemność. - Chyba spuszczę ze smyczy mojego Eryka i pozwolę mu wziąć nóż myśliwski, by żywcem obdarł cię ze skóry.

Gretchen nawet nie mrugnęła powieką, tylko uporczywie patrzyła mu w oczy.

- Kiedy dowie się o tym mój brat, w żadnym miejscu kuli ziemskiej nie będziesz bezpieczny. Wytropi ciebie i twoich sługusów.

- Co mnie obchodzi twój brat - zachnął się Brauer. - Co to za figura?

- Były strażnik Teksasu - odparła, a twarz Brauera nagle się skurczyła. - Może słyszałeś, że jak taki gość złapie trop, nie ma mowy, żeby odpuścić, choćby miał zapukać do piekielnych bram. Taki jest właśnie mój brat.

- Wtedy będziesz już trupem - zapewnił.

- A ty wkrótce do mnie dołączysz - odparła.

- Odważna jesteś - przyznał. - Usłyszałem, że w obozie jest moja pasierbica. To ją chciałem porwać. Nie wiem, co Philippe do ciebie czuje, ale za Brianne gotów jest oddać życie. To jedyna miłość jego życia.

Znowu ta Brianne! Zirytowana Gretchen dumnie uniosła głowę.

- Zapewniam, że pani Hutton nie ma w tym kraju. Sam widzisz, Brauer, że twoi informatorzy powinni bardziej się starać, a ich rewelacje niewiele są warte. Czyżby ciche poparcie stryja panującego szejka nie wystarczało tym szpiegom?

- Co jeszcze wiesz? - zapytał, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.

- Całkiem nieźle znam się na wywiadzie i szpiegowaniu - odparła, starannie dobierając słowa. - Mam przyjaciół wśród najemników. Wiadomo mi, że masz szpiegów w pałacu.

- Wątpię, żebyś podejrzewała szefa ochrony albo pomocnika kucharza - odparł, wybuchając śmiechem. - Ale ta wiedza nie wyjdzie ci na dobre. Masz przed sobą zaledwie parę godzin życia.

- A ja ci radzę dobrze wykorzystać twoje ostatnie godziny - odcięła się natychmiast.

- Nie wychodź z namiotu, bo każę cię związać i zakneblować. - Rzucił jej groźne spojrzenie. - Jest okropny upał. Pewnie ci duszno w tej szmacie. Zaraz byś się udusiła.

- Nie twoja sprawa! - rzuciła, rozwścieczona swoją bezradnością.

Wzruszył ramionami, uniósł połę namiotu i wyszedł. Gretchen zerwała się na równe nogi i szukała wzrokiem jakiejś broni, choćby prowizorycznej. Niestety, Brauer zabrał nóż i pistolet. Usłyszała jego głos. Stał obok namiotu, zajęty rozmową. Na stole dostrzegła aparat podobny do telefonu komórkowego, którym Philippe niedawno się posługiwał. Pospieszenie wystukała jego numer, którego przed kilkoma dniami kazał jej nauczyć się na pamięć. Czekwała na połączenie. Usłyszała głos człowieka mówiącego po arabsku.

- Tu Gretchen. Brauer mnie porwał! Przerwała rozmowę, wymazała numer z pamięci i starannie odłożyła telefon na poprzednie miejsce. Można by pomyśleć, że w ogóle go nie dotykała. Skuliła się na pryczy, jakby z bólu i rozpaczony całkiem opadła z sił. Przymknęła oczy i modliła się, żeby wiadomość dotarła do Philippe'a albo jego ludzi. Po chwili do namiotu wszedł znowu Brauer, popatrzył na nią, zabrał telefon i wyszedł.

- Ale skąd dzwoniła? - Zniecierpliwiony Philippe krzyczał na współplemieńca, który odebrał połączenie. - Nieważne! - Pospieszenie nacisnął kilka guzików skomplikowanego urządzenia, sprawdził numer i bez trudu ustalił położenie aparatu, z którego dzwonił. Skinął na swoich ludzi i wydał rozkazy.

Przed chwilą miał wiadomości z pałacu. Szef straży poinformował go, że Brauer ma Gretchen i chce pertraktować. Philippe zabronił mu działać pochopnie i kazał czekać, aż sam zdecyduje, jak należy postąpić. Szef straży pałacowej był mocno zdziwiony, gdy usłyszał od swego władcy, że chyba nie warto płacić aż tak wielkiego okupu za zwyczajną asystentkę. Philippe umyślnie przybrał lekceważący ton. Gretchen wprawdzie została jego żoną, ale przecież dla każdego jest' oczywiste, że nie miłość o tym przesądziła, tylko fakt, iż po ślubie będą mogli pracować razem w jego pokojach. Każdy głupi by to zrozumiał. Zresztą Gretchen nie jest niezastąpiona, więc naprawdę nie warto spieszyć się z okupem i spełnieniem żądań porywaczy. Zatraskany szef straży przypomniał, że w sprawę może się wmieszać rząd Stanów Zjednoczonych, bo porwana została jego obywatelka, a na domiar złego na granicy doszło do strzelaniny grożącej konfliktem zbrojnym z ościennymi szejkanatami.

Philippe w milczeniu pokiwał głową. Brauer chętnie wywołałby wojnę. Dzięki temu miałby procent od transportów broni sprzedanej sąsiednim krajom, u ponadto wciągnąłby Philippe'a w niebezpieczną rozgrywkę, niwecząc wielkie nadzieje władcy i mieszkańców szejkanatu Qawi w chwili, gdy państwo zaczęło się właśnie rozwijać dzięki dochodom z eksploatacji złóż ropy naftowej. Brauer ustawicznie powielał ten sam schemat. Teraz był szczególnie niebezpieczny, ponieważ jako finansowy bankrut nie miał nic do stracenia i był zdecydowany doprowadzić swój plan do końca, nie zważając na ilość ofiar.

Philippe oznajmił szefowi pałacowej straży, że potrzebuje czasu do namysłu i chce omówić sprawę ze swoim rządem. Dodał, że wkrótce powróci do pałacu i wtedy spokojnie porozmawiają. Natychmiast przerwał połączenie i rzucił telefon jednemu ze swoich ludzi. Poleciał im zabrać aparat i ruszyć w drogę powrotną do pałacu. Sięgnął do schowka w samochodzie terenowym, wyjął drugi aparat i zaczął planować kolejne posunięcie.

Szefa ochrony zatrudnił jego stryj, a stary szejka nie bez oporów zatwierdził nominację. Philippe nie ufał nowemu pracownikowi, więc przed kilkoma tygodniami kazał go śledzić. Było to bardzo mądre posunięcie, bo dzięki temu wiedział, że służący, który niedawno znikł, często odbywał tajne narady z szefem ochrony. Zapewne obaj kontaktowali się z Brauerem, który szybko dowie się od nich, jak Philippe zareagował na niedawne rewelacje. Doskonale! Niech myśli, że zwinęli obóz i wracają do pałacu, żeby rozpocząć negocjacje w celu uwolnienia porwanej Amerykanki. Brauer nie miał pojęcia, że Philippe jest nie tylko dyplomatą, lecz także wojownikiem. Nie spotkali się dotąd na pustyni, lecz wkrótce tego szubrawca Brauera czeka spora niespodzianka.

Gretchen naraziła się na ogromne niebezpieczeństwo, umożliwiając mu ustalenie współrzędnych terrorystów. Nie ma czasu do stracenia. Kurt pragnął zemsty, a że na pustyni

wieści szybko się rozchodzą, na pewno już wiedział o ślubie. Było również jasne, że postanowił ją zabić. Będzie to śmierć w męczarniach. Potem zadzwoni do Philippe'a i powie mu, gdzie zostawił dziewczynę. Zawsze tak robił. Philippe jęknął rozpaczliwie. Nie mógł sobie darować, że urocza, słodka Gretchen wpadła w łapy takiego potwora. Nie mógł jej teraz stracić. Po prostu nie mógł!

Skinął na skruszonego Hassana i w ostrych słowach powiedział, co myśli o jego ochroniarskich kwalifikacjach. Usłyszał gorące przeprosiny oraz zapewnienie, że biedak uczyni wszystko, aby naprawić swój błąd.

- Módl się, aby przeżyła - odparł Philippe. Oczy błyszczały mu ze złości. - W przeciwnym razie poleć duszę Bogu, bo marny twój los!

Odwrócił się i pomaszerował do swoich wojowników. Nadal miał na sobie obszerne białe szaty, które rozwiewał pustynny wiatr. Rozkazał przywódcom plemion, żeby zebrali wszystkich ludzi zdolnych do noszenia broni. Telefonicznie ustalił z dowódcą swej eskadry lotniczej współrzędne celu i przybliżony czas bombardowania. Rozkazał mu, żeby czekał na wyraźny sygnał. Zorganizowanie ataku na obóz Brauera wymagało starannej koordynacji, a czas naglił i liczyła się każda sekunda. Philippe był wściekły na Gretchen, ponieważ dała się złapać. Hassan przysięgał, że nie ma pojęcia, jak wymknęła się z namiotu, ale Leila była przy tym. Z płaczem rzuciła się Philippe'owi do nóg i opowiedziała o całym wydarzeniu.

- Miała pistolet? - wypytywał z niedowierzaniem.

- Tak, sadi - przytaknęła Leila. - I pudełko naboji. Czuwała przez całą noc, aby mieć pewność, że nikt cię nie napadnie. Moim zdaniem stary szejik dał jej swego colta - tłumaczyła. - Owinęła go kawałkiem tkaniny.

Philippe uświadomił sobie, że kiedy wybiegła z pałacu, widział w jej rękach niewielkie zawiniątko. Rozzłoszczony, zacisnął zęby.

- Czemu za mną pojechała?

- Powiedziała, że musi cię pilnować, sadi - odparła z prostotą Leila, a Philippe gorzko się roześmiał.

- Niebawie! - Zamachał rękoma i odwrócił się. - Jak zamierzała mnie bronić przed oddziałem doświadczonych i znakomicie uzbrojonych najemników, którymi dowodzi nawiedzony maniak? Chciała do nich *strzelać ze zwykłego colta*?

Wskoczył na swego wierzchowca. Był to potężny i szybki koń rasy arabskiej. Philippe uniósł rękę, dając znak swoim wojownikom, którzy natychmiast ruszyli za nim. Przygnębiona Leila z ciężkim sercem patrzyła za odjeżdżającymi. Jeśli nie zastaną jej pani przy życiu,

marny los czeka wszystkich, których sadi uzna za winnych jej śmierci. Wystraszona Leila bała się także o swoją przyszłość.

Gretchen czekała, rozważając rozmaite sposoby ucieczki. Jej brat Mark zawsze ostrzegał przed bezpośrednią konfrontacją z uzbrojonym mężczyzną, ale nauczył ją technik samoobrony. Gdyby znalazła się dostatecznie blisko Kurta Brauera, żeby go unieszkodliwić, może zdołałaby umknąć. Górował nad nią wzrostem i ciężarem ciała, lecz od czego uniki! Gdy do obozu powrócą wszyscy ludzie, Gretchen straci możliwość ucieczki.

Wczesnym popołudniem Brauer wszedł do namiotu z trzema uzbrojonymi po zęby najemnikami.

- Twój mąż się nie spieszy - oznajmił. - Marnie na tym wyjdzie. Czyżby chciał zaatakować mój obóz z garstką swoich pustynnych dzikusów na koniach? Pewnie uważa, że nadal żyjemy w dziewiętnastym wieku.

Powiedział kilka słów do dwu swoich ludzi, którzy natychmiast wyszli. Został tylko rudzielec stojący przy stole zarzuconym papierami.

- Dokąd się wybieracie? - zapytała Brauera, który je przeglądał.

- Dlaczego mielibyśmy o tym rozmawiać? Niepoprawny optymizm, *madame*.

- Skoro mam umrzeć, i tak nikomu nie powiem, prawda?

- Zostaniesz zawieziona na pustynię przez Eryka, a tymczasem ja z grupą swoich ludzi przygotuję ciekawą niespodziankę dla twego męża. - Zwrócił się znowu po niemiecku do jednego z podwładnych. - To spotkanie było dla mnie cennym doświadczeniem. Szkoda, że zabrakło czasu, aby się lepiej poznać.

- Ja nie żałuję - burknęła, a Brauer parsknął złośliwym śmiechem.

Zgarnął ze stołu część papierów i wsunął je do kieszeni kamizelki. Mruknął coś do Eryka, który popatrzył na nią tak, że ciarki przeszły jej po plecach. Gdy wyszedł, przyjrzała się kompanowi Brauera. Był chudy, pokryty bliznami, piegowaty, rudy i lekko łysiejący. Spoglądał na nią przenikliwymi, niebieskimi ślepiami. W ręku trzymał nóż.

Gretchen starała się oddychać normalnie i nie traciła nadziei, że zdoła uciec. Rudzielec był od niej znacznie silniejszy, a poza tym uzbrojony. Metodycznie przypominała sobie wszystko, czego Mark nauczył ją podczas lekcji samoobrony. Poczekaj, aż przeciwnik sam do ciebie podejdzie, powtarzała w myśli. Dzięki temu zyskasz przewagę. Postaraj się skierować przeciwko niemu jego własną siłę. Nie walcz, jeśli możesz uciec.

Z zewnątrz dobiegł warkot silnika odjeżdżającego samochodu. Eryk bawił się nożem. Zmrużył oczy i obrzucił ją zimnym, taksującym spojrzeniem.

- Kurt powiedział, że mam cię tak załatwić, aby twój mąż nie zapomniał nigdy tego widoku. Ale najpierw się zabawimy. Przecież mi nie zabronił - dodał takim tonem, że Gretchen poczuła mdłości.

Siedziała nieruchomo na poduszkach; ręce splecione, powieki przymknięte. Zrobiło jej się sucho w ustach. Dłonie miała wilgotne od potu, a serce kołatało jak oszalałe. Zastanów się, co na twoim miejscu zrobiłby Philippe albo Mark, powtarzała sobie. Eryk, uspokojony jej rzekomą uległością i bezruchem, wzruszył ramionami i rzucił nóż na stół. Zbliżył się wolno, a oczy mu lśniły, bo wiele sobie obiecywał. Gretchen czekała cierpliwie, aż chwyci ją za ramiona. W tej samej chwili wyrzuciła nogę do przodu i kopnęła go z całej siły. Poleciał w głąb namiotu i zatrzymał się na przeciwległej ścianie. Bez namysłu chwyciła nóż i wybiegła, pędząc w stronę piaszczystych wzgórz. Z tyłu dobiegły ją po chwili przekleństwa i wrzaski Eryka, który natychmiast ruszył w pogoń. Fałdzista aba utrudniała jej ucieczkę, ale nie było czasu, żeby ją zdjąć. Trzeba biec, chociaż serce boli z wysiłku. Gdyby dopadła tamtych wzgórz, może zdoła...

Na pustyni trudno jest prawidłowo ocenić odległość, a pagórki leżały dalej, niż początkowo sądziła. Upał zapierał dech w piersiach, więc oddychała z trudem. Unoszony wiatrem piasek wciskał się do oczu, nosa i ust, lepił się do skóry i chłostał ją jak bicz. Eryk był coraz bliżej. Słyszała jego chrapliwy oddech. Gretchen czuła, że traci siły. Lada chwila rudzielec ją dopadnie. Och, Philippe, pomyślała zrozpaczona, powinnam była cię posłuchać i zostać w obozie.

Potknęła się nagle i niefortunnie wykręciła kostkę. Gniew i poczucie bezsilności sprawiły, że łyzy stanęły jej w oczach. Usiadła, chowając nóż w fałdach aby. Gdy Eryk ją dopadnie, zada mu śmiertelny cios. Pewny zwycięstwa parsknął śmiechem, zwolnił i podszedł do niej z chępliwą miną, przekonany, że teraz zdana jest na jego łaskę i niełaskę. Zapowiadała się niezła zabawa. Nagle coś przebiło mu pierś...

Na widok jego miny Gretchen po prostu osłupiała.

Zatrzymał się i patrzył na nią z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy. W tej samej chwili usłyszała stłumiony trzask przypominający wybuch sztucznych ogni. Na wargach chwiejącego się na nogach Eryka ujrzała krew. Wkrótce padł twarzą w piasek.

Gretchen zobaczyła nad wydumą chmurę pyłu, z której wyłonił się postawny mężczyzna na białym arabskim ogierze. Gromkim głosem rzucał rozkazy swoim ludziom. W rękę trzymał karabin i rzucając komendy, strzelał do biegnących w jego stronę uzbrojonych mężczyzn. Za nim pędziła grupa arabskich wojowników, nieustępliwych jak aniołowie zagłady. Pędząc na złamanie karku, unosili się w strzemionach, celując do przeciwników.

Gretchen nie widziała dotąd podobnej brawury. Najemnicy byli wprawdzie lepiej uzbrojeni, ale natychmiast zawrócili, pędząc do swoich aut. Zerwała się na równe nogi i podziwiała znakomitych jeźdźców z pustynnego plemienia, którzy ławą zaatakowali świetnie wyszkolonych zbirów. Szczególnie fascynował ją dowódca arabskich wojowników. Gdy jeden z najemnych żołnierzy próbował do niego strzelić, jednym skokiem znalazł się na ziemi i zręcznie przewrócił najemnika. Kiedy najemnik wyciągnął nóż, kopniakiem wytrącił go z jego potężnej dłoni. Wystarczył jeden straszliwy cios pięści nomady, żeby napastnik znieruchomiał. Arabski wojownik podniósł automatyczną broń i wskoczył na grzbiet wierzchowca tak zręcznie, jakby był kowbojem z Teksasu. Gretchen nie była w stanie oczu od niego oderwać.

Popędził konia, w biegu zarzucając karabin na ramię. Podjechał do Gretchen, nie zwalniając, pochylił się, chwycił ją wpół i posadził przed sobą na koniu. Twarz zakrywała mu biała chusta, a głowę okrywała tradycyjna zasłona umocowana opaską z czarnego sznurka. Przypominał herosa, o którym Gretchen śniła na jawie: pustynny szejka dosiadający białego ogiera ratuje z opresji cudną brankę... Mężczyzna popatrzył na nią, a czarne oczy błyszczały ze złości.

- Ty wariatko! - usłyszała znajomy głos, dobiegający spod fałdów białej chusty. - Szkoda, że nie zostawiłem cię na pastwę tego przybłądy. Może zrozumiałabyś nareszcie, czym się kończy lekceważenie rozkazów.

- Philippe? - wykrztusiła Gretchen. Omal nie zemdląła w jego ramionach.

Zerwał chustę, ukazując wykrzywioną gniewem twarz.

- Ty krnąbrna, głupia kobieto! - pieklił się nadal. - Skąd ci przyszło do głowy, że potrzebuję opieki? Achmed! - krzyknął i dodał kilka słów po arabsku.

Pomachał ręką, wskazując kierunek, gdzie w oddali leżał ich obóz. Cały oddział zawrócił, ruszając w drogę powrotną.

- Skąd ten pośpiech? - spytała zdziwiona, oddając mu nóż myśliwski, który wsunął za pas obok ceremonialnego sztyletu.

- Podałem współrzędne obozowiska naszej eskadrze bombowców - mruknął opryskliwie. - Zaraz tu będą. Gdzie Brauer?

- Wyjechał na krótko przed waszym atakiem - odparła, zachwycona wojownikiem, który krył się pod maską wytrawnego dyplomaty w markowym garniturze. - Nie widziałam dotąd jeźdźca, który mógłby się z tobą równać.

- Umiałem jeździć konno i strzelać na długo przedtem, zanim nauczyłem się angielskiego - odparł, gdy nieco ochłonął z gniewu. - Leila powiedziała, że postanowiłaś mnie

pilnować. Jakie to uprzejme z twojej strony - dodał lodowatym tonem. - Za kogo ty mnie bierzesz?

- Skąd miałam wiedzieć! - zachnęła się zarumieniona. - Zawsze paradowałeś w garniturze, więc uznałam cię z mieszczucha, który nie przetrwa bez pomocy w obcym środowisku. Na dodatek twój ojciec powiedział, że trzeba cię chronić, więc jak miałam rozumieć jego słowa? Obawiałam się, że zwiejesz ochroniarzom i sam rzucisz się w wir walk, więc postanowiłam mieć na ciebie oko. Pamiętaj, że nieźle strzelam.

- Nie zauważyłaś, że mam doborowy oddział weteranów pustynnych wojen? - spytał zapalczywie. - Więcej ci powiem: sam ich szkoliłem. Należę do grona nielicznych przywódców państwowych, którym pozwolono odbyć służbę wojskową w doborowych jednostkach komandosów armii Stanów Zjednoczonych. Udało mi się zjednoczyć wszystkie plemiona zamieszkujące terytorium Qawi, które po ataku Brauera rozpieczęły się po pustyni. Zwołałem wojowników i sam przygotowałem kontratak. A ty myślałaś, że trzeba mnie chronić?

- No dobra, wygłupiłam się. Musisz mi to bez przerwy wytykać? Dlaczego się tak pieklisz?

Philippe westchnął spazmatycznie i znowu popędził konia.

- Gdybym spóźnił się pięć minut, ten zaszary rudzielec wziąłby cię jak swoją.

- Prawie mu uciekłam - odparła z godnością, starając się utrzymać na grzbiecie wierzchowca pędzącego z wiatrem w zawody. - Dostał takiego kopniaka, że poleciał na ścianę. Dzięki temu udało mi się zwiać.

Philippe nie dał się zmiękczyć. Minę wciąż miał ponurą i prawie drżał ze złości, lęku i... żądy, co go szczerze dziwiło. Ledwie przytulił Gretchen, ogarnęła go dziwna błogość. Od lat nie czuł w sobie podobnej mocy, pewnie z powodu napięcia, wywołanego ogromnym niebezpieczeństwem i nagłą ulgą. Mniejsza o przyczyny. Pragnął Gretchen i tyle.

- Jak cię złapali? - spytał, obejmując ją mocniej.

- Próbowałam cię dogonić, ale koń się potknął i zrzucił mnie, Bóg raczy wiedzieć dlaczego - mruknęła. - W tym samym momencie pojawili się tamci.

Brauer kazał swojemu kumpłowi obedrzeć mnie żywcem ze skóry. Planowali, że to, co ze mnie zostanie, porzucą na pustyni, a po kilku dniach odezwą cię do siebie i wskażą to miejsce. Początkowo uważali mnie za Brianne Hutton - dodała śmiało.

Philippe westchnął głęboko, gdy uświadomił sobie, jak straszliwego losu cudem uniknęła. Po raz pierwszy w życiu tak bardzo się bał. Po chwili uświadomił sobie, o czym mowa i przytulił ją znowu.

- A zatem już wiedzą, że Brianne przylatuje do Qawi.

- Tak. Brauer świetnie się orientuje w twoich sprawach. Szef straży pałacowej to jego szpieg, pomocnik kucharza również. - Widząc zdumienie na jego twarzy, wyjaśniła ponuro: - Ten chełpliwy skurwiel był przekonany, że wkrótce umrę i nie zdołam nikomu przekazać tych wiadomości. Twój stryj też jest z nim w zмовie.

- I gorzko tego pożałuje - odparł z groźnym błyskiem w oku. Potem obrzucił ją zachłannym spojrzeniem. - A ty zostaniesz przykładowie ukarana za cierpienia, których mi przysporzyłaś. Przecież on mógł cię zabić, nim zaatakowałem obóz!

- Rozważał taką możliwość - niechętnie odparła przyciszonym głosem i z ociąganiem dotknęła obolałego policzka.

- Uderzył cię? - spytał zduszonym głosem. Na widok sporego siniaka ogarnął go straszliwy gniew. - Uderzył cię?

- Tak, ale mu oddałam - stwierdziła rzeczowo. - Mark nauczył mnie podstaw boksu. Zapewniam cię, że twarz Brauera wygląda gorzej niż moja. Przyłożyłam draniowi z całej siły!

- Gretchen! - Kołysał ją w ramionach. Wtulił twarz w potargane włosy, które przylgnęły do jej szyi. - Ty szalona, dzielna, nieprzewidywalna idiotko! - jęknął rozpaczliwie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i objęła go bardzo mocno. Czuła, co się z nim dzieje w jej obecności, i zachichotała uradowana. - Ten twój Brauer sądził, że nie jesteś w stanie mieć kobiety, ale zmienił zdanie - szepnęła. Miała wrażenie, że jego serce na moment przestało bić.

- Coś ty mu nagadała?

- Powiedziałam tylko, że moja służąca na pewno by go wyśmiała, i chyba trafiłam w dziesiątkę. Leila naprawdę myśli, że... to robimy.

- Co? - spytał zaciekawiony. Uśmiechnęła się i zadrżała w jego objęciach.

- No wiesz.

- To nie jest dobry moment na... te rzeczy - odparł cicho, patrząc jej w oczy. Słowa przychodziły mu z wielkim trudem.

- Dlaczego?

- Bo jestem na ciebie wściekły! - odparł z brutalną szczerością i popatrzył tak pożądlawie, że serce zaczęło niespokojnie kołatać w jej piersi. - Nie wiem, czy potrafię zdobyć się na delikatność, zakładając, że w ogóle będę w stanie cię zaspokoić.

- Mnie to nie przeszkadza - odparła, rozchylając usta. - Chcę, żebyś się ze mną kochał, mniejsza z tym, w jaki sposób.

Jego imponującą postać przebiegł cudowny dreszcz. Pochylił głowę i pocałował zachłannie swoją żonę. Niech cały świat patrzy, cóż go obchodzą inni. Z wielkim zapałem

oddała pocałunek. Mocno przytulona rozchyliła wargi, zachęcając go i jasno dając do zrozumienia, jak wielkie odczuwa pożądanie. Tulił ją tak mocno, że nie mogła oddychać, a dotknięcie natarczywych warg sprawiało ból. W pierwszej chwili chciała go odepchnąć, ale poddała się w końcu zaborczym pieszczotom. Skoro Philippe nie jest w stanie jej osiąść, gdy nad sobą panuje, może gniew sprawi, że stanie się cud.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy Philippe w końcu uniósł głowę, oboje mieli zamglone oczy. Przytulił do piersi jej zarumienioną twarz i ruszył w stronę swego oddziału. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, gdy z radością uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie odczuwał tak silnego pożądania.

Dotarli wreszcie do obozowiska. Pomógł Gretchen zsiąść z konia i sam także zeskoczył na ziemię. Wydał rozkazy swoim ludziom i rzucił kilka słów do Leili, która wybiegła z jednego namiotu i od razu zniknęła w innym. Philippe wziął Gretchen na ręce i wielkimi krokami ruszył do ich pustynnej siedziby. Starannie zaciągnął poły namiotu, wszedł do swojej sypialni i położył żonę na pościeli z białej bawełny. Pospiesznie zerwał z głowy chustę, zdjął pelerynę i buty, a potem zaczął rozbierać Gretchen. Gdy spoczęła w końcu na spiętrzonych poduszkach, z nadzieją pomyślał o tym, co miało wkrótce nastąpić. Pod wpływem gwałtownych emocji coś się w nim zmieniło. Musiał spróbować. Natychmiast!

Gretchen także nie mogła się doczekać tej chwili.

Ogarnięta niecierpliwością, wyciągnęła do niego ramiona. Chciała mu o tym powiedzieć, ale wybrała milczenie z obawy, że gdy zabrzmiały słowa, czar ulotnej chwili pryśnie. Czekwała, co będzie dalej.

Nie powiedziała ani słowa, gdy całował ją namiętnie, zachłannie, niemal brutalnie. Przestał myśleć o swoich ułomnościach i ograniczeniach, gdy poczuł cudowne ciepło jej ciała, gdy przylgnął do niej i poczuł nikłą woń lawendy. Rozkoszował się nieśmiałą pieszczotą małych dłoni, którymi przesuwawała po jego plecach. Była uległa i nie okazywała strachu.

Pospiesznie wyciągnął zza paska poły jej koszuli i zdjął ją natychmiast. Położył dłoń na jędrnej piersi okrytej koronkowym stanikiem, a potem zerwał go jednym ruchem i szarpnął zapięcie spódnicy tak mocno, że posypały się perłowe guziki. Objął wargami twarde sutki, a Gretchen przylgnęła do niego jeszcze mocniej. Nie przerywając namiętnej pieszczoty, rozbierał ją niecierpliwie. Zsunął spódnice i bieliznę. Po chwili uradowany stwierdził, że leży przy nim zupełnie naga. Cieszył się tak, jakby po raz pierwszy był z kobietą.

Cały płonął z pożądania. Zrzucił thobe, rozpiął jedwabne spodnie zwane chalwar, noszone pod obszerną szatą, a potem bokserki, także uszyte z jedwabiu. Przez cały czas całował jej piersi. Wsunął dłoń między uda Gretchen i ze zdumieniem stwierdził, że jest gotowa, jakby z równą niecierpliwością pragnęła ostatecznego dopełnienia ich związku. Pocałował ją w usta, zachęcając, żeby rozchyliła wargi i poczuła zmysłową pieszczotę języka. Jęknęła cicho i wbiła paznokcie w jego kark, poruszając się pod nim kusząco.

Znów włożył dłoń między jej uda i zachęcił, żeby je rozsunęła. Mimo woli nadal wątpił, czy podoła wyzwaniu, ale teraz nie chciał myśleć o własnej słabości. Pragnął tylko zachwycać się gładką skórą Gretchen i jej zachłannymi pocałunkami. Objął rękoma smukłe biodra i wszedł w nią jednym, szybkim ruchem. Krzyknęła cicho z bólu, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

Posiadł ją i wcale się temu nie dziwił. Już wcześniej zdawał sobie sprawę, że pożądanie odczuwane w jej obecności uczyniło go na powrót zdolnym do aktu pełnego zjednoczenia z kobietą. Obawiał się jednak, że nie sięgnie szczytu rozkoszy, i bardzo nad tym cierpiał. Nieważne. Byle tylko ona poznała najwyższą rozkosz. Kiedy się nad tym zastanawiał, gładziła go po plecach i udach, pieszcząc delikatnie, całowała z każdą chwilą namiętniej. Jęknęła znowu, unosząc biodra, zachęcając go, żeby wszedł w nią głębiej.

- Powiedz, mi co mam robić. Zrobię wszystko, żeby ci sprawić przyjemność - szepnęła zdyszana. Wstrzymał oddech, zajrzał jej w oczy, poruszył się lekko i przylgnął do niej jeszcze mocniej. - Naucz mnie - jęknęła, podając mu wargi spragnione kolejnego pocałunku. - Nie chcę rozkoszy, jeśli ty nie będziesz jej odczuwać.

Zadrzał, uświadamiając sobie, ile bezinteresownej czułości jest w niecierpliwej prośbie Gretchen. Zbyt wiele żądał od tej młodej dziewczyny, która dziś po raz pierwszy była z mężczyzną. Z przykrością pomyślał o bólu, który sprawił swej żonie, i zapragnął jej to wynagrodzić. Zasypał rozpromienioną twarz Gretchen łagodnymi pocałunkami, musnął wargami usta, ocierał się o nią, umyślnie odsuwając się chwilami, a potem obejmując ją mocniej. Oddychała spazmatycznie, patrzyła mu prosto w oczy i wzdychała, ilekroć się poruszył.

Philippe pochylił głowę i szepnął jej do ucha kilka prostych rad. Zawstydzona wstrzymała oddech, ale posłuchała. Nagle poczuł, że napina mięśnie zgodnie z jego wskazówkami. Powolne zmysłowe ruchy sprawiły, że jęknął przeciągle.

- Dobrze? Tego chciałeś? - spytała nieśmiało i znowu się wyprężyła.

- Tak - wyjąkał z trudem. - Tak, kochanie, tak! Drżała w jego ramionach pod wpływem narastającej stopniowo przyjemności. Spoglądała w ciemne oczy, czule głaskała twarz męża, dotykała jego policzków i warg.

- Tak bardzo cię pragnę - szeptała z trudem. - Chcę cię mieć całego. Znów poczujesz, że jesteś prawdziwym mężczyzną. Zrobię dla ciebie wszystko, wszystko! Philippe! - krzyknęła pod wpływem nagłej rozkoszy.

Przyglądał się jej z miną zdobywcy i tryumfatora. Poruszał się coraz szybciej, wpatrzony w zielone oczy, coraz bardziej zaborczy i wymagający. Uniósł w górę jej ramiona i przycisnął je do pośladka. Była teraz całkiem w jego mocy. Uniosła biodra i ostatkiem sił

przyłgnęła do niego najmocniej, jak potrafiła. Jęczała przy każdym jego ruchu, gdy wznosił ją nieustępliwie na coraz wyższe poziomy rozkoszy. Pod wpływem jej reakcji zupełnie przestał nad sobą panować. Od dawna nie odczuwał tych szalonych i cudownych doznań. Tyle lat! Już wiedział, że porywa go znajomy wir, że unosi go bezmierna rozkosz. Nadchodziła jak fala, zaraz go pochłonie, to nie do zniesienia...

Z jękiem pochylił się nad Gretchen, jakby chciał nią całkiem zawładnąć. Instynktownie splótła nogi za jego plecami i wtedy przeszła ją rozkosz, nagła jak cios zadany sztyletem. Krzyknęła głośno.

- Tak - szepnął niecierpliwie, puszczając jej nadgarstki. Objął dłońmi jej głowę. - Popatrz na mnie - szepnął. - Chcę widzieć... Chcę na ciebie patrzeć.

Nie do wiary! Miała wrażenie, że umiera. Któż byłby w stanie znieść rozkosz tak głęboką i porażającą, że graniczyła niemal z bólem? Gretchen rozplakała się, a jej szloch zabrzmiał głośno w ciszy wielkiego namiotu. Ten przejmujący dźwięk sprawił, że Philippe coraz śmielej zmierzał do ostatecznego spełnienia. Pocałował ją, a gdy jej długie nogi osłabły i zsunęły się na posłanie, przetoczył się po niej kilkakrotnie, tak że chwilami była pod nim, a potem na górze. Zwodził ją, obiecując rozkosz przechodzącą wszelkie wyobrażenie. Zapłakana błagała, żeby spełnił przyrzeczenie, i z jękiem poddawała się jego pieszczotom, aż napięcie stało się nie do zniesienia.

- Tak, Gretchen, teraz - szepnął. - Teraz... teraz.

Opadła wolno poza krawędź świata, krzycząc głosem piskliwym i przeszywającym. Mocno przytuliła się i patrzyła na ukochanego szeroko otwartymi oczyma. Kiedy się w nie wpatrywał, ogarnął go nagle gwałtowny żar, który narastał błyskawicznie, pochłaniając mocne ciało. Philippe niespodziewanie doznał wrażenia, że spala się cały, szybując w bezmiernej przestrzeni. Rozkosz przyszła jak gwałtowna eksplozja. Krzyknął i zadrżał. Osiągnął szczyt. Nie sądził dotąd, że przeżyje znów prawdziwe spełnienie. Dziewięć lat, pomyślał w ostatnim przebłysku świadomości, dziewięć lat, dziewięć lat...

Uniosła go wysoka fala cudownych doznań. Jęknął i napiął mięśnie, wstrząsany gwałtownymi dreszczami najwyższej rozkoszy. Krzyknął chrapliwie, a nagły spazm zachwytu na kilka chwil pozbawił go świadomości. Po raz pierwszy w życiu!

Z sieni namiotu dobiegł tupot nóg. Ktoś krzychał po arabsku. Philippe podniósł głowę. Włosy miał wilgotne od potu, twarz napiętą i skurczoną pod wpływem niedawnych przeżyć. Zawołał ochryplym głosem, a kroki oddaliły się natychmiast i głosy ucichły.

Westchnął głęboko, próbując odzyskać spokój. Popatrzył w załzawione oczy, przyjrzał się zarumienionej twarzy żony. Jego tęczęwki były ciemne i lśniące, a źrenice rozszerzone.

Drżał jeszcze pod wpływem łagodniejącej stopniowo przyjemności i spoglądał na zaintrygowaną Gretchen, dzieląc z nią tę chwilę. Kiedy napięcie opadło, poczuła ogromny ciężar odprężonego ciała, który przycisnął ją do cienkiego materaca. Ledwie był w stanie oddychać, ale odsunął się pospiesznie, żeby natychmiast okryć swoje blizny. Potem czule dotknął jej uda i rogiem prześcieradła wytarł czerwoną kropelkę. Podziwiał śliczną postać oraz zaróżowioną i emanującą ciepłem gładką skórę.

- Krew - powiedział cicho. Głos mu drżał, serce nadał biło mocniej niż zwykle, włosy miał wilgotne jak po wyczerpującym biegu.

Gretchen zapomniała o wstydzie, chociaż była całkiem naga. Pozwoliła mu na siebie patrzeć. Sama też drżała jeszcze po doznaniach, które w jej dotychczasowym życiu były zupełnie wyjątkowe.

- Owszem. To całkiem naturalne.

- Bolało? - Philippe nie dawał za wygraną. Pokręciła głową i rozpromieniona popatrzyła mu w oczy.

- Czułeś to, prawda? - zapytała szeptem. - Pod koniec dotarłeś ze mną na sam szczyt.

- Tak - odparł cicho. - Byłem tam! Naprawdę! - Pochylił się i musnął wargami najpierw jej usta, a potem zażawione oczy. Na języku pozostał słony smak.

- Nie płacz - szepnął, wpatrując się w nią. - Było cudownie. To niezapomniane przeżycie, Gretchen. Nie śmiałem wierzyć, że czeka mnie jeszcze miłosne spełnienie.

Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie, Wybuchnął śmiechem i skarcił ją łagodnie.

- Nie. Teraz nie można. - Gdy odsunął się od niej, spojrzenie miała zdziwione. Pogłaskał ją po policzku.

- Są ważniejsze sprawy. - Przywołał Leilę i wyszedł, nim Gretchen zdążyła odpowiedzieć.

Na widok służebnej i czterech innych kobiet poczuła się zakłopotana. Nie zważając na to, natychmiast poskładały ubrania, przygotowały kąpiel i zaściły prowizoryczne łóżko. Leila pomogła swojej pani wejść do wanny.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała cicho, jakby zdawała sobie sprawę, co się tutaj wydarzyło.

Zawstydzona Gretchen uświadomiła sobie, że wystraszeni ochroniarze słyszeli krzyk Philippe'a i dlatego natychmiast przybiegli, ale szybko zorientowali się, czemu ich odprawili.

- Leilo... - zaczęła.

- Sadi kazał przygotować kąpiel i zadbać o ciebie, pani. Wróci tu na kolację i zostanie z tobą. Dziś jest noc poślubna mojej pani - dodała uradowana. - Moim zdaniem będzie dłuższa od innych!

Gretchen przymknęła oczy i jęknęła cichutko. Niewątpliwie Philippe jest znowu prawdziwym mężczyzną. On również będzie musiał przyjąć to do wiadomości. Ich niedawne przeżycie nie było grą wstępną, tylko prawdziwym aktem miłosnym. Kobiety ścielące łóżko miały w ręku widomy dowód, że małżeństwo zostało skonsumowane. Philippe nie miał już powodu, żeby martwić się o swoją reputację. W ten sposób ukrócił wszelkie plotki i spekulacje. Z drugiej strony udowodnił samemu sobie, że potrafi spełnić obowiązek małżeński, więc pewnie zechce naprawdę się ożenić. Wybierze odpowiednią kobietę, równą mu majątkiem i urodzeniem. Prosta dziewczyna z teksańskiej prowincji nie miała żadnych szans, by pozostać jego żoną. Gretchen z rozpaczą pomyślała, że traci ukochanego w chwili, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo się do niego przywiązała.

Ciepła kąpiel złagodziła lekki ból. Leila przyniosła swojej pani kojący balsam i wyjaśniła, jak go używać, aby dolegliwości szybko ustąpiły. Wszystkie usługujące jej kobiety najwyraźniej były mężatkami i dawno miały za sobą ten pierwszy raz. Gretchen uważała je za uosobienie łagodności i taktu. Gdy się odświeżyła, ubrały ją w liliową galabiję, ozdobioną barwnym haftem. Wyszczotkowały starannie długie włosy i zostawiły je rozpuszczone. Po chwili Gretchen była sama w swojej pustynnej sypialni.

Z niecierpliwością czekała na powrót Philippe'a. Dzisiejszy dzień był pełen niespodzianek i odkryć. Jej mąż okazał się inny, niż sądziła. Udawał eleganta i mieszcza, a tymczasem był prawdziwym tygrysem w ludzkiej skórze. Oczyma wyobraźni widziała znów, jak podczas ataku na obóz najemników pędzi jej na ratunek, odważny i nieustępliwy. Gdyby miała wnuki, mogłaby im opowiadać wspaniałe historie ze swego życia.

Gdy nareszcie usłyszała głos stojącego przed namiotem Philippe'a, miała wrażenie, że od ich ostatniego spotkania minęły wieki. Usiadła na łóżku i zdała sobie sprawę, że za cały strój ma tylko liliową galabiję. Była mocno zakłopotana, gdy uniósł zasłonę dzielącą pomieszczenia i wszedł do jej sypialni. On również wziął kąpiel. Miał na sobie thobe z białego jedwabiu haftowanego złotą nicią. W rozcięciu przy szyi widać było ciemne, kędzierzawe włosy. Spod szaty wystawały nogawki jedwabnych spodni. Włosy były jeszcze mokre. Philippe wydawał się w tym stroju bardzo przystojny i trochę groźny. Nie przypominał eleganckiego światowca, którego Gretchen poznała w Maroku.

W jego zachowaniu również spostrzegła pewne różnice. Kiedy na nią patrzył, uśmiechał się lekko, a minę miał zaborczą i tryumfalną. Odsunął się, by przepuścić Leilę

niosącą tacę z jedzeniem i świeżo zaparzoną miętową herbatą. Służebna zerknęła porozumiewawczo na swoją panią, uśmiechnęła się szeroko do sadięgo i natychmiast wyszła. Philippe zasunął starannie poły namiotu i rzucił się na poduszki tuż obok Gretchen.

- Jedz - mruknął, karmiąc ją małymi pasztecikami.

- Pyszne - odmruknęła, pogryzła starannie i przełknęła smaczny kąsek. Nalała do filiżanek wonnego naparu z mięty i z przyjemnością wdychała miły zapach. Podała mu jedną i spojrzała nieśmiało.

- Wciąż jesteś na mnie zły?

- Powinienem - odparł, a kąciki jego ust leciutko zadrżały. - Niewiele brakowało, a straciłabyś życie. Od dziś, *madame*, gdy wydaję polecenia, trzeba je wykonywać.

- Odezwał się pan i władca - mruknęła z kpiącym uśmiechem. Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, aż znalazła się na nim. Przetoczyli się wolno i teraz Philippe był na górze. Z uśmiechem patrzył na jej zdziwioną twarz.

- Jestem tu szefem - oznajmił niskim, głębokim głosem. - Pod każdym względem, jak widzisz.

- Służebne mnie wykapały - powiedziała, spoglądając w czarne oczy.

Philippe kiwnął głową.

- Taki jest zwyczaj w moim plemieniu. Drugi nakazuje schować prześcieradło z łoża, w którym małżonkowie spędzają noc poślubną na dowód, że byłem twoim pierwszym mężczyzną, a dziecko zrodzone z tego związku jest moje - dodał z błyskiem w oku.

Gretchen nagle posmutniała.

- Chciałabym urodzić twoje dziecko, Philippe - powiedziała szczerze. - Byłoby cudownie, gdybym miała z tobą syna.

- Nie wymagajmy od życia zbyt wiele - odparł z powagą. - Jeden cud to aż nadto, nie sądzisz? Widziałaś i czułaś, co się ze mną działo, prawda?

- O tak! - przyznała zarumieniona. Philippe opuszkami palców musnął jej wargi.

- Dla mnie to... niespodzianka. Przypuszczałem, że jeśli przyjdzie co do czego, uda mi się ciebie zaspokoić, ale nie śmiałem nawet marzyć o prawdziwym spełnieniu dla siebie. - Pochylił się i pocałował ją czule. - Dzięki tobie znów czuję się mężczyzną - szepnął. - Ofiarowałaś mi dar, za który będę ci wdzięczny do końca życia.

Uśmiechnęła się, kiedy znowu ją pocałował, i wsunęła palce w mokre, gęste, ciemne włosy.

- Sądzisz, że następnym razem też się uda?

- Nie wiem - odparł szczerze, trochę zaniepokojony, i dodał z wymuszonym uśmiechem: - Nie wykluczam, że przedtem zadziałała wyjątkowa kombinacja odczuć i takich emocji, jak poczucie zagrożenia, ulga, żądza, obawa przed cudzą przemocą. Takie warunki trudno będzie powtórzyć.

- Racja, ale przedtem byłeś zdania, że w ogóle nic z tego nie będzie. - Delikatnie wodziła opuszkami palców po sięgającej kącika ust szramie na policzku.

- Masz rację, Gretchen. - Pochylił się i znów ją pocałował. - Dziewięć lat żyłem w celibacie - dodał chrapliwie. - Wystarczyło parę tygodni, żebyś przywróciła mnie do normalnego życia.

- Tylko dlatego, że wreszcie zaryzykowałeś. - Zrzuciła mu ręce na szyję. - Może na tym właśnie polegał twój problem. Nie mogłeś się sprawdzić, bo nie podjąłeś takiej próby.

- Zdajesz sobie sprawę, że nasze małżeństwo jest ważne tylko na terenie Qawi? - zapytał, niespodziewanie zmieniając temat, jakby chciał się upewnić, czy Gretchen przyjęła do wiadomości pewne ograniczenia dotyczące ich związku.

- Tak. - Nagle posmutniała i odwróciła wzrok. Opuściła ramiona i dodała: - Od razu mi zapowiedziałeś, że plemienna ceremonia poza granicami szejkanatu nie wywołuje żadnych skutków prawnych. - Odsunęła się, próbując zachować pogodny wyraz twarzy. - Umieram z głodu. Kolacja dobrze się zapowiada.

Zaczęła jeść, ale nadal była smutna. Philippe poszedł za jej przykładem i także spróbował znakomitych potraw. Obserwował ją, gdy siedzieli pod wiszącą nad posłaniem lampą. Podziwiał śliczne kształty prześwitujące przez cienką abę. Doszedł do wniosku, że Gretchen jest piękna... na swój sposób. Żadna kobieta nie podniecała go tak jak ona. Wystarczyło, że na nią popatrzył, a już czuł miły dreszczyk - taki jak w tej chwili.

Gretchen nie zorientowała się, że jest obiektem uważnej obserwacji. Doszła do wniosku, że Philippe zastanawia się, w jaki sposób dać jej do zrozumienia, aby spakowała walizki i wróciła do domu. Przekonał się, że w łóżku wcale nie jest do niczego, więc na pewno planuje ślub z kobietą godną dzielić jego tytuł i tron. Być może ta jego Brianne Hutton wcale nie jest szczęśliwą mężatką? Kto wie, czy myśli Philippe'a nie idą w tamtym kierunku? Wyobraziła sobie piękną blondynkę przytuloną do jego potężnego ciała. Odłożyła delikatny pasztecik, ponieważ ostatnie kęsy rosły jej w ustach. Nagle straciła apetyt. Z roztargnieniem sączyła szampana, zwanego przez Leilę „musującą lemoniadą”. Otrząsnęła się z zamyślenia, gdy Philippe kazał służbie zabrać naczynia i resztki potraw. Dodał kilka niezrozumiałych dla niej słów, których sens pojęła dopiero, gdy jego poddani starannie zasunęli wejście do namiotu i odeszli.

W sypialni zrobiło się zupełnie cicho. Wstał, w milczeniu opuścił wiszącą lampę, zdusił płomień i znów umocował ją pod sufitem. Pochylił się nad Gretchen i pomógł jej wstać, a potem zaprowadził do swojej sypialni po drugiej stronie namiotu. Serce biło jej bardzo mocno, gdy poczuła, że szuka brzegu galabii, unosi ją wolno i zdejmuje przez głowę. Pod fałdzistą szatą nie miała bielizny. Jego dłonie natychmiast to odkryły. Przesunął nimi po obnażonej skórze, wdychając delikatną woń perfumowanego wonnościami talku, którym Leila wraz z innymi kobietami natarła ją po kąpieli.

- Jakbym dotykał ciepłego jedwabiu - mruknął, przyciągając Gretchen do siebie. Pochylił głowę i całował ją wolno, czule, łagodnie. - Tęskniłem za tobą, ale boję się, że jeszcze nie doszłaś do siebie. To był przecież twój pierwszy raz.

- Wszystko w porządku. - Objęła go ramionami za szyję. Nie mówiła całej prawdy, ale nie chciała go zniechęcać, a poza tym sama pragnęła kolejnego zbliżenia.

- Chwileczkę. - Odsunął się na moment. Usłyszała szelest tkaniny ocierającej się o skórę.

Gdy Philippe znowu wziął ją w ramiona, oboje byli nadzy. Westchnęła i przytuliła się, czerpiąc siłę i otuchę z jego bliskości. Przesunął dłońmi po jej plecach i biodrach, przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej i poczuł, że budzi się w nim dobrze znana moc. Uradowany wybuchnął śmiechem, ponieważ dopiero teraz upewnił się, że na dobre odzyskał upragnioną męskość. Gretchen objęła go ramionami i z zapałem oddawała pocałunki. Gdy razem osunęli się na posłanie, uczył ją cierpliwie, jak przedłużać cudowne pieszczoty i rozpalać wolno płomień pożądania. Zapomniał się na moment i próbował od razu w nią wejść, ale opamiętanie przyszło w samą porę. Pocałował jej zaciśnięte powieki i przytulił żonę czule.

- Trzeba pamiętać, że na początku mogą być trudności - mruknął zagadkowo i zaśmiał się cicho. - Przecież brak ci doświadczenia.

- Jakie trudności? - spytała niepewnie.

- Mniejsza z tym - odparł, zachęcając ją bez słów, żeby rozsunęła długie nogi. Ocierał się o nią prowokująco, aż wreszcie Gretchen, zniecierpliwiona tą zwodniczą taktyką, uniosła biodra. - Muszę być cierpliwy. Otóż to.

Tym razem kochali się bez pośpiechu, śmiało eksperymentując i szukając nowych dróg do najwyższej rozkoszy. Gretchen zaskoczyła samą siebie, gdy w miłosnym szale ugryzła go w ramię. Zachwycony jej śmiałością, wybuchnął głośnym śmiechem. Zachwyceni i oszołomieni bogactwem doznań, szczytowali razem. Gdy odpoczywali, całowała ugryzione wcześniej ramię, jakby czułe dotknięcie warg i języka mogło usunąć pulsujący ślad jej zębów.

- Ugryzłaś mnie. Czułem - szepnął i pocałował ją w usta. - Ja również to zrobiłem, wiesz?

- Tak. Czy takie zachowanie jest normalne? - spytała z ociąganiem.

- Oczywiście, pod warunkiem, że nam obojgu sprawia przyjemność - odparł, całując jej przymknięte powieki. Pod wpływem tej delikatnej pieśczoły przeszył ją znów cudowny dreszcz rozkoszy. Jęknęła głośno.

- Nie ma końca... - szepnęła z trudem.

- To niezwykły stan - odparł, a gdy ponownie zadrżała, roześmiał się cicho. - Teraz wystarczy poruszyć się lekko i znów czujemy się jak w niebie. - Westchnął spazmatycznie. - Jestem samolubny i chciałbym przeciągnąć tę noc w nieskończoność, ale ty będziesz potem cierpieć, więc trzeba powiedzieć sobie: dość. - Pocałował ją znowu i odsunął się. Czuł, że w tym momencie skrzywiła się lekko. Przez moment leżał na plecach i przeciągał się leniwie.

Było zupełnie ciemno, więc go nie widziała. Usłyszała tylko szelest wkładanej szaty. Szkoda, że nie mogą odpoczywać nadzy i spleceni ciasnym uściskiem, ale Philippe nie potrafił zapomnieć o swoich bliznach, a Gretchen przyjęła to do wiadomości. Podał jej liliową galabiję, pomógł się ubrać i gestem zachęcił, żeby wstała. Wziął ją na ręce i zaniósł do sąsiedniej sypialni, położył na pościeli i ukląkł obok niej. W przyćmionym świetle lampy zapalanej na zewnątrz namiotu przyglądał się uważnie jej twarzy.

- Dlaczego nie możemy spać razem przez całą noc?

- Mam koszmary - odparł, dotykając jasnych włosów. - Przy mnie nie zmrużyłabyś oka.

- Jesteś moim mężem - zaczęła, ale przerwał jej pospiesznie:

- Tylko w Qawi - przypomniał rzeczowo i zerwał się na równe nogi. - Musimy zmienić plany. Rano wyruszymy w drogę powrotną do pałacu. Brianne będzie tam czekać. Muszę się upewnić, że nic jej nie grozi i wzmocnić strażę. Przylatuje wcześniej, niż oczekiwałem.

- Co z Brauerem? - wypytywała zaniepokojona.

- Zbombardowaliśmy jego kwaterę. Stracił wielu ludzi i prawie cały sprzęt. Nawet gdyby chciał znów narobić zamieszania na granicy, brak mu teraz sił i środków. Musi zgromadzić pieniądze i zebrać nowy oddział. Na razie możemy czuć się względnie bezpieczni. Mój stryj jest w areszcie domowym, a jego protegowani siedzą w więzieniu.

- Kazałeś ich zamknąć?

- Tak. Staną przed sądem. To samo czeka mego stryja, jeśli znów popełni błąd.

- Pomyślałeś o wszystkim. A ja sądziłam, że trzeba cię chronić - powiedziała, układając się wygodnie na miękkim posłaniu.

- Kto wie, może tak jest w istocie? - mruknął cicho. - Jestem pod twoim urokiem. Nie mam pewności, czy dobrze na tym wyjdę.

- O czym ty mówisz? Jaki urok?

- Kiedy trzymam cię w ramionach, tracę rozum i nie wiem, co się ze mną dzieje - odparł szczerze. - Nie po to cię tutaj przywiozłem.

- Gdybyś tego nie zrobił, nadal zadawałbyś sobie pytanie, co jesteś wart jako mężczyzna.

Gdyby teraz zobaczyła wyraźnie jego twarz, pewnie byłaby przerażona. Uświadomił sobie, że obsesyjnie pragnął się sprawdzić w łóżku i dowieść swojej męskości. To uporczywe pragnienie stało się powodem jego słabości, odczuwanej po raz pierwszy w niełatwym życiu. Ta dziewczyna zyskała nad nim ogromną władzę i bez trudu mogłaby rzucić go na kolana. Zdawał sobie sprawę, że nie brakuje kobiet gotowych taką sytuację wykorzystać do swoich celów. Nie przypuszczał, aby Gretchen miała takie skłonności, ale życie jest pełne niespodzianek. Jak mógł bez reszty ulec pożądaniu i całkiem się zapomnieć w akcie miłostki. Poszedł z nią do łóżka, ale powinien był kontrolować sytuację, zamiast szukać ekstazy. Musiał ochłonąć po niedawnych przeżyciach, spokojnie uporządkować myśli i odczucia.

- Chyba nie żałujesz tego, co się stało? - zapytała, odgadując natychmiast, że popadł w przygnębienie. Philippe unikał jej wzroku.

- Sam nie wiem - odparł niechętnie. - Tamte chwile mogą być dla mnie przekleństwem albo błogosławieństwem. Dobranoc.

Wyszedł niespodziewanie, nie odwracając głowy, a Gretchen skuliła się pod prześcieradłem. Ciekawe, czemu nagle stał się taki obcy. Tej nocy razem przeżywali cudowne chwile, lecz potem, zamiast poczucia bliskości, pojawił się chłód. Coś się nagle między nimi zmieniło. Pewnie nadal mogliby się kochać, ale miała wrażenie, że Philippe umyślnie odsuwa się od niej. Może wcale nie chciał jej uwieść, skoro Brianne miała złożyć mu wizytę, lecz uległ cielesnym popędom i teraz miał o to do siebie pretensję? Wygląda na to, że sprzeniewierzył się dawnej miłości. Kto wie, co jest prawdą? Czas pokaże. Teraz jednak Gretchen czuła się odrzucona i upokorzona bardziej niż kiedykolwiek w swoim trudnym życiu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego ranka Philippe znów miał na sobie obszerne, białe szaty, które rozwiewał pustynny wiatr. Strój nadawał mu wygląd zahartowanego w bitwach pustynnego wojownika. Nadal unikał Gretchen, chociaż był wobec niej bardzo uprzejmy i pełen kurtuazji. Nie zaproponował jednak, żeby jechali na jednym koniu, tylko kazał osiodłać dla niej dorodnego wierzchowca. Landrower został wysłany przodem. Kierowca miał pojechać na lotnisko, odebrać przylatującą ze znacznym wyprzedzeniem panią Hutton i zawieźć ją do pałacu.

Kiedy dotarli do pałacu, goście już się rozlokowali w swoich komnatach. Brianne wyszła na spotkanie Philippe'owi, który wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie, chwycił jej dłonie i ucałował czule. Następnie pochylił się nad dwuletnim chłopczykiem stojącym obok ślicznej, jasnowłosej mamy, i wziął go na ręce. Gretchen oceniła, że jest chyba rówieśnicą Brianne Hutton. Na widok jej twarzy wstrzymała oddech. Były tak podobne, że można by je uznać za siostry. Stała bez ruchu, nie mogąc wykrztusić słowa, a tymczasem Philippe wszedł z gośćmi do środka, nie zaszczycił jej ani jednym spojrzeniem.

Zajął się nią Hassan, a w kobiecej części pałacu czekała już Leila. Ochroniarz został pod drzwiami i najwyraźniej nie zamierzał się stamtąd ruszać.

- Sytuacja nadal jest groźna - wyjaśniła Leila, gdy zamknęły się w zbyt kownych komnatach. - Sadi polecił Hassanowi nie odstępować mojej pani na krok, dopóki Brauer jest na wolności.

- Podobno zagrożenie nie jest tak wielkie, bo Philippe kazał zbombardować kwaterę najemników - odparła Gretchen.

- To prawda, ale lepiej przesadzić z ostrożnością, niż czegoś zaniedbać. - Leila rzuciła jej badawcze spojrzenie. - Moja pani wiele ostatnio przeżyła - dodała cicho, a zawstydzona Gretchen odwróciła wzrok. Leila uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie: - Już dobrze, dobrze. Wszystkie kobiety dowiadują się w ten sposób, jakie są pragnienia ich mężczyzn. Właściwie nie ma się czego bać, prawda?

- Oczywiście - przytaknęła Gretchen z nieśmiałym uśmiechem.

- Sadi jest w tej dziedzinie bardzo doświadczony paplała Leila, rozpakowując bagaże Gretchen i chowając rzeczy do szuflad. - Kiedy był młodszy, stale otaczały go piękne panie. W ostatnich latach stał się ostrożniejszy i bardzo wybredny, zwłaszcza odkąd wstąpił na tron. Z pewnością potrzebuje dziedzica. I żony Amerykanki - dodała z uśmiechem. - To bezcenny

atut, gdy przyjdzie mu negocjować z waszym rządem. Sądzę, że dzięki tobie, pani, łatwiej uzyska pomoc i środki niezbędne do unowocześnienia Qawi.

- Pani Hutton także pochodzi z Ameryki - odparła Gretchen, siadając w niskim fotelu i pocierając dłońmi rzeźbione poręcze.

- Ale to mężatka - odparła zbita z tropu Leila. - Jest tu gościem i nie sposób porównywać jej znaczenia z pozycją mojej pani, żony szejka!

- Jesteś tego pewna? - odparła z roztargnieniem Gretchen i westchnęła głęboko. Odrzuciła głowę na oparcie i przymknęła powieki.

Oczyma wyobraźni znów widziała swego męża odchodzącego z Brianne i jej synem. Powracały do niej oderwane zdania i fragmenty rozmów, które wprawiały ją w coraz większe przygnębienie. Wspominała rozmaite uwagi Philippe'a dotyczące młodej żony Pierce'a Huttona. Kiedy przekonała się naocznie, że są do siebie ludzako podobne, doszła do wniosku, że Philippe potrzebował jej wyłącznie po to, żeby zaspokoić pożądanie, którego nie mógł ujawnić wobec Brianne. Z ponurą miną zastanawiała się, czy w chwilach najwyższej ekstazy nie była dla niego tylko cieniem upragnionej kobiety. To by wyjaśniło dziwne poczucie obcości, które nastąpiło po miłosnym akcie, oraz jawne lekceważenie, jakie okazał jej Philippe, gdy na horyzoncie pojawiła się Brianne. Przeczucie podpowiadało Gretchen, że to nie jest odosobniony incydent. Obawiała się, że nadal będzie traktowana w ten sposób.

I tak się stało. Powitanie z Brianne było jedynie wstępem, a kolejne dni i tygodnie jej pobytu wyglądały podobnie. Philippe bez trudu znalazł czas, żeby pokazać miłemu gościowi swój szejkanat i pojechać do miejsc, które Gretchen także pragnęła zobaczyć. Brianne nie rozstawała się z dzieckiem, a Philippe traktował chłopca jak własnego syna.

Wobec Gretchen był uprzejmy i bardzo życzliwy, jakby była pośledniejszym gościem w jego pałacu. Nawet za dnia nie pojawiał się w jej komnatach. Czowała się jak rezydentka pozbawiona wszelkiego znaczenia, której obecność jest zaledwie tolerowana. Była obiektem eksperymentu, który miał dowieść, czy Philippe zdoła sprawdzić się jako mężczyzna. Doświadczenie wypadło pozytywnie, więc próbował teraz zauroczyć panią Hutton, o której plotkowano, że niedawno rozstała się z mężem. Zapewne doszło między nimi do kłótni, gdy postanowiła schronić się pod opiekuńcze skrzydła Philippe'a.

Gretchen przekonała się wkrótce, że stary szejka, dawniej wrogo do niej nastawiony, zmienił się niespodziewanie w prawdziwego sojusznika. Pewnego dnia zaprosił ją do swojej cieplarni i z zapałem tłumaczył, jak należy pielęgnować orchidee. Była pojętną uczennicą i pilnie słuchała jego wykładu na temat różnych odmian, ich kwiatostanów oraz warunków,

jakie trzeba stworzyć poszczególnym okazom. Gretchen bardzo się zdziwiła, gdy okazało się, że orchidee rosną na podłożu z kory wielu drzew, a nie w doniczkach z ziemią.

- Każda jest inna - zauważyła, ostrożnie dotykając opuszkami palców delikatnego kwiatu phalanopsis. - Zupełnie jak ludzie.

- Moim zdaniem każda ma inną osobowość - dodał stary szejk z ciepłym uśmiechem. - Zdarzają się wśród nich okazy nieśmiałe, które trzeba długo przekonywać, żeby odważyły się zakwitnąć. Bywają też prawdziwe gwiazdy spragnione uznania. Znam też samotnice, które zazdrośnie chowają swe kwiaty wśród liści. Dla mnie są fascynujące.

- Jestem tego samego zdania - przyznała, z czułością spoglądając na piękne kwiaty. - Wszystkie mają imiona?

- Co do jednej - odparł. - Niektóre są tak wiekowe, że można by je uznać za moje dzieci. Młodsze nazywam wnukami - odparł, śmiejąc się cicho.

Spacerowali wśród półek z doniczkami, otoczonych mnóstwem innych roślin, wśród których przeważały tropikalne i subtropikalne drzewka i krzewy. Większość ogrodników mogła tylko marzyć o równie wspaniałej cieplarni.

Stary szejk popatrzył na białą galabiję, spowijającą całą postać Gretchen. Jasne włosy miała okryte kapturem. Potrafiła się dostosować, a ten strój bardzo do niej pasuje, pomyślał. Zamiast wydawać rozkazy i zmuszać ludzi, żeby spełniali jej zachcianki, przekonuje ich i dyskretnie zachęca, więc sami odgadują jej życzenia. Wobec służby jest łagodna, ale stanowcza. Kucharz przygotowuje dla niej różne smakołyki. Krawcowa z wyjątkową starannością szyje dla niej ubrania. Dostawca słodczy wysyła jej próbki wybornych czekoladek, a piekarz specjalnie dla niej przygotowuje nadziewane bułeczki i paszteciki, i wkłada je do ozdobnych pudełek przewiązanych wstążką. Odkąd umarła babka starego szejka, nie było w pałacu kobiety równie wielbionej przez służbę. Domyślał się jednak, że Gretchen nie jest szczęśliwa.

Dotarli do niego plotki o nocy poślubnej. Nie było też wątpliwości, że małżeństwo zostało skonsumowane. Nawet gdyby Philippe nie był w stanie dać jej dziecka, ich pożycie wyglądałoby całkiem normalnie. To wspaniała nowina dla starca, od lat cierpiącego z powodu impotencji syna. A jednak coś się popsło w młodym stadle, bo Philippe każdą wolną chwilę spędzał w towarzystwie pani Button, zaniedbując młodą żonę.

- Czemu on cię zostawia i włóczy się z tą paryską przybłądą? - zapytał nagle.

Zatrzymała się, stanęła z nim twarzą w twarz i odparła szczerze:

- Ponieważ ją kocha.

- Nie przyszło ci do głowy, że w takiej sytuacji powinnaś z nią walczyć?

- Jak? - zapytała, uśmiechając się smutno. - Brak mi towarzyskiej ogłady, a poza tym Brianne jest ode mnie ładniejsza i łączy ją z Philippe'em wiele wspomnień. Kiedy ją ujrzałam, przestałam dla niego istnieć. Tak jest od wielu tygodni. - Utkwiła spojrzenie w podłogę z ceramicznych płytek i mimo woli pomyślała, że taka posadzka zapewne przyjemnie chłodzi stopy, ale nie śmiała chodzić po pałacu boso. - Z pewnością spostrzegł pan, że on ją uwielbia - dodała, jakby postanowiła zadać sobie kolejny cios.

- Philippe bardzo cię pragnie - oznajmił śmiało stary szejk, nie zwracając uwagi na jej marudzenie. - To broń, którą musisz się posłużyć.

- Pożądanie nie wystarczy. - Nadal unikała jego wzroku. Popatrzyła na smukłą palmę w ozdobnej doniczce. - Chyba powinnam wrócić do domu.

- Co?

- Sam pan widzi, że nic z tego nie będzie - tłumaczyła, bezradnie rozkładając ręce. - Postawmy sprawę jasno. Philippe nie ożeniłby się ze mną, gdyby nie żądza oraz jego skrupuły. Nabral pewności, że jest stuprocentowym mężczyzną, więc pewnie zastanawia się, jaka powinna być jego prawdziwa małżonka. Proszę mi wierzyć, w tej konkurencji nie mam żadnych szans.

- Pani Hutton jest mężatką i ma syna - upierał się starszy pan.

- Ale okropnie pokłóciła się z mężem i dlatego przyjechała do Qawi - odparła, przekazując plotki usłyszane od Leili. - Philippe ją kocha i nie jest jej obojętny. - Wzruszyła ramionami. - Jak mam o niego walczyć?

- Jeśli go naprawdę kochasz, powinnaś spróbować - zachęcał.

- A jeśli przegram?

- Gdybyś przegrała... pomogę ci stąd wyjechać, ale pod jednym warunkiem: musisz zabrać Hassana - dodał tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Brauer ma długie ręce. Nawet w Stanach mógłby cię dopaść. Mój syn jest wprawdzie niewdzięcznikiem, ale z pewnością nie życzyłby sobie, aby groziło ci niebezpieczeństwo.

- Hassan będzie tęsknić za krajem - protestowała.

- Taki stawiam warunek.

- W takim razie zgoda. - Westchnęła ciężko.

- Nie zapominaj, młoda damo, że najpierw musisz podjąć ostatnią próbę ratowania swojego małżeństwa przypomnieli. - Jak mógłbym rozstać się dobrowolnie z jedyną osobą w tym pałacu, która jest zainteresowana moimi wykładami na temat pielęgnowania orchidei!

- To jest uczciwe postawienie sprawy - odparła roześmiana. - Bardzo panu dziękuję.

Starszy pan jakby od niechcenia wzruszył ramionami i sięgnął po sekator.

- Uważaj. Teraz powiem ci, jak należy je właściwie przycinać.

Pod wieczór Gretchen wzięła kąpiel z dodatkiem wschodnich wonności i zrobiła się na bóstwo. Włożyła ulubioną szatę z pięknego błękitnego aksamitu ozdobionego złotą plecionką. Rozpuściła jasne włosy, zmówiła krótką modlitwę, włożyła domowe pantofelki na wysokich obcasach i pełna nadziei pomaszerowała do komnat swego męża. Jej serce biło jak oszalałe, bo postanowiła uwieść Philippe'a. To akcja ostatniej szansy, pomyślała. Czuła się jak teksański strażnik, wyruszający samotnie przeciwko grupie przestępców. Miała wejść do jaskini Iwa i oczarować go nieodpartym wdziękiem. Była pewna, że Philippe jej pragnie, bo przy niej stał się znowu mężczyzną i zaspokoił pożądanie. Inne kobiety okazały się tu bezsilne, a więc punkt dla niej, chociaż o miłości nie było mowy.

Oddychała z trudem, skręcając w szeroki korytarz. Zobaczyła podwójne drzwi wiodące do jego komnat, strzeżone przez dwu uzbrojonych wartowników. Jeden z nich natychmiast ją zatrzymał. Westchnęła bezradnie, gdy popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Czego tu chcesz? - zapytał. - Nikt tu nie wchodzi bez zaproszenia. Dotyczy to zwłaszcza nieodpowiednio ubranych kobiet, wystawiających na pokaz grzeszne ciała!

Przemawiał do niej pogardliwie jak do głupiej nałożnicy. A zatem nie wiedział, kto przed nim stoi. Gretchen także nie miała pojęcia, co to za facet, ale swoją pompatyczną gadaniną doprowadził ją do furii. Dlaczego Philippe trzyma tu wartownika, który nie potrafi nawet rozpoznać jego żony?

- Chcę się widzieć z mężem - powiedziała śmiało.

- Skąd pewność, że go tu zastaniesz? Jego nazwisko? - spytał drwiąco.

- Philippe Sabon - odparła lodowatym tonem. Zielone oczy załśniły gniewnie. Strażnik wyraźnie jej nie ufał.

- Bzdura. Sadi nie jest żonaty.

- Wręcz przeciwnie. - Oczy Gretchen płonęły zielonym ogniem. - Zawołaj go! Rusz się, gamoni!

- No dobrze. Ale czekaj tutaj - odparł ze złością.

Na odchodnym zerknął na nią podejrzliwie, zmarszczył brwi i wszedł do komnaty. Drugi strażnik stał na baczność.

Z pokoju dobiegły stłumione głosy; po chwili wyszedł stamtąd strażnik, a za nim Philippe. Miał na sobie tradycyjny strój, w którym wydał jej się obcy i bardzo przystojny. Uniósł głowę i popatrzył na Gretchen, jakby jej nie poznał. Z komnaty dobiegł odgłos kroków i w otwartych drzwiach stanęła Brianne Hutton, ubrana w elegancki kostium z zielonego

jedwabiu. Ubranie nie było zmięte, ale jej obecność w prywatnych apartamentach szejka o tak późnej porze wiele mówiła o ich zażyłości.

- Czego chcesz, Gretchen? - zapytał oficjalnym tonem. - Na dyktowanie jest chyba za późno.

Szukała w jego twarzy oznak pamięci o doznaniach, które ich połączyły. Zbita z tropu jego uwagą, wykrztusiła z trudem:

- Jakie dyktowanie?

- Panno Brannon, sekretarce dyktuje się listy, ale nie pora na to - dodał cierpko. Wydawał się zakłopotany i unikał jej wzroku.

A więc na tym polegała jego mistyfikacja. Postanowił udawać, że nie są małżeństwem, że nadal jest kawalerem. Nic dziwnego, że z jego rozkazu wartę pełnili ludzie, którzy dotąd nie widzieli jej na oczy. Chciał mieć pewność, że nie wtargnie nieproszona do jego komnat. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie dał jej ślubnej umowy. Nie ma żadnego dokumentu potwierdzającego zawarcie małżeństwa. Mogli o nim świadczyć nieliczni wysłannicy pustynnych plemion, sami nowożeńcy, obecni na ceremonii ochroniarze oraz Leila. Ci ostatni, rzecz jasna, będą mówić tak, jak każe im szejka.

Gretchen dumnie uniosła głowę. Serce miała złamane, ale nie zamierzała błagać, aby jej nie odtrącał. Skoro woli Brianne, nie warto o niego walczyć.

- Oczywiście, *monsieur* Sabon, jestem pańską sekretarką. I niczym więcej - odparła spokojnie. Miała wrażenie, jakby zmrużył oczy. - Proszę wybaczyć, że wtargnęłam tu nieproszona. Chciałam tylko poinformować, że wracam do domu i będzie pan musiał znaleźć kogoś na moje miejsce. Dobranoc!

Powiedziała swoje i odwróciła się do młodego strażnika, który zachował się wobec niej dość protekcyjnie, a teraz obserwował uczestników tej sceny z wyrazem lekkiego oszołomienia. Ze złością rzuciła mu w twarz kilka arabskich przekleństw, których nauczyła się po powrocie z pustyni, żeby rozbawić swego męża. Najwyraźniej były to mocne słowa, bo młodzieniec zbladł. Usłyszała je od starego szejka, który był niezwykle wymowny, gdy służący zbił doniczkę z orchideą i uszkodził roślinę. Starszy pan wielokrotnie powtarzał obelżywe słowa, które dzięki temu wryły się jej w pamięć. Kochany staruszek naprawdę uwielbiał te swoje kwiatki.

- *Mademoiselle!* - zachnął się dotknięty do żywego strażnik. Całkiem zgłupiał, bo dotąd żadna kobieta nie mówiła do niego tak plugawym językiem.

- Dla ciebie *madame*, jełopie! - wrzasnęła Gretchen, rozwścieczona ogromem upokorzeń.

Jak śmiało kwestionować jej status mężatki! Co za obelga! Uniosła nogę w domowym pantofelku, z całej siły uderzyła obcasem w śródstopie wartownika i pobiegła w głąb korytarza.

Philippe uniósł brwi i gapił się, zdumiony tym wybuchem skrywanego temperamentu jasnowłosej złośnicy. Spokorniały wartownik podskakiwał na jednej nodze, starając się zachować resztki godności. Philippe kazał mu wrócić do koszar i rzucił karcące spojrzenie jego koledze, który z trudem powstrzymywał śmiech, a ten natychmiast spoważniał i wyprężył się słuźbiście.

Philippe wrócił do pokoju i zamknął drzwi. Krępowała go obecność Brianne. Nie był z siebie zadowolony, bo źle postąpił. Był wstrząśnięty intensywnością pożądania, które wzbudziła w nim Gretchen. Nawet w czasach pierwszej młodości kochał się w milczeniu, bez jęków oraz innych ekscesów, natomiast kiedy był z Gretchen, mówił i robił takie rzeczy, które wcześniej były dla niego nie do pomyślenia. Przy niej czuł się słaby i wrażliwy, teraz był zbity z tropu. Nie potrafił całkiem jej zaufać i podświadomie żywił obawę, że wykorzysta jego słabości dla osiągnięcia swoich celów. Kobiety uwielbiają rzucać mężczyzn na kolana i traktować jak swoje zabawki. W przeszłości znał wiele pań, które chętnie by go omotały, żeby spełnić własne zachcianki. Tymczasem przez kilka tygodni, które minęły od powrotu z oazy, żona nie próbowała go kokietować, nie stawiała żądań, nie flirtowała, żeby postawić na swoim. Było mu wstyd, bo ją zaniedbywał, i dlatego trzymała się na uboczu. Dziś zachował się skandalicznie. Przecież wiedział, że Brianne Hutton darzyła go wyłącznie przyjaźnią, bo kochała swego męża. Od pierwszego dnia lamentowała jak wdowa z powodu niedawnej kłótni.

Jej nagłe przybycie oraz nieudany zamach w Paryżu bardzo go poruszyły. Kiedyś rzeczywiście ją kochał. Unikał Gretchen, bo łatwiej mu było śnić na jawie i wmawiać sobie, że Brianne i jej synek to jego najbliższa rodzina. Ale to urojenie było nie do zrealizowania. Dziś odzyskał nagle rozsądek i doznał wstrząsu. Gretchen zamierzała go opuścić, więc zostanie sam, ponieważ Brianne Hutton nie zamierzała się z nim związać. Nadal ją uwielbiał, ale była mężatką, a on się ożenił. Dawniej wydawało się, że mogą być razem, ale nic z tego nie wyszło. Nieustannie wspominała swojego Pierce'a i powtarzała, że jest nieszczęśliwa, bo rozstali się w gniewie. Pojawiła się także inna trudność. Kiedy ją sobie uświadomił, był wstrząśnięty. Problem w tym, że nie pragnął Brianne. W jej obecności nie odczuwał przyjemnego dreszczu podniecenia, a tymczasem każda pieszczota Gretchen wzbudzała potrzebę największej bliskości. Dziwił się, że potrzebował kilku tygodni, aby zrozumieć, że

krzywdzi otaczających go ludzi. Dziś przebrał miarę i popełnił karygodny błąd, wypierając się zawartego małżeństwa i pozwalając Gretchen odejść.

- Dlaczego jako sekretarkę zatrudniłeś Amerykankę? - spytała zaciekawiona Brianne.

Przegarnął dłonią gęstą, ciemną czuprynę i westchnął ciężko. Popatrzył na nią z ponurą miną i skrzywił twarz.

- Popełniłem w życiu sporo błędów, ale dziś zachowałem się wyjątkowo idiotycznie - wyznał ze smutnym uśmiechem. - Gretchen nie jest moją sekretarką, tylko żoną.

- Naprawdę? - Jej twarz wyrażała radość, zaskoczenie i rozbawienie. Niewiele brakowało, żeby pojawił się na niej wesoły uśmiech.

Zakłopotany wzruszył ramionami i dodał:

- Pochodzi z Teksasu. Jeździ konno jak woltyżerka i strzela z colta kaliber 45 jak prawdziwa kowbojka.

- Roześmiał się cicho. - Niedawno pogalopowała za mną na wojenną wyprawę i przypadkowo wpadła w ręce wroga, bo uznała, że trzeba mnie chronić.

- Niezwykła dziewczyna - stwierdziła przyjaźnie Brianne. - Naprawdę próbowała cię chronić?

- Widywała mnie zawsze w garniturach, więc uznała, że jestem... Brakuje mi słowa... Że jestem mięczakiem.

- Niewiarygodne! - Brianne zachichotała.

- Ojciec ją uwielbia - dodał. - Pozwala jej nawet dotykać swoich orchidei. Ja nie dostąpiłem nigdy tego zaszczytu. - Nagle spoważniał. - Nie powinna teraz wyjeżdżać, to zbyt niebezpieczne. Twój ojczym przebywa na wolności i z pewnością szykuje jakiś podstęp.

- W takim razie biegnij do niej i spróbuj przekonać, żeby zmieniła decyzję - zachęciła Brianne z łagodnym uśmiechem.

- Trzeba sporej odwagi, żeby się na to zdecydować - odparł z naciskiem. - Obawiam się, że mój wartownik będzie kulał co najmniej tydzień. Ciekawe, jak szybko dojdzie do siebie po wysłuchaniu obelg, którymi go obrzuciła. - Wybuchnął śmiechem. - Gdzie ona się nauczyła tak kląć? Taki archaiczny język... Podejrzewam, że ojczulek dał jej kilka lekcji, ale nie wyjaśnił, co znaczą te wyrazy. Muszę odbyć z nim poważną rozmowę.

- Miałam nadzieję, że pewnego dnia spotkasz dziewczynę, która... zaakceptuje cię takim, jakim jesteś, i potrafi dać ci szczęście - zapewniła Brianne, patrząc na niego z wielką życzliwością. - Jesteś moim przyjacielem, więc zależy mi na tobie.

- Z wzajemnością - zapewnił, ujął jej dłoń i pocałował czule. - Zawsze tak będzie. Wracając do Gretchen... Przy niej... nic mi nie brakuje - dodał z wahaniem, bo dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Philippe! Naprawdę? - zawołała uradowana.

- Póki jej nie spotkałem, nie wierzyłem w cuda - tłumaczył z uśmiechem. - Zachowałem się wobec niej okropnie, ale z samym sobą nie mogę dojść do ładu i stąd to wszystko. Postaram się ją ułagodzić. Wybacz, ale zostawię cię samą.

- Nie szkodzi. - Roześmiała się cicho. - Chyba zadzwonię do Pierce'a, żeby sprawdzić, czy jest mu tak ciężko jak mnie. Jeśli mnie ładnie przeprosi, wrócę do domu.

- Z grupą moich ochroniarzy - dodał stanowczo Philippe. - Nie pozwolę ci na żadne ryzyko.

- Powiem o tym Pierce'owi. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Dzięki, Philippe. Byłeś aniołem dla mnie i Edwarda.

- Bardzo lubię twojego synka. Chciałbym... - Znowu wzruszył ramionami. - Nie można oczekiwać zbyt wiele. Jeden cud to aż nadto. Staję się zachłanny, a to błąd.

- Życie mnie nauczyło, że cuda zdarzają się wówczas, gdy ich w ogóle nie oczekujemy - zapewniła. - Lekarze nie są przecież nieomylni. Sam się zresztą o tym przekonałeś, zgadłam? - dodała roześmiana, a Philippe zachichotał, wyszedł z pokoju i ruszył w stronę kobiecego skrzydła pałacu. W korytarzu spotkał wystraszoną i zmartwioną Leilę.

- Sadi! - zawołała, podbiegając do niego. - Pani się pakuje. Próbowałam jej przemówić do rozumu, ale nie słucha i tak klnie, że wstyd tego słuchać...

- Ciesz się, że nie jesteś na miejscu mojego ochroniarza - mruknął ironicznie. - Tak go kopnęła, że biedak kuleje.

- Chyba zwariowała! - Leila była poważnie zaniepokojona.

- Porozmawiam z nią. Idź spać - polecił.

- Sadi, przecież...

- Już cię nie ma.

Ukloniła się i odeszła bez słowa.

Gdy Philippe stanął przed drzwiami pokoju Gretchen, wyszedł stamtąd jego ojciec, który obrzucił go karcącym spojrzeniem.

- Chodź i zobacz, co narobiłeś! - pieklił się po arabsku. - Postanowiła wyjechać i to jest twoja wina!

- Łatwo ci udawać sprawiedliwego! A kto ją nauczył przekleństw, które wprawiły w osłupienie mojego ochroniarza?

Starszy pan odchrząknął.

- Pewnie słyszała, jak krzyczałem na służącego, który rozbił doniczkę i unicestwił jedną z moich wnuczek. Nie tłumaczyłem tego na angielski.

- A powinieneś. Wkrótce służba będzie o tym plotkować. Do tego ze złości kopnęła ochroniarza! Biedak ledwie chodzi.

- Naprawdę? Za co oberwał? - wypytywał starszy pan z lisią miną.

Teraz Philippe odchrząknął niepewnie.

- Ten głupek... zatrzymał ją przy moich drzwiach i nie chciał uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem.

- Trudno go za to winić, skoro więcej czasu spędzasz z tą paryską przybłądą niż ze swoją ślubną żoną. - Stary szejk wskazał uchylone drzwi. - Nie udało mi się odwieść jej od wyjazdu, ale zażądałem, aby wzięła ze sobą Hassana, skoro chce stąd zwiać.

- Nie ma mowy o ucieczce! - zapewnił stanowczo.

Ojciec mierzył jego postać krytycznym spojrzeniem: biała aba haftowana złotem, a pod nią tylko thobe i chalwar.

- Lepiej włóż jakąś starą zbroję, nim staniesz twarz w twarz z żoną - mruknął ironicznie i odszedł.

Philippe odetchnął głęboko i otworzył drzwi. Na wielkim łóżku z baldachimem leżało kilka zachodnich strojów. Barwne galabije, chusty i aksamitne aby, które podarował Gretchen, piętrzyły się na krzesłach stojących przy oknie. Długie jasne włosy był rozpuszczone i opadały jej na twarz, gdy mamrocząc półgłosem, rozwiązywała pasek jedwabnego szlafroka. Rzuciła go na stos niechcianych rzeczy.

Gdy Philippe wszedł do sypialni, popatrzyła na niego z jawną wrogością.

- Przyszedłeś się pożegnać? - spytała lodowatym tonem. - Dobra. Miejmy to za sobą. Cześć.

Zawahał się, niepewny, jak zareagować.

- Brauer jest na wolności. Gdzieś się przyczaił. To nie jest dobra pora na podróż.

- Zabieram ze sobą Elvisa. On mnie obroni - burknęła niechętnie.

- Nie dostaniesz ode mnie zgody na opuszczenie Qawi. Każę cię zatrzymać na lotnisku. - Skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał jej się z miną tryumfatora.

- Mam pozwolenie twego ojca. Dał mi wszystkie dokumenty niezbędne do wyjazdu, więc twoje zdanie się nie liczy. Polecę jego prywatnym odrzutowcem - usłyszał w odpowiedzi. Oczy zabłyśły mu gniewnie.

- Jesteś moją żoną!

- Ach tak! Nagle sobie o tym przypomniałeś? - spytała kpiąco i podeszła bliżej, przyglądając mu się roziskrzonymi oczyma. - Przed chwilą byłam zwykłą sekretarką. To twoje własne słowa!

- Wszystko ci wyjaśnię - zaczął, krzywiąc twarz.

- Nie ma potrzeby. A teraz wyjdź z mojego pokoju!

- Proszę mną nie komenderować w moim pałacu, *madame!* - Philippe uniósł dumnie głowę i oddychał głęboko, żeby się uspokoić, ale drżał z tłumionej złości.

- Jestem w swoim pokoju i chcę zostać sama!

- Wyjdę, kiedy będę chciał - burknął. - Na razie wolę zostać!

- Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, zaraz... Philippe! - krzyknęła głośno, bo porwał ją na rękę, odwrócił się, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

- Puść mnie! - wołała, okładając go pięściami. - Wracam do domu. Wyjdę za naszego zarządcę i będę z nim żyła długo i szczęśliwie, słyszysz?

Nie zwracając uwagi na te wrzaski, zaniósł ją do łóżka i rzucił na pośłanie. Z tryumfalnym uśmiechem rozdarł suknię, którą miała na sobie, i białą bieliznę. Patrzył na obnażone ciało, dygocąc z gniewu i zazdrości o bezimiennego mężczyznę z Teksasu, którego Gretchen dawniej kochała. Jej własne słowa!

- Ty potworze! - wyjąkała, pospiesznie owijając się prześcieradłem. - Jak śmiesz!

- Jesteś moją żoną - odparł chrapliwym głosem. Ogarnięty żądzą drżał cały.

- Przed chwilą byłeś innego zdania - odparła z trudem, bo wargi drżały jej z gniewu. Patrzyła na górującego nad nią męża. - Mogę wiedzieć, co ty knujesz? - zapytała wrogo.

Uśmiechnął się i odparł lodowatym tonem:

- Nie mam już nic do stracenia, więc pokażę ci, kogo poślubiłaś - odparł głucho. - Uważasz mnie za potwora? Doskonale, zaraz się przekonasz, że to właściwe określenie. Zanim mnie opuścisz, udowodnię ci, że to prawda.

Odwrócił się i szybko zdjął abę oraz thobe, zrzucił buty i rozpiął jedwabne spodnie. Gdy nagi stanął znów twarzą w twarz z żoną, jasne blizny na jego ciele wyraźnie odcinały się od oliwkowej skóry po lewej stronie. Gretchen wpatrywała się w niego z nie ukrywaną ciekawością, ale nie widziała głębokich szram. Oglądała czasami zdjęcia nagich mężczyzn, lecz żaden z modeli nie mógł się równać z jej mężem. Jego wady i ułomności w ogóle jej nie obchodziły. Usiadła na łóżku i wpatrywała się w niego z otwartą buzią.

- I co ty na to? Okropne, prawda? - rzucił z wściekłością, przyciskając do bioder zaciśnięte pięści.

Gretchen zamknęła usta, z trudem przełknęła ślinę i popatrzyła mu w oczy.

- Nic dziwnego, że za pierwszym razem trochę bolało - powiedziała lekko schrypniętym głosem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Co powiedziałaś? - Philippe rozluźnił mięśnie i wyprostował palce, ale minę miał ponurą.

- Przecież słyszałaś. - Odchrząknęła niepewnie. Popatrzyła wymownie na jego biodra i okropnie się zarumieniła. Philippe zmienił się na twarzy, podszedł do Gretchen, usiadł obok niej na łóżku i próbował zajrzeć w zielone oczy.

- Chciałem, żebyś zobaczyła moje blizny - zaczął niepewnie.

- Aha. - Gdy popatrzyła na niego, spojrzenie miała łagodne i zaciekawione. - Dlaczego?

- Uznałem, że to będzie stosowna kara za twoje chimery. - Roześmiał się mimo woli.

- Co ty gadasz? Nic z tego nie rozumiem? Najwyraźniej mówiła szczerze. Zerknął na jej usta, pochylił głowę i łagodnie zachęcił, żeby rozchyliła wargi. Z wahaniem dotknęła jego torsu i wsunęła palce w gęste włosy. Philippe zadrżał, popchnął ją lekko na posłanie i położył się obok. Objęła go ramionami i wolno przesunęła kolaniem po jego nodze.

Ujął dłońmi zarumienioną twarz żony i pocałował w usta. Wsunął język między jej wargi, a pocałunek stawał się coraz namiętniejszy. Ocierał się o Gretchen jak wytrawny kusiciel, szeptał jej do ucha słodkie świństwa. Znów czuł się jak nastolatek, nienasycony i żądny eksperymentów. Był cierpliwy, jakby miał do czynienia z niewinną dziewczyną, która oddaje się po raz pierwszy. Rozpalał ją powoli, aż sama błagała, żeby dał jej rozkosz. Czas płynął wolno, a im się nie spieszyło. Gdy zamknął ją w ramionach i wszedł w nią nareszcie, poczuła szaloną ulgę i niewyobrażalną radość. Gdy odpoczywali wyczerpani i mocno przytuleni, wsłuchiwał się w jej urywany oddech. W końcu uniósł głowę i popatrzył na nią. Twarz miała bladą i zbolaną, a oczy pełne łez.

- Gretchen! - wyjąkał przerażony. - Byłem nieostrożny?

Wargi jej drżały. Czuła się okropnie i umierała ze wstydu, bo zamiast bronić swojej godności, sama go zachęcała. Przecież wiedziała, że pragnie Brianne. Nie mógł jej mieć, więc przyszedł do żony. Wykorzystał ją, a ona mu na to pozwoliła. Wszystkiemu winna ta beznadziejna i bezwstydna miłość, z którą nie potrafiła sobie poradzić. Ale to błąd. Wielki błąd!

Odepchnęła go, więc przetoczył się na plecy i usiadł na brzegu łóżka. Leżała zwinięta w kłębek i nie chciała na niego patrzeć.

- Coś cię boli? - wypytywał z niepokojem. Bez słowa pokręciła głową. - W takim razie co się stało?

Westchnęła ciężko, bo nie mogła sobie darować, że tak łatwo mu uległa. Nienawidziła go za rozkosz, którą dał jej przed chwilą.

- Ona jest mężatką - szepnęła z goryczą - ale nawet ślepiec zorientowałby się, że jest do mnie bardzo podobna. W łóżku jestem dla ciebie jej substytutem, prawda? Nie możesz jej mieć, więc zadowolasz się mną. Mam nadzieję, że taka zabawa sprawia ci przyjemność?

- Proszę? - Philippe nie wierzył własnym uszom. Ze zgrozy serce w nim zamarło.

- Tak mi wstyd - szlochała Gretchen. - Nigdy w życiu tak się nie poniżyłam. Zabrakło mi sił, żeby cię posłać do wszystkich diabłów. Najzwyczajniej dałam się... wykorzystać!

Philippe, dotknięty do żywego i ogarnięty wściekłością, jakiej nigdy dotąd nie przeżywał, natychmiast wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Ogarnięty straszliwym oburzeniem zapomniał nawet o swoich bliznach i związanych z nimi uprzedzeniach. Zresztą Gretchen wcale nie chciała na niego patrzeć. Leżała odwrócona plecami. Z kamienną twarzą chwycił kołdrę i okrył ją, klnąc w trzech językach. Mamrotał tak niewyraźnie, że ledwie można było rozróżnić poszczególne słowa. Poruszyła się i usiadła, naciągając wyżej kołdrę. Patrzyła na niego z groźną miną.

- Trudno ci przyjąć do wiadomości tę prawdę, co? spytała zapłakana. - Pożądasz jej, ale jesteś zbyt szlachetny, żeby popełnić cudzołóstwo. Jako żony mnie nie przedstawiłeś, ale jeśli trzeba zaspokoić pożądanie, natychmiast tutaj przybiegasz, a ja grzecznie czekam!

- Nie jesteś już moją żoną! - wrzasnął po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. - Rozwodzę się z tobą - Strzelił palcami. - Możesz wrócić do Teksasu i wyjść za swojego zarządcę. Daję ci moje błogosławieństwo!

- A ty uzyskasz rozwód dla Brianne Hutton i natychmiast się z nią ożenisz, tak?! - krzyknęła.

- Proszę zachować dla siebie te insynuacje, *madame* - odwrócił się, wypadł z pokoju i popędził w głąb korytarza, roztrącając służbę. Głośne i wyraziste przekleństwa niosły się echem po całym skrzydle pałacu.

Wystraszona Leila wbiegła do sypialni, przeczuwając, że pani może jej w tej chwili bardzo potrzebować. Na widok Gretchen tonącej we łzach, od razu wie - działa, że jej domysły były słuszne.

- Pani, jak mam ci pomóc? - zapytała cicho. Gretchen dumnie uniosła głowę, chociaż wargi jej drżały.

- Pomóż mi spakować rzeczy i wezwij Hassana. Muszę natychmiast wyjechać!

- Ależ... - zaczęła Leila.

- Słyszałaś jego wrzaski, prawda? Chyba wszyscy je słyszeli. Rozwiódł się ze mną. Nie mogę tu dłużej mieszkać! - Zeskoczyła z łóżka, nie zważając na swoją nagość. Włożyła galabiję. - Przygotuj mi kąpiel i wezwij taksówkę. Hassan i ja musimy się dostać na lotnisko.

- Jadę z wami - odparła Leila.

- Będzie mi ciebie brakowało, ale nie mogę na to pozwolić. - Odwróciła się do niej plecami i dodała zduszonym głosem: - Zresztą wkrótce zamieszka w tych komnatach nowa pani.

- Ale ona jest mężatką.

- Wasz sadi załatwi jej rozwód. Dla niego to żaden problem. Sama wiesz, jak szybko poszło mu ze mną. Bierzmy się do pracy. Chcę to mieć za sobą.

Minął tydzień. Gretchen wróciła do Jacobsville i znów pracowała w kancelarii adwokackiej Barbessa i Kempa. Dziewczyna, która została zatrudniona na jej miejsce, była w ciąży i odkąd zaczęły się poranne mdłości, musiała na razie zrezygnować z posady. Gretchen zgodziła się zastępować ją, póki nie znajdzie czegoś na stałe.

Zdziwiła się, gdy po powrocie nie zastała w kancelarii Callie Kirby. Całe miasteczko plotkowało na ten temat, ale nikt właściwie nie wiedział, w czym rzecz. Chodziły słuchy, że w sprawę zamieszany jest tajemniczy magnat narkotykowy. Micah Steele, przyrodni brat Callie, także przestał się pokazywać w Jacobsville. Poza tym żadnych konkretów.

Gretchen mogłaby dowiedzieć się czegoś więcej od Marka, swego brata, ale kiedy wróciła, nie było go w domu. Conner Mack, starszy mężczyzna zarządzający ranchem, oraz jego żona Katie, powitali ją z otwartymi ramionami. Najlepszy przyjaciel brata i kolega z oddziału teksańskich strażników, Judd Dunn, miał właśnie urlop, więc odwiedził Gretchen i bardzo się zdziwił na widok osiłka o arabskich rysach, który chodził za nią jak cień. Wyjaśniła, że to jej ochroniarz.

- Skąd go wzięłaś? - spytał Judd, gdy spacerowali po łąkach.

- Hassana? To mój posag - odparła z uśmiechem. - Pamiątka po byłym mężu. Muszę przyznać, że w jego obecności naprawdę poczułam się bezpieczna. Jest bardzo opiekuńczy.

- Pozwala ci samej wchodzić do toalety? - wypytywał złośliwie rozbawiony Judd.

- Owszem, ale stoi pod drzwiami - odparła, wybuchając śmiechem. - Wzbudza respekt, prawda?

- Zna angielski?

Gretchen przecząco pokręciła głową i uśmiechnęła się do Hassana, który skinął głową i natychmiast się rozpromienił.

- Nie można z nim pogadać, ale jest bardzo sympatyczny. Poza tym dobrze mnie pilnuje.

Judd spostrzegł dziwny błysk w oczach Hassana, ale zachował to dla siebie.

- A co z twoim małżeństwem?

- Sprawa jest zamknięta. Mąż rozwiódł się ze mną, nim opuściłam jego kraj. Znow jestem wolna. - Gretchen spochmurniała.

- Jak to wygląda pod względem prawnym? - ciągnął Judd.

- Ślub był ważny tylko na terenie Qawi - odparła z naciskiem.

Objęła się mocno ramionami, walcząc z falą mdłości. Odkąd wróciła do domu, często miewała te nieprzyjemne ataki. Obawiała się, że podczas pobytu w pustynnym Qawi złapała jakiegoś paskudnego wirusa.

- Co słyszeć w pracy?

- Marnie - odparł ponuro. - Przydzielili mi nowego partnera, ale nie możemy się zgrać. Brakuje mi Marka. - Wcisnął ręce w kieszenie spodni. - On się nie nadaje na tajnego agenta. Powinien wrócić do domu. Po co się tak męczy?

- Sam się nad tym zastanawia. Praca w FBI zdecydowanie mu nie odpowiada. Dobijają go ustawiczne podróże.

- Jak tak dalej pójdzie, chłopak nabawi się choroby nerwowej.

- Daj mu trochę czasu. Już mięknie - odparła z nadzieją, gdy zawrócili i zaczęli iść w stronę domu.

- Nie mogę zrozumieć, czemu w ogóle rzucił naszą robotę. Przecież ją uwielbiał.

Gretchen milczała, chociaż znała odpowiedź na to pytanie. Nawet Judd nie mógł poznać wszystkich sekretów jej brata, który nadal cierpiał i dlatego nie chciał wrócić.

- Moim zdaniem postanowił zmienić klimat - odparła wymijająco.

- Aha - mruknął domyślnie Judd. - A przy okazji zejść komuś z drogi.

- Ode mnie się tego nie dowiesz.

- Dobra, rozumiem. - Roześmiał się cicho. - Nie było rozmowy.

Podczas urlopu odwiedził Gretchen jeszcze parę razy, a po dwóch tygodniach wyjechał do Austin, gdzie kwaterował jego oddział. Przydzielono mu już nowe zadanie. Gretchen pożegnała go bez żalu. Był sympatyczny, ale jako przyjaciel starszego brata zawsze trochę ją onieśmiała.

Najbardziej lubiła towarzystwo zarządcy rancza i jego żony. Oboje byli po pięćdziesiątce. Ciekawe, jak zareagowałby Philippe, gdyby wiedział, że Connore był obiektem jej gorących uczuć, gdy miała sześć lat. Traktowała go jak ojca, chociaż formalnie

był jej pracownikiem. Bardzo się przywiązała do niego i do Katie. Zakpiła sobie z Philippe'a... Mniejsza z tym. Wciąż miała mu za złe emablowanie Brianne. Nie potrafiła mu też wybaczyć, że ostatniego wieczoru potraktował ją niczym uległą nałożnicę. Była dla niego jedynie substytutem innej kobiety. Jej duma bardzo ucierpiała, lecz najgorsza okazała się tęsknota. Mimo wszystko nie potrafiła żyć bez Philippe'a i ciągle go jej brakowało.

Próbowała o tym nie myśleć i zająć się innymi problemami, ale nie była w stanie. Marzyła, że Philippe napisze, zadzwoni albo pewnego dnia zapuka do jej drzwi, ale po miesiącu straciła nadzieję, ponieważ milczał jak zakłęty. Była smutna i nieszczęśliwa, nadal z byle powodu dostawała mdłości i czuła się znużona, ale w pracy zawsze starała się uśmiechać. Pewnego dnia jednak zemdlła, siedząc przy biurku, więc postanowiła odwiedzić lekarza.

Hassan zawiózł ją do gabinetu doktor Lou Coltrain ciężarówką używaną na ranczu. Bez pytania o drogę dotarł pod właściwy adres. Nie miała pojęcia, jak dał sobie radę, ale nie pytała, bo już przywykła do jego zaradności. Pomógł jej wysiąść z auta, z wyjątkową delikatnością zaprowadził do biurka recepcjonistki i pogłaskał po ramieniu ręką wielkości dużego bochenka chleba.

- Zdaniem Hassana powinnam odwiedzić panią doktor - mruknęła zirytowana Gretchen. - Zasłałam dziś w pracy.

- Czy Hassan jest pani mężem? - upewniła się recepcjonistka, wpatrując się w niego zachwyconymi i oczyma.

- Długo by o tym mówić - odparła Gretchen z ciężkim westchnieniem. - Da pani radę gdzieś mnie wcisnąć? Ten drab nie pozwoli mi wrócić do domu, póki nie zostanę zbadana.

- Naturalnie! W gabinecie jest ostatni pacjent. Pani doktor zaraz będzie wolna. Chciała dziś wcześniej wyjść, ale na pewno znajdzie kilka minut. Proszę usiąść.

Gretchen zajęła miejsce, a Hassan przycupnął obok niej, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia innych pacjentów. Po trzech minutach z gabinetu wyszła pielęgniarka i zaprosiła Gretchen do środka. Hassan stanął przy uchylonych drzwiach. Po chwili zjawiała się Lou Coltrain. Rzuciła osiłkowi znaczące spojrzenie, zamknęła je stanowczym gestem i z uwagą popatrzyła na pacjentkę.

- Ten facet nie odstępuje pani na krok - powiel działa z uśmiechem. Miała długie, jasne włosy i była żoną Coopera Coltraina, drugiego lekarza praktykującego w Jacobsville.

- To Hassan - wyjaśniła Gretchen. - Nadałam mu ksywę Elvis. Dostałam go w posagu.

- Proszę? - Lou zamrugnęła powiekami.

- Mąż ofiarował mi go jako posag. Rozwiedliśmy się, ale musiałam zatrzymać swoją wyprawę. Hassan jest moim ochroniarzem.

- Potrzebuje pani ochrony?

- Jestem... Byłam - poprawiła się od razu - żoną władcy niewielkiego kraju na Bliskim Wschodzie. Po rozwodzie wróciłam do Stanów, ale ponieważ wróg mego byłego męża próbował dokonać zamachu stanu, nie można wykluczyć, że mogę stać się obiektem ataku, więc Hassan ma służyć u mnie, póki jedno z nas nie umrze. Rzecz jasna, będzie mógł wrócić do kraju, jeśli Kurt Brauer zostanie znów aresztowany.

- Ciekawa historia. - Lou przekrzywiła głowę. - Warta publikacji.

- Mówiłam prawdę. - Gretchen przyglądała się lekarce, która pokiwała głową i uznała, że nie warto się z nią spierać.

- Co pani dolega?

Gretchen szczegółowo opisała symptomy choroby. Lou zadała kilka pytań, a pacjentka uświadomiła sobie, że od dwóch miesięcy nie miesiączkuje. Pielęgniarka szybko pobrała jej krew i poszła zrobić testy.

- Fani doktor, co mi jest? - spytała pełna obaw Gretchen.

- Sądzę, że jest pani w ciąży - odparła cicho lekarka. - Poczekajmy na wynik badania krwi. Zapewne ósmy tydzień, sądząc po naszej rozmowie.

Gretchen chwyciła starą gazetę i zaczęła się energicznie wachlować.

- Niemożliwe! Ja miałabym oczekiwać dziecka?

- Wspomniała pani o małżeństwie... - przerwała jej Lou.

- Mimo wszystko to wykluczone. - Popatrzyła na nią w zadumie i dodała: - Mój były miał wypadek. Został ranny, gdy w pobliżu wybuchła mina przeciwpiechotna. Specjaliści twierdzili, że nie spłodzi dziecka. Ich zdaniem powinien być także niezdolny do miłości fizycznej, ale ich prognozy się nie sprawdziły. Może i w tym wypadku... W kwestii potomstwa nie miał żadnych wątpliwości. Nie uzna tego dziecka. - Ukryła twarz w dłoniach. - Nie mogę go nawet zawiadomić. To ponad moje siły!

- Ciąża nie jest zaawansowana - tłumaczyła lekarka, ujmując jej dłonie i ściskając je mocno. - Proszę rozważyć...

- Och nie! Wykluczone. - Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i puściła chłodne ręce lekarki. - Urodzę moje maleństwo, ale on nie może się o tym dowiedzieć.

- Ochroniarz stoi po drugiej stronie drzwi - przypomniała lekarka. - Są cienkie, więc sporo usłyszał.

- Hassan nie zna angielskiego - odparła z uśmiechem. - Przystojny, co?

- Wyjątkowo. Imponujący wzrost i postura... - Lou przerwała, bo dostała właśnie od pielęgniarki wyniki testów. - Wszystko się zgadza. Będzie pani miała dziecko.

Gretchen odniosła wrażenie, że świat zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zielone oczy złagodniały, a jej blada buzia poweselała. Była jednocześnie zbita z tropu i zachwycona.

- Przede wszystkim trzeba odwiedzić ginekologa - - położnika. Najlepszy znany mi specjalista przyjmuje w Houston, ale do naszej poradni w każdy piątek przyjeżdża bardzo dobry lekarz, który ma w Jacobsville sporo pacjentek.

- Wolałabym mieć lekarza na miejscu - odparła Gretchen.

- W takim razie doktor Genoa zajmie się panią. Na pewno ją pani polubi.

- Kobieta! Wspaniale! - ucieszyła się Gretchen, a Lou kiwnęła głową.

- I położnik jakich mało. Powiem Tilly, żeby umówiła panią na wizytę w przyszłym miesiącu. Przepiszę witaminy i bezpieczne środki na poranne mdłości. - Wypisała receptę, podała ją Gretchen i uśmiechnęła się serdecznie. - To nie moja sprawa - dodała przyciszonym głosem - ale mąż powinien chyba dowiedzieć się o dziecku, chociaż jesteście rozwiedzeni.

- Dam mu znać. - Gretchen skinęła głową. - Za jakiś czas.

- Proszę jechać prosto do domu.

- Jasne, pani doktor.

Hassan odprowadził ją do furgonetki i pojechał od razu na ranczo, nie wstępując po drodze do jej biura. Gretchen była tak znużona, że nie spostrzegła tajemniczego uśmiechu na jego twarzy.

Dwa dni później spokojnie przepisywała notatki pana Kempa, szukając właściwych zwrotów i sformułowań. Nagle przed ich budynkiem zatrzymała się limuzyna z małą chorągiewką na masce, a za nią druga, bez oznaczeń.

- O kurczę! - zawołała druga sekretarka, zerkając przez szpary w żaluzjach. Wytrzeszczyła oczy, gdy z limuzyny wysiadł bardzo elegancki mężczyzna. Drzwi otworzył mu szofer w liberii.

- Co wypatrzyłaś? - mruknęła Gretchen, nie podnosząc głowy znad klawiatury.

- Przyjechał jakiś ważniak! Przed biurem stoją dwie limuzyny!

- No proszę, pewnie klienci pana Kempa. Szef idzie w górę. - Gretchen zaczęła się śmiać. - A może reprezentuje mafijnego barona?

- Ci wyglądają na Arabów. Może są jakieś powiązania - usłyszała odpowiedź rozbawionej koleżanki i nagle znieruchomiała.

Podniosła wzrok i zbladła, gdy w otwartych drzwiach stanął Philippe Sabon. Wszedł do sekretariatu w towarzystwie dwu ochroniarzy w tradycyjnych plemiennych chustach, podtrzymywanych na głowie opaskami zwanymi igal. Trzej pozostali mężczyźni, bez wątpienia Amerykanie, nosili garnitury, a w uszach mieli słuchawki.

- Panowie, możecie przejść się po ulicy. Przechodnie potrzebują mocnych wrażeń - zaproponował Philippe całej piątce.

- Mamy wyraźne rozkazy, wasza wysokość - odparł uprzejmie jeden z amerykańskich agentów. - Bardzo mi przykro.

Philippe rzucił krótki rozkaz swoim ludziom, którzy posłusznie wyszli za drzwi. Odwrócił się do Gretchen i popatrzył na nią ze złością. Nie odwróciła wzroku, ale gdy przypomniała sobie, jak podczas ich ostatniego spotkania zerwał z niej ubranie, mimo woli się zarumieniła. Philippe nerwowo poruszył szyją, jakby dusił go kołnierzyk koszuli. Miał na sobie markowy garnitur z jedwabiu, świetnie dobrany krawat i białą koszulę. Włosy i paznokcie były nieskazitelne. Nawiasem mówiąc, zawsze wyglądał świeżo, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznic.

- Słucham - powiedziała lodowatym tonem. - W czym możemy pomóc?

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Na osobności - burknął, spoglądając znacząco na drugą sekretarkę, recepcjonistkę i trzech mężczyzn w garniturach.

- Nie mam ochoty na żadne rozmowy, ani w cztery oczy, ani w miejscu publicznym - odparła z godnością. - Wróć do domu i romansuj dalej ze swoją wybranką. Chyba pamiętasz, że jesteśmy po rozwodzie.

- Nieprawda! - odparł. Obcy akcent z każdym słowem stawał się wyraźniejszy.

- Sam powiedziałaś...

- Kłamałem! - Uniósł ręce w górę i wybuchnął potokiem arabskich przekleństw zrozumiałych jedynie dla Gretchen, która zerwała się na równe nogi.

- Jak śmiesz przeklinać w mojej obecności! Powiem twojemu ojcu, co tu od ciebie usłyszałam!

- Już z nim rozmawiałem, tyle że na temat twojego słownictwa!

- Czego chcesz? - zapytała, prostując się dumnie. - Jeśli chcesz, żebym wróciła z tobą do Qawi, wybij to sobie z głowy - oznajmiła stanowczo. - Jestem tu bardzo szczęśliwa.

- Jasne. Pamiętam, co mówiłaś o swoim ukochanym zarządcy - powiedział i zacisnął zęby. - Tylko pamiętaj, że jesteś mężatką, jeśli łaska.

- Ostatni raz ci powtarzam, że nie jestem zamężna.

Przez kilka chwil bez słowa mierzyli się spojrzeniami. Pan Kemp, całkiem nieświadomy tej próby sił, wszedł zamaszystym krokiem do sekretariatu z nosem w aktach sądowych i potracił agenta ochrony Philippe'a, stojącego mu na drodze.

- Co, do diabła... - zaczął gniewnie. Philippe obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Kemp. To moja kancelaria - Zmrużył oczy i nieufnie przyglądał się gościowi. - A pan kim jest?

- Nazywam się Philippe Sabon - usłyszał dumną odpowiedź. - Jestem szejkiem Qawi, opiekunem niewinnych, obrońcą wiary, władcą pustyni *et cetera, et cetera*.

Ta prezentacja sprawiła, że Kemp spokorniał. Zamyślony popatrzył na Gretchen, która najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Aha, odwiedził nas pani były mąż - mruknął. Gdy wróciła do kraju, opowiedziała mu w telegraficznym skrócie o swoim krótkim małżeństwie.

- Nie jesteśmy rozwiedzeni - upierał się ze złością Philippe.

- Sam powiedziałaś, że to koniec! - przypomniała mu natychmiast.

- W każdym kraju rozwód musi być oficjalnie potwierdzony na piśmie - odparł Philippe. - Zapytaj swego szefa.

- Zgadza się, on ma rację - przytaknął z uśmiechem Kemp.

- Ale powiedziałaś!... - krzyknęła.

- Wygadywałem wtedy różne bzdury - wpadł jej w słowo Philippe. Uspokajał się powoli, obserwując ją uważnie. - Chcę z tobą porozmawiać. - Spojrzał przez ramię i skrzywił twarz. - Będą nam towarzyszyć ci panowie z biura ochrony rządu, moi ochroniarze i Hassan. Jeśli łaskawie staną w kącie tyłem do nas, spokojnie wyjaśnimy sobie wszystkie nieporozumienia.

- To wbrew przepisom, wasza wysokość - wtrącił agent, mówiący jak mieszkańcy stanu Georgia.

Philippe popatrzył na niego ironicznie.

- Postaram się, Russel, żeby twój szef zlecił ci ochronę delegata szejkanatu Salid na kolejnej sesji Narodów Zjednoczonych. Podobno facet lubi węże, zwłaszcza kobry, i przestrzega zasad starożytnego kultu, pozwalającego na kąpiel raz w roku.

- Z tym kątem to świetny pomysł, wasza wysokość - odparł skwapliwie Russel, a Kemp z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Proszę pojechać z nimi do domu - poradził Gretchen i dodał: - Melly dokończy za panią przepisywanie notatek.

- Pewnie, zaraz się tym zajmę - skwapliwie wtrąciła dziewczyna.

Gretchen wzięła torebkę i podała jej teczkę z dokumentami.

- Proszę nie zapomnieć o śniadaniu z projektantem nowego ujęcia wodnego - przypomniała szefowi.

- Jasne. Na pewno będę. Niech pani na siebie uważa.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego.

Philippe i rządowi agenci czekali przy drzwiach, żeby ją przepuścić. Hassan, uśmiechnięty od ucha do ucha, czekał na chodniku przed budynkiem.

- Ty dwulicowy intrygancie - skarciła go Gretchen.

- Nie mam pojęcia, jak wykombinowałeś, o czym rozmawiałam z doktor Coltrain. Jestem pewna, że przez ciebie Philippe mnie tu nachodzi! Ty wścibski tłumoku!

- Do usług łaskawej pani - odparł z uśmiechem Hassan, naśladując słynnego Elvisa.

Gretchen wstrzymała oddech.

- Chyba ci nie mówiłem, gdzie urodził się Hassan - mruknął Philippe, dając znak szoferowi, żeby otworzył jej drzwi limuzyny. - Pochodzi z Tupelo w stanie Missisipi. Akcent ma fatalny, ale płynnie mówi po angielsku.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W samochodzie Gretchen milczała, speszona obecnością Hassana. Siedziała nieruchomo z rękami złożonymi na kolanach i rumieniła się pod badawczym i nieustępliwym spojrzeniem męża. Spojrzała w tylną szybę, zobaczyła auto trzymające się blisko ich limuzyny i doszła do wniosku, że władze Stanów Zjednoczonych bardzo poważnie traktują pogroźki Kurta Bauera i zadają sobie sporo trudu, żeby chronić przed nim Philippe'a. Nagle poczuła się zagrożona.

Po dziesięciu minutach jazdy dotarli na ranczo. Arabscy ochroniarze zostali na werandzie z Hassanem i amerykańskimi agentami, a Gretchen i Philippe weszli do środka. Katie wybiegła im na spotkanie, wycierając ręce w fartuch. Na widok gościa stanęła jak wryta.

- Katie, to jest... mój mąż - powiedziała z ociąganiem. - Philippe, przedstawiam ci Katie. Ona i jej mąż Conner prowadzą ranczo, gdy Marka i mnie tu nie ma.

Uniósł brwi, gdy uświadomił sobie, w jakim wieku jest ta kobieta. Gretchen miała pewność, że zapamiętał jej opowieść o wielkiej miłości do zarządcy. Nie wspomniała tylko, że jej rzekomy ukochany jest mocno posunięty w latach i ma żonę. Z pewnością szybko kojarzył fakty, ale jego nieprzenikniona twarz nadal przypominała kamienną maskę.

- Katie, przygotuj dzbanek mrożonej herbaty i zanieś na werandę. Siedzi tam sześciu mężczyzn: trzech arabscy ochroniarze, w tym nasz Hassan, oraz trzech agenci z biura ochrony rządu.

- Naprawdę? Co się stało? - Katie wyglądała tak, jakby miała zemdleć.

- Wszystko jest w porządku - wpadła jej w słowo - Odpowiadają za bezpieczeństwo Philippe'a podczas jego wizyty w Stanach.

Katie popatrzyła na nią z niepokojem i spytała za - kłopotana:

- Czy on wie? - Chodziło jej o dziecko.

- Tak, wie - odparł, nie dopuszczając żony do głosu. Popatrzył ironicznie na Katie, która postąpiła chwilę odchrząknęła i wróciła do kuchni.

- Tutaj możemy porozmawiać - mruknęła Gretchen, wchodząc do gabinetu.

Zamknęła drzwi do niewielkiego pomieszczenia, w którym Mark chętnie pracował, ilekroć miał sporo papierkowej roboty. Wyposażenie było skromne: półka na książki, biurko, wygodne fotele ze skórzaną tapicerką. Okno wychodziło na zielone pastwiska, starannie ogrodzone siatką.

Philippe rozejrzał się po pokoju. Zainteresowała go szafka z bronią i trofea myśliwskie oraz elektroniczne gadzety, których Mark używał czasami w swojej pracy.

- Ciekawa kolekcja - mruknął z uznaniem. Gretchen przytaknęła, siadając w fotelu. Czekala na wielki wybuch. Philippe podszedł do biurka, przysiadł na rogu i splótł ramiona na piersi. Oczy płonęły mu gniewnie, gdy patrzył na Gretchen.

- Kiedy Hassan do mnie zadzwonił, nie wierzyłem własnym uszom - powiedział oschle. Gretchen odwróciła twarz. - Wiem, że byłeś u lekarza. - Odczekał chwilę, ale milczała uparcie. - Chyba jeszcze za wcześnie na test ciążowy.

- Minął ósmy tydzień - wtrąciła ponuro. Zapadła grobowa cisza. Philippe odetchnął głęboko, zaklął szpetnie i zsunął się z biurka. Gretchen przyglądała mu się uważnie. - Czemu jesteś taki zdziwiony?

- Rachunek się nie zgadza, *madame*. Powrót do Stanów nastąpił przed miesiącem!

- Owszem, a moja ciąża trwa już osiem tygodni - odparła zniecierpliwiona.

Oczy Philippe'a błyszczały, jakby lada chwila miał nastąpić oczekiwany wybuch.

- Gdybyś miała rację, byłbym ojcem tego dziecka, a to przecież niemożliwe! Wykluczone! Przestań więc kłamać!

- Jak śmiesz! - Zerwała się na równe nogi i zacisnęła dłonie w pięści. - Chcesz powiedzieć, że zaszłam w ciążę tutaj? Ciekawe jak?

- Przecież sama mówiłaś, że zarządca jest ci bardzo bliski - odparł zduszonym głosem, wyraźnie zbity z tropu.

- Jasne. Na wypadek, gdybyś miał kłopoty ze wzrokiem, chciałabym ci uświadomić, że Katie ma pięćdziesiąt pięć lat, a jej mąż Conner pięćdziesiąt siedem. A straciłam dla niego głowę, kiedy miałam sześć lat!

Gdyby Philippe potrafił zabijać wzrokiem, dawno padłaby trupem. Wściekał się, bo tracił grunt pod nogami i nie wiedział, co jest grane.

- Ach tak? Odwiedzali cię tutaj mężczyźni, prawda? Na przykład najlepszy przyjaciel twojego brata.

- Idź do diabła! - krzyknęła, jeszcze mocniej zaciskając pięści. Ciekawe, jak by zareagowali agenci rządowi, gdyby walnęła krzesłem w ten zakuty łeb.

Westchnął spazmatycznie, próbując opanować gonitwę myśli. Lekarze, wybitni specjaliści, twierdzili, że nie może zostać ojcem. Gretchen знаła ich diagnozę a jednak ośmieliła się twierdzić, że to jego dziecko!

- Nie mogę zostać ojcem! - powtórzył.

- Kochać się też nie jesteś w stanie - powiedziała drwiąco. - Radzę ci o tym pamiętać.

Klął po arabsku tak płynnie i malowniczo, że stary szejek na pewno byłby zachwycony.

- Przyznaję, że w tej kwestii trzech najwybitniejsi specjaliści popełnili błąd, ale na takiej podstawie nie można twierdzić, że mylą się też w innych sprawach - odparł po angielsku.

Gretchen miała łzy pod powiekami, ale przysięgła sobie, że nie rozplacze się w jego obecności.

- Myśl, co chcesz, Philippe - odparła zduszonym głosem.

- Cholera jasna, po prostu nie wierzę w bajki! - odciął się natychmiast.

- No właśnie.

Teraz Gretchen zakłęta paskudnie. Zapału i swady jej nie brakowało, w końcu jednak wyczerpała zasób obelżywych słów, więc chwyciła najgrubszą książkę ze stolika obok regału i z całej siły cisnęła nią w męża. Pocisk sięgnął celu i z trzaskiem upadł na podłogę. Philippe był lekko oszołomiony.

- Do diabła, co robisz?! - wybuchnął.

- Zapraszam cię do naszej biblioteki - odparła ze złością. - Bolało? To wezwij agentów rządowych. Oni cię obronią!

Cisnęła w niego następną książką, grubszą od poprzedniej. Uchylił się w porę, lecz kolejna, wyjątkowo ciężka, trafiła go w ramię. Gdy sięgała po czwarty tom, podbiegł, chwycił ją w objęcia i unieruchomił ręce i ramiona. Próbując się wyrwać, kopnęła go w stopę. Uniósł ją, więc zaatakowała i drugą. Tym razem krzyknął głośno. Nie minęło kilka sekund i do gabinetu wpadli dwaj agenci rządowi z bronią automatyczną gotową do strzału.

- Precz! - wrzasnęli zgodnie mąż i żona, a ochroniarze wycofali się natychmiast i zatrzasnęli za sobą drzwi. Philippe popatrzył na jasnowłosą furie, którą trzymał w ramionach i niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- Wcale się nie dziwię, że służba jest ponura, jakbyśmy mieli w pałacu żałobę - mruknął, zręcznie unikając następnego kopniaka. Objął ją mocniej. - Dobra, wycofuję wszystkie paskudne zarzuty i pomówienia - oznajmił przyciszonym głosem. - Muszę przyznać, że nie potrafię sobie wyobrazić ciebie w ramionach innego mężczyzny. Zapewniam, że tęskniłem za tobą i byłem chory z zazdrości, gdy Hassan powiedział mi o twoim gościu.

- Ani razu się do mnie nie odezwałeś - rzuciła oskarżycielskim tonem.

Pogłaskał ją po plecach i zacieśnił uścisk.

- Było mi wstyd - przyznał cicho i skrzywił twarz. - Zachowałem się skandalicznie i życia mi nie starczy, żeby cię przebłagać. - Jak urzeczony wpatrywał się w zielone oczy. -

Przyjaźnię się jedynie z Brianne, nic więcej. Zawsze byliśmy dobrymi kumplami i tak już pozostanie.

Opór Gretchen słabł, chociaż wcale tego nie chciała. Z drugiej strony jednak tyle czasu minęło od chwili, gdy trzymał ją w objęciach... Ostatnio czuła się taka samotna, a poza tym trochę ją przerażał błogosławiony stan. Z uwagą studiowała desenį jedwabnego krawata.

- Judd to najbliższy przyjaciel Marka. Razem dorastaliśmy. Traktuję go jak brata.

- Z całego serca przepraszam za wszystkie podejrzenia - powiedział czule. Opuszkami palców dotknął jej ust. - Jestem gotów za nie odpokutować.

- Naprawdę? - mruknęła Gretchen. Nadal miała do niego żal, więc najeżyła się jak rozzłoszczona kotka.

Daj mi kilka książek. Chętnie nimi porzucam, a ty bodziesz cierpieć!

Znów wybuchnął śmiechem i pochylił głowę, szukając jej ust. Opierała się tylko przez moment. Spragniona jego pieszczot i pocałunków, czekała na nie jak kwiat na wiosenny deszcz. Z cichym jękiem wyrwała dłonie, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się mocno. Pocałował ją namiętnie i zaraz poczuł narastające pożądanie. Westchnął z ustami przy jej wargach i zadrżał. Gdy wydała cichy jęk, położył ją na biurku. Otarła się o niego biodrami.

Chyba nam odbiło - mruknął, lecz mimo to nadal zasypywał ją pocałunkami, a tymczasem niecierpliwe palce szukały guzików, zapięć i suwaków. Gretchen nagle zdała sobie sprawę, o co mu chodzi i daremnie próbowała się od niego odsunąć.

Philippe, nie! Kochanie... tak nie można! - protestowała, ale nie posłuchał.

Całym swoim ciężarem przycisnął ją do gładkiej powierzchni biurka. Był w niej, nim powiedziała ostatnie słowo. Oniemiała i całkiem zaskoczona popatrzyła mu w oczy, gdy poruszył się niecierpliwie, porażony siłą własnego pożądania. Objął dłońmi smukłe biodra i pocałował ją zachłannie.

- Tylko nie krzycz - wyjąkał.

- Umowa stoi - odparła, zagryzając wargi, żeby stłumić jęk, bo Philippe poruszał się w niej rytmicznie, wciągając ją w cudowną i dobrze znaną spiralę rozkoszy.

- Gretchen, najmilsza moja!

Poruszał się gwałtownie w miłosnym zapamiętaniu. W gardle wzbierał mu głośny jęk, więc stłumił go, całując ją w usta.

Żar i szalona namiętność tego aktu sprawiły, że Gretchen w kilka sekund wspięła się na szczyt. Spełnienie było nagłe i gwałtowne. Potem znieruchomiała, otworzyła oczy i spojrzała prosto w ciemne tęczęwki. W tej samej chwili Philippe także na chwilę zamarł w bezruchu i wzdrygnął się cały. Połączyło ich najbardziej osobiste doznanie. Intensywność

odczuć był tak wielka, że Gretchen rozplakała się bezradnie, pewna, że tym razem nie wytrzyma presji i umrze.

Zamknęła oczy i zacisnęła palce na jego biodrach. Przyłgnęli do siebie z całej siły, gdy porwała ich ostatnia fala rozkoszy. Wkrótce Philippe opadł z sił i osunął się na nią bezwładnie. Z trudem chwytła powietrze. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że prosta spódnica zwinęła się w talii, a bielizna leży na podłodze. Philippe miał rozpiętą koszulę i spodnie. Zarumieniła się ze wstydu, gdy spojrzał jej w oczy i kpiąco uniośł brwi.

- Widzisz, jak się kończy rzucanie książkami? - mruknął, starając się oddychać regularnie.

Dotknęła palcami jego ust.

- W takim razie po powrocie musimy uzupełnić domową bibliotekę.

- Obawiałem się, że będę musiał cię związać i wsadzić do worka, bo inaczej nie dam rady zabrać cię z powrotem do Qawi.

- Nie ma takiej potrzeby - zapewniła, spoglądając na ich ciała, nadal połączone w miłosnym uścisku. Popatrzyła mu w oczy. - Kocham cię.

Westchnął i natychmiast odzyskał utracone siły. Już miał zakląć, ale ugryzł się w język, bo Gretchen kokieteryjnie poruszyła biodrami.

- Jesteś zadowolony, prawda, kochanie? - szepnęła. - Przytul mnie!

Za szybko, to się działo za szybko. Po chwili cały świat zniknął w powodzi światła. Philippe był przekonany, że nie zniesie ogromnej rozkoszy, którą obdarowała go Gretchen, lecz wkrótce znowu osłabł i usłyszał jej śmiech. Mała, jasnowłosa czarownica. Z radości ugryzł ją w ramię. Splotła długie nogi za jego plecami i chichotała tuż przy jego uchu, gdy drżał, powracając do rzeczywistości.

- Ty więdźmo - jęknął, gdy znów był w stanie oddychać spokojnie.

- Jeśli będziesz zaspokojony i szczęśliwy, nigdy mnie już nie opuścisz. - Stłumiła westchnienie i przeciągnęła się pod mężem. - Skarbie, kocham cię, ale jest mi niewygodnie.

Odsunął się, ale nie od razu i uśmiechnął się, gdy obserwowwała go, szczerze zdumiona.

- Sporo ryzykowaliśmy, ale co za dużo to niezdrowo - strofował ją łagodnie. Zsunął się na podłogę i poprawił ubranie. Roześmiała się cicho i poszła w jego ślady, rzucając mu kpiące spojrzenia. - Od tej pory biurko zawsze będzie mi się kojarzyć... z nami - przyznał żartobliwie i puścił do niej oko. - Ciekawe opowieści usłyszą nasze dzieci, kiedy dojdą do odpowiedniego wieku.

- Nasze dzieci. - Gretchen rozpromieniła się, podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy. - Kiedy tu przyjechałeś, nie mieściło ci się w głowie, że będziesz ojcem - skarciła go łagodnie.

Philippe położył smukłe dłonie na jej ramionach i skrzywił się, jakby go coś zabolalo.

- Bałem się uwierzyć. Ale potem - dodał żartobliwie - uświadomiłem sobie, że nie pozwoliłaś się dotknąć innemu mężczyźnie. Po prostu rzuciłaś się na mnie.

- Ty również - odparła.

- Jasne. Odkąd mnie opuściłaś, nie spojrzałem na inną kobietę.

- Ale Brianne Hutton...

- Przy niej jestem zimny jak gład. Zero reakcji. - Objął Gretchen i kołysał w ramionach. - Wierz mi, ani przez moment między nami nie zaiskrzyło. Nawet o tym nie mówiliśmy - zapewnił. - Przez kilka dni wydawało mi się, że można cofnąć czas. Wtedy oboje byliśmy wolni, a poza tym nie znałem jeszcze pewnej dziewczyny, która do tego stopnia mnie zauroczyła, że tęsknię za nią dniami i nocami - dodał, spoglądając znacząco na Gretchen, która uśmiechnęła się z tryumfem. - W obecności Brianne nic nie czuję. Moje ciało na nią nie reaguje. Zresztą ona biedaczka okropnie tęskni za mężem i stale o nim mówi. - Zachichotał wesoło. - A ja nie byłem od niej lepszy, bo nieustannie myślałem o tobie, szczególnie po twoim wyjeździe.

- Brianne cię nie kręci? - spytała zdumiona. - Przecież ją kochałeś?

- Tak sądzisz? - Pocałował ją w rękę i spojrzał w zielone oczy. - Okazała mi wiele serdeczności, kiedy najbardziej potrzebowałem ludzkiego ciepła i wyrozumiałości, ale prawdziwą namiętność obudziłaś we mnie ty. Przy tobie czuję, że żyję. Ty uczyniłaś mnie znowu stuprocentowym mężczyzną. Jesteś moją podporą. Musisz być ze mną, bo inaczej nie zaznam prawdziwego szczęścia.

- Jesteś pewny? - zapytała, spoglądając na niego roziskrzonymi oczyma.

Pogłaskał ją po brzuchu.

- Najzupełniej. - W jego oczach pojawił się tajemniczy blask. - Jeden ze specjalistów, którzy twierdzili, że pozostanę bezpłodny, ma teraz praktykę w Paryżu. Musimy zaprosić go na chrzciny.

- Załatwione. Sama się tym zajmę - zgodziła się chętnie.

- Byłem przekonany, że sążone mi jest życie samotne i niepełne. - Popatrzył na nią z uwielbieniem.

- Mówiłaś o cudach. Teraz w nie wierzę.

- Zawsze byłem pewna, że istnieją. - Uniosła głowę i pocałowała go.

Gdy weszli do salonu, włosy mieli potargane, a ubrania lekko zmięte. Kilka głów zwróciło się w ich stronę. Oczy rzucały pytające spojrzenia.

- Pora jechać, wasza wysokość? - zapytał Russell, rządowy agent rodem z Georgii.

- Dopiero jutro. Moja żona ma z pewnością do załatwienia wiele spraw, nim po raz kolejny opuści kraj.

- Wydał wargi i z uśmiechem popatrzył na trzech facetów w czerni. - Panowie, mam nadzieję, że noc spędzona na teksańskim ranczu was nie przeraża.

- Jestem z Bronxu - powiedział agent numer jeden.

- Nienawidzę bydła.

- Pochodzę z Los Angeles - oznajmił drugi. - Jestem uczulony na konie.

- Mięczaki - rzucił pogardliwie agent pochodzący z Georgii.

- Co ty powiesz? - obruszył się mieszkaniec Bronxu. Nie przypominam sobie, żebyś był specjalnie wyrywny, Russell, kiedy byk rasy bahama omal nie stratował ruskiego premiera w letniej rezydencji naszego prezydenta koło Fort Worth!

- Ta rasa nazywa się brahama, głupku! - wrzasnął agent z Georgii.

- Gdyby nie wmieszał się teksański strażnik, pewnie doszłoby do trzeciej wojny światowej!

- Ludzie, przecież to nie był żaden byk, tylko mleczna krowa - naburmuszył się wyższy z agentów. - Trochę się tylko rozigrała i chciała się zabawić.

- Dobra, dobra, Teksańczykowi założyli potem dziesięć szwów, a prezydent musiał odkupić mu spodnie - przypomniał agent numer trzy. - Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że pilnujesz wiceprezydenta, który spędzał wakacje na bagnach Okefenokee.

- Sam poprosiłem o tę robotę. Stary, co ty wiesz o bagnach? Są po prostu super!

- Mamy tu prosty, ale wygodny domek dla gości. Możecie tam przenocować. - Gretchen uznała, że czas przerwać sprzeczkę.

To się nie da zrobić, proszę pani - odparł agent z Bronxu. - Musimy być tam, gdzie jego wysokość.

- W naszej sypialni?! - wykrzyknęła przerażona. Proszę pani! - Poczerwieniał z oburzenia. - Nie pracujemy w agencji towarzyskiej! Philippe parsknął śmiechem.

- Chodzi o to, że muszą być w pobliżu, aby w razie czego usłyszeć krzyk - wyjaśnił.

- Rozumiem - odparła uspokojona.

- Wszyscy moi ochroniarze wraz z Hassanem przenocują w holu. - Philippe z zachwytem obserwował jej rumieńce. - Będziemy się czuli bezpieczni.

- Mów za siebie. Ci idioci są uzbrojeni.

- Pani się nie martwi - próbował ją uspokoić agent z Georgii. - Szefostwo wydaje po jednym naboju na łebka. Pistolet nie może być naładowany. Broń i amunicję trzeba przechowywać osobno.

- Nie są tacy głupi, żeby dać ci nabój. - Agent z Bronxu poklepał go po ramieniu. - Chłopaki, idziemy zbadać teren.

- Mnie to pasuje.

Philippe gestem nakazał swoim ochroniarzom, żeby się do nich przyłączyli. Szeroko uśmiechnięty Elvis został w salonie.

- Do głowy mi nie przyszło, że zna pan angielski - zagadnęła uprzejmie Gretchen.

- Pani nie pytała, ja nic nie mówiłem - odparł z chytrą miną, ukłonił się i wyszedł z kolegami.

Philippe objął Gretchen i mocno przytulił.

- Nareszcie sami - mruknął.

Gdy całował ją namiętnie, przed dom zajechał samochód, a potem zrobiło się zamieszanie.

- Cholera jasna, a kim wy właściwie jesteście? - rozległ się zirytowany głos, który Gretchen natychmiast rozpoznała.

Usłyszała też odgłosy szamotaniny. W samą porę wybiegła na werandę, ponieważ agenci rządowi właśnie usiłovali przewrócić na ziemię jej silnego i rozwścieczonego brata. Opierał się, sprawiedliwie rozdzielając ciosy. Krótko mówiąc, prawdziwa wolna amerykanka!

- Mark! - krzyknęła.

Gdy na moment uniósł głowę, trzech agenci natychmiast wykorzystali chwilę nieuwagi, wykręcili mu ręce i założyli kajdanki. Obrzucił ich obelgami, a oni nie pozostali mu dłużni. Gretchen wyprzedziła Philippe'a i pierwsza do nich podbiegła.

- Zostawcie go! - krzyknęła do Russella. - To mój brat. On tu mieszka.

- Działamy zgodnie z regulaminem - odparł spokojnie agent z Bronxu. - Facet odpowie przed sądem za obrazę agencji rządowej.

- I ty pójdziesz siedzieć, skurwielu! Jestem z FBI odparł Mark.

- Tylko nie to! - jęknął agent z Georgii, szybko kojarząc nazwisko i funkcję. - Brannon?

Mark zmrużył szare oczy. Twarz miał pociągłą i mocno opaloną. Był szatynem, ale potarganą czuprynę rozświetlały jaśniejsze kosmyki. Z gniewną miną popatrzył na zbitego z tropu agenta.

- To ja, Russell. We własnej osobie. - Uniósł wielkie pięści. - Zdejmij mi natychmiast te cholerne bransoletki!

- Rób, co każe - mruknął wystraszony Russell do agenta z Bronxu. - Brannon jest krewnym prokuratora generalnego, dwu senatorów i wiceprezydenta.

Jego kolega skrzywił się, zdejmując kajdanki.

- Skąd miałem wiedzieć? Nie podał nawet swojego nazwiska.

- Jak miałem się przedstawić, ty idioto, skoro rzuciliście się na mnie, ledwie wysiadłem z samochodu! - wrzasnął Mark i rzucił w niego kajdankami.

- Przez dziesięć lat był teksańskim strażnikiem - tłumaczył koledze Russell.. - Kiedy po tej aferze z bykiem skułem go przez pomyłkę, wysłali mnie na bagna z wiceprezydentem, bym go ochraniał podczas urlopu. To była prawdziwa gehenna i wcale nie marzy mi się powtórka z rozrywki.

- Jak się udała tamta wyprawa, Russell? Użyłeś jak pies w studni, co? - Szare oczy Marka rozświetlił srebrzysty blask.

- Niezapomniane wrażenia, proszę pana - odparł Russell, krzywiąc twarz. - Kto by przypuszczał, że wąż pieczony w ognisku jest taki smaczny. Gdy spotka się pan z wiceprezydentem, proszę mu ode mnie przekazać wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia.

Ubawiona tą rozmową Gretchen podbiegła do brata, żeby go uściskać. Na jej widok od razu się rozczulił. Natychmiast objął siostrę, okręcił ją i głośno cmoknął w policzek. Gdy stanęła znów na nogach, popatrzył na nią z zachwytem.

- Co u ciebie? - zapytał łagodnie. - Czemu nie jesteś w Qawi? Przecież masz tam posadę? - Zmarszczył brwi, gdy podszedł do niej wysoki mężczyzna o cudzoziemskim wyglądzie.

- Gretchen oczekuje dziecka - powiedział uradowany Philippe, ale w tym momencie Mark jeszcze bardziej spochmurniał.

- Jesteś w ciąży. - Rozpromienił się nagle, gdy spojrzał na siostrę. - Będę wujkiem.

- Na sto procent - odparła rozmarzona. - Stał się cud i będziemy mieli dziecko.

- Proszę?

Philippe objął ją ramieniem, przytulił do piersi i uśmiechnął się do Marka znad jasnej głowy żony.

- Lekarze twierdzili, że nie mogę zostać ojcem. To nic była zresztą jedyna przykra wiadomość, którą od nich usłyszałam. Mniejsza z tym. Gretchen zmieniła moje życie. Uwielbiam ją - wyznał szczerze.

- Pan jest szefem mojej siostry?

- Nie, jej mężem - poprawił Philippe.

- Jego wysokość szejk Qawi - wtrącił Russell, agent z Georgii.

Mark popatrzył z niedowierzaniem na stojącą przed nim parę.

Naprawdę jesteście małżeństwem? - upewnił się, spoglądając na Gretchen.

~ Daję słowo, że za niego wyszłam! - zapewniła, nie kryjąc irytacji. - A skąd wzięłoby się dziecko?

Mark popatrzył na nią dziwnie, ale nie rozwijał tego tematu.

- Pamiętam, że przed dwoma laty sporo się mówiło o pańskim kraju. Inwazja i zamach stanu, prawda? Wi - działałem reportaże w telewizji. Kurt Brauer narobił wam niezłego bałaganu.

Philippe zaproponował, żeby mówili sobie po imieniu. Przez chwilę rozmawiali o sytuacji międzynarodowej, a potem wrócili do spraw rodzinnych.

- Musimy wziąć ślub kościelny i zorganizować huczne wesele. Gretchen wyda na świat mego dziedzica, więc skromna ceremonia sprzed kilku tygodni nie wystarczy. Sam wiesz, że sytuacja polityczna na Bliskim Wschodzie jest niestabilna, dlatego każda władza powinna mieć solidne podstawy prawne. Już dziś zapraszamy na wesele.

- Złożę podanie o urlop - ku wielkiej radości Gretchen obiecał Mark.

W drzwiach werandy stanęła Katie i zaprosiła wszystkich na obiad. Mark pierwszy ruszył do jadalni. Umierał z głodu.

Długo siedzieli przy stole, rozmawiając z ożywieniem. Następnego ranka przyłączyli się do kowbojów otaczających zagrodę, w której trzymano nowego ogiera. Mark kupił go podczas odwiedzin w kwaterze teksańskich strażników w Austin. Pojechał tura, aby złożyć podanie o pracę.

- Piękny, co? - powiedział do Gretchen i Philippe'a.

On i siostra mieli na sobie dzinsy i flanelowe koszule. Mark i Philippe byli niemal równego wzrostu, ule szejk nie mógł się poszczycić tak atletyczną posturą jak brat jego żony.

- Cudowny - powiedział z namysłem.

- Fajny, co? - mruknął jeden z kowbojów i spojrzał znacząco na Philippe'a. - A mąż panny Gretchen nic chciałby się na nim przejechać?

Słuchaj no pan... - zaczął Russell, podchodząc do kowboja.

- Owszem, bardzo chętnie - przerwał mu Philippe z drwiącym uśmiechem i natychmiast przeskoczył ogrodzenie.

- Wasza wysokość! - krzyknął przerażony agent z Bronxu.

Spokojnie - wtrąciła Gretchen i popatrzyła na Marka, który także wydawał się zaniepokojony. - Zaufajcie mu. Wie, co robi.

Najwyżej spadnie i nabije sobie parę siniaków - - dodał kowboj z ironicznym uśmiechem. Odwrócił się do Philippe'a: - Zna się pan na ujeżdżaniu koni, czy chce pan tylko spróbować?

- Zobaczmy... może się uda - odparł pogodnie. Chwycił uzdę, pogłaskał grzywę konia i szepnął mu coś do ucha. Wyczuwał jego drzenie i strach. Ustawił wierzchowca przodem do wschodzącego słońca i nagle wskoczył mu na grzbiet, mocno ściągając wodze. Ogier wierzgał jak oszalały, wykonywał dzikie skoki i rzucał się na boki, lecz jeździec mocno trzymał się w siodle. Można by pomyśleć, że jest zrosnięty z dzikim rumakiem. Philippe wybuchnął radosnym śmiechem, bo ten pokaz sztuki ujeżdżania sprawił mu ogromną przyjemność. Gdy kilka razy okrążył zagrodę, pochylił się nad końską szyją i znów szepnął coś do rumaka łagodnym, pieszczotliwym głosem. Wygładził zmierzwioną grzywę, zatoczył spokojnie następne koło i zręcznie zeskoczył na ziemię. Podał uzdę zdumionemu kowbojowi, który rzucił mu wyzwanie.

- Hodują konie rasy arabskiej - wyjaśnił pogodnie. - Sam je ujeżdżam. To dobry koń, ale brak mu wewnętrznego spokoju i wytrwałości. Jeżeli ma być reproduktorem, należy to wziąć pod uwagę.

Przeskoczył ogrodzenie, otrzepał zakurzone ubranie i podszedł do Marka, który głośno się roześmiał.

- Powinienem był wiedzieć, że tak będzie, ale na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że wczoraj wyglądałaś jak zwykły mieszcuch - mruknął ironicznie.

- Twoja siostra była tego samego zdania, póki nie zobaczyła mnie na końskim grzbiecie - odparł z szerokim uśmiechem. - Muszę ci kiedyś opowiedzieć, jak pojechała mnie ratować, uzbrojona w colta kaliber 45.

- Mnie to nie dziwi - przyznał Mark. - Odważna z niej dziewczyna.

- Tak. - Philippe czule pocałował ją w czoło. - Jestem prawdziwym szczęściarzem.

Nadeszła Katie i zaprosiła domowników, gości oraz gromadę ochroniarzy na kawę i domowe ciasto z owocami. Obserwowała z okna jeździeckie popisy Philippe'a i powiedziała stanowczo do Connera, że od tej chwili nie da złego słowa powiedzieć na tego arabskiego przybłądę... to znaczy na męża panienki Gretchen... a raczej pani Sabon. Kiedy zbliżyła się do za - grody i usłyszała, że Philippe ma własną stadninę i sam ujeżdża konie, obrzuciła go badawczym spojrzeniem, jakby chciała dać do zrozumienia, że postanowiła jednak zaakceptować małżeństwo ukochanej panienki z cudzoziemcem. Kiedy poczuł na sobie jej

wzrok, od razu domyślił się, w czym rzecz. Kiwnął głową na znak, że rozumie, dziękuje i nie zawiedzie jej zaufania.

Dobrze rozumiał, co przeżywała Katie, gdy dowiedziała się o ślubie Gretchen. Starsza kobieta, służąca od lat w jej rodzinie, czuła się za nią odpowiedzialna. Podobnie kiedy on wrócił do Palais Tatluk, opiekowały się nim służebne, dla których stał się prawdziwym oczkiem w głowie. Ojciec był dobry i kochający, ale bardzo surowy. Philippe nie miał matki ani babci, więc starały się je zastąpić. A w letniej rezydencji na wyspie Jameel królowała stara, kochana Miriam, najdroższa niania i cudowna opiekunka. Zawsze mu tłumaczyła, żeby nie zaniedbując rozumu, kierował się także uczuciami.

- Posłuchaj starej kobiety, synku, i czasami popatrz na świat także sercem. Ciekawe rzeczy zobaczysz, daję słowo - mawiała z uśmiechem. Philippe przypomniał sobie niedawno jej rady i tak... wypatrzył Gretchen.

Ciasto i kawa zniknęły błyskawicznie. Ochroniarze wraz z Markiem rozsiedli się w salonie, a Gretchen i Philippe przeszli do gabinetu, żeby porozmawiać o hucznej uroczystości ślubnej, która ze względu na odmienny stan panny młodej powinna się odbyć jak najszybciej. Tyle spraw należało omówić i zaplanować.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi gabinetu, zaczęli się całować. Philippe szybko rozpiął guziki flanelowej koszuli Gretchen i spojrzał wymownie na wielkie biurko.

- Nie, kochany. Musisz poczekać do wieczora. Mam w sypialni wygodne łóżko. - Trzepnęła go po rękę, odsunęła się i dodała z uśmiechem: - Mam inne plany. Chciałabym pokazać ci nasze ranczo. Wybierzemy się na konną przejażdżkę... bez towarzystwa.

- Na jednym wierzchowcu? - spytał rozmarzony.

- Innym razem. Dziś kazałam Connerowi osiodłać dwa konie. Czeka z nimi za stajnią. Najpierw musimy się stąd wydostać. Najlepiej przez okno.

Po chwili wspólnymi siłami otworzyli je bezszelestnie. Przebiegli skuleni pod ścianą domu, upewnili się, czy któryś z agentów nie obserwuje podwórka i pomknęli przez nie w absolutnej ciszy. Dopiero gdy do - tarli do Connera pilnującego osiodłanych koni, zaczęli cicho chichotać, uradowani swoim podstępem. Spoglądał na nich z politowaniem, jakby miał do czynienia z parą niesfornych dzieciaków.

- Panienska Gretchen... to znaczy pani Sabon zawsze miała pstro w głowie - oznajmił karcącym tonem ale żeby pan, taki poważny człowiek, do tego na stanowisku, ulegał smarkuli i robił głupstwa? Panie Sabon, mówię panu, trzeba ją krótko trzymać. Nigdy nie wiadomo, co jej strzeli do głowy. Na przykład ciągle zakłada te swoje ogródki. Człowiek się stara, żeby z każdego kawałka ziemi wydusić, ile można, a ta cichaczem sadi róże i jakieś nagietki. Panie,

z tego nie ma dochodu, a przecież trzeba spłacać długi, a także inwestować. Jak ma być dobrze na tym ranczu, kiedy właścicielka żyje z głową w chmurach? Gdyby mnie tu nie było, posiadłość dawno poszłaby na licytację. Doskonale pana rozumiem - odparł Philippe z udawaną powagą. - Mój ojciec na bżika na punkcie orchidei. Zbudował dla nich ciepłarnię wielką jak cały wasz dom. Mówi, że to jego wnuczęta.

- Psychiczny? - rzucił domyślnie Conner.

- Nie, po prostu kocha kwiaty.

- To musi być jakaś choroba. Pan jest królem, nie?

- Szejkiem, ale to niewielka różnica.

Jak weźmiecie oficjalny ślub, znaczy się państwowy... czyli kościelny, Gretchen będzie tam z panem rządzić, nie?

- Pracy jej nie zabraknie, to pewne. Nasz kraj wymaga pilnych reform.

- Bardzo dobrze. Jak się dziewczyna ostro weźmie do roboty, zaraz jej przejdzie ta miłość do zielska. Panie, moja Katie też na początku marudziła, że trzeba posadzić wokół domu więcej bzu i jaśminy, założyć ogród różany, rabatki przed werandą i tak w kółko. Ale jak starsza pani zachorowała i okazało się, że moja kobieta ma na głowie cały dom, a na dodatek musi pilnować naszych dzieciaków, przestała gadać o kwiatkach. Niech pan dopilnuje, żeby Gretchen miała zajęcie, to skończy się ta gadanina o różanych ogrodach.

- Dobra rada - mruknął Philippe zduszonym głosem, z trudem opanowując śmiech. Zwrócił się do żony. - Jedźmy, skarbie. Boję się, że nasze opiekuńcze aniołki coś zwąchają i zaczną nas szukać.

- Słuszna uwaga, panie Sabon - przytaknął skwapliwie Conner. - To chytre sztuki. Mają oczy dookoła głowy i słuch jak nietoperze. Ruszajcie na południe. Tam się pasą konie i najlepsze sztuki bydła. - Podniósł sakwę leżącą na ziemi. - Katie przygotowała wam coś na ząb. Jest ładnie, więc zróbcie sobie piknik koło lasku nad strumieniem. W jeziorcu woda jest dosyć ciepła, można się kąpać.

- Bardzo dobry pomysł. - Philippe mrugnął porozumiewawczo na Gretchen.

- Nie mam kostiumu - szepnęła, dosiadając konia.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł z uśmiechem i ruszył wolno, żeby stukot końskich kopyt nie wzbudził podejrzeń agentów.

- Skoro tak... - odparła Gretchen po chwili namysłu. - Kto wie... - Uśmiechnęła się tajemniczo, podjechała do męża i ramię przy ramieniu wolno po - jechali na południe.

Spędzili uroczę przedpołudnie na świeżym powietrzu. Philippe z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się zwierzętom hodowlanym. Najbardziej, rzecz jasna, cie-

kawiły go konie. Gretchen, jak przystało na prawdziwą dziewczynę z teksańskiego rancza, udzielała mu radiowych wyjaśnień dotyczących upraw i hodowli. Nie była wcale taką marzycielką, za jaką uważał ją Conner.

Gdy słońce stało już wysoko, pojechali do lasu nad jeziorem, uwiązali konie nad brzegiem i zajrzeli do sakwy od Katie. Znaleźli w niej duży cienki koc, papierowy obrus i mnóstwo pysznego jedzenia. Urządzili sobie miły piknik we dwoje na miękkiej trawie. Po lekkim posiłku rozebrali się i wskoczyli do ciepłej wody, a po cudownej kąpieli długo i czule kochali się pod baldachimem z zielonych liści, zwisających nisko nad brzegiem ukrytego w lesie jeziora. Odpoczywali, mocno objęci ramionami, wsłuchani w szum drzew, plusk wody i radosny śpiew ptaków. Spokojni i rozładowani, nie bez żalu ruszyli do domu. Z prywatnego rajów wracali do rzeczywistości.

Gretchen poprowadziła męża inną drogą, wiodącą przez pola w zachodniej części rancza. Mijali zielone pastwiska i wielkie pola młodej kukurydzy.

- Popatrz! - zawołał nagle Philippe. - Przecież to kwiaty! Ogromne pole kwiatów! Widzisz, ten twój Connor wcale nie jest zatwardziałym realistą. W gruncie rzeczy to niepoprawny romantyk, tylko nie lubi się z tym afiszować. Muszę przyznać, że ten jego... ogródek robi wrażenie - dodał z podziwem.

Gretchen wybuchnęła śmiechem i protekcyjnym gestem poklepała go po ramieniu.

- Och, mój ty władco pustyni, z botaniki dwójka! - powiedziała z czułością i leciutkim politowaniem. - To słoneczniki. Connor obsiał nimi część naszego gruntu, bo z ziarna tłoczy się doskonały olej, a resztę można wykorzystać jako dodatek do paszy. Tamte żółte pola to nie kwiatowe grządki, tylko pożyteczne uprawy, niepoprawny romantyku.

Philippe przez kilka chwil mamrotał coś pod nosem. Nie podobało mu się, że Gretchen kpi z niego w żywe oczy. Przecież był starszy i mądrzejszy. Powinna okazywać mu więcej szacunku. Poza tym każdy może się pomylić.

- Philippe? - zagadnęła znów kpiąco. - Czemu się złościysz?

Po chwili twarz mu się wypogodziła.

- Bez powodu. Już mi przeszło.

- Jesteś po prostu nieprzewidywalny, najdroższy mężu - szepnęła łagodnie. - I bardzo niebezpieczny... dla mojego serca.

Przechyliła się w siodle i pocałowała go w usta.

Następnego dnia odlecieli do Qawi. Na lotnisko odwieźli ich agenci rządowi, a w samolocie opiekę nad nimi przejęła grupa ochroniarzy na czele z Bojem, którego Gretchen poznała w Tangerze. Lecieli z nimi również trzej nieco starsi mężczyźni, których po raz

pierwszy widziała na oczy. Mark, który towarzyszył siostrze w tej podróży, znał ich doskonale. Byli to dawni najemnicy, którzy od czasu do czasu służyli pomocą znajomym. Przez cały lot rozmawiali po cichu, planując ściśle tajne posunięcia.

Gretchen dowiedziała się od nich, że Cord Romero nie odzyskał wzroku. Maggie nadal z nim mieszkała. Dzięki jej pomocy z wolna odnajdywał się w swoim nowym życiu, ale wciąż był przygnębiony. Mówiło się też sporo o Kurcie Brauerze, chociaż były to głównie plotki.

Gretchen denerwowała się na myśl o uroczystym ślubie w katedrze. Philippe uznał, że to konieczne, bo w ten sposób cały świat uzna ich związek. Uspokajał ją i obiecywał, że wszystko pójdzie gładko. On i jego ochroniarze tego dopilnują, natomiast po ślubie i weselu przyjdzie wreszcie czas na ostateczną rozprawę z Brauerem.

Gretchen czuła się bezpieczna, ale bała się o Philippe'a. Jego wróg pragnął zemsty za wszelką cenę. Ceremonia ślubna miała być transmitowana przez liczne stacje telewizyjne, a zatem stanowiła idealną sposobność do ataku terrorystycznego.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gretchen nie widziała dotąd tylu ekip telewizyjnych, kamer i wozów transmisyjnych jednocześnie. Choć z góry została uprzedzona, że ślub i wesele będą transmitowane, nie przeczuwała, że to wydarzenie państwowe i towarzyskie spotka się z tak wielkim zainteresowaniem dziennikarzy i międzynarodowej publiczności.

Philippe cieszył się, że za kilka miesięcy urodzi się ich dziecko. Paru mieszkańców pałacu i kilka osób ze służby znało już tę wspaniałą nowinę. Jako pierwszy dowiedział się stary szejka, którego radość i wdzięczność była tak ogromna, że osobiście przeniósł do komnat synowej najpiękniejsze orchidee. To był jego prezent powitalny. Służba odgadywała jej życzenia i wypełniała skrupulatnie wszelkie rozkazy. Gretchen najbardziej cieszyła się z tego, że całą noc spała teraz w objęciach ukochanego męża.

Tylko lęk przed Kurtem Brauerem spędzał jej czasem sen z powiek. Zawsze pochmurniała, słysząc nienawistne imię i nazwisko. Stryj Philippe'a, który wcześniej dostarczał Brauerowi informacje na temat bratanka, zniknął z horyzontu, a jego nieobecność była niezwykle wymowna i stanowiła widomy dowód winy. Brat starego szejka uciekł z Qawi, zabierając ze sobą dawnego szefa pałacowej straży, i poprosił o azyl w jednym z sąsiednich państw. Jego zwolennicy przycichli albo znaleźli sobie bezpieczne kryjówki. Mimo pozornego spokoju, Philippe nie rezygnował ze środków ostrożności. Bojo raz po raz przemierzał pałacowe korytarze, szukając słabych punktów. Sama jego obecność wystarczyła, żeby odstraszyć potencjalnych zamachowców. Oczywiście towarzyszyli mu dawni najemnicy, którzy przylecieli z Teksasu prywatnym odrzutowcem szejka.

Najstarszy z nich, prawnik z wykształcenia, był teraz sędzią w Chicago. Nazywał się J. D. Brettman. Wraz z nim przyjechał przystojny blondyn, prowadzący rancho w stanie Montana. Kumple mówili do niego Dutch. Trzeci z dawnych najemników był typowym Latynosem. Nosił wąsy i miał czarujący sposób bycia. Nazywał się Laremos i mieszkał z rodziną koło Cancun w Meksyku. Gretchen dowiedziała się od Philippe'a, że dawno zrezygnowali z czynnej służby, ale zgodzili się pomóc w przygotowaniach do ślubu i wesela, ponieważ od dawna się z nim przyjaźnili. Do Qawi przyleciało także kilku młodszych wiekiem agentów z Jacobsville w Teksasie, którzy pracowali wcześniej nad sprawą narkotykowego magnata i jego meksykańskiego kartelu. Gretchen bardzo się zdziwiła, gdy wyszło na jaw, że uważany za odludka właściciel ranca Eb Scott także współpracował dawniej z grupą najemników, podobnie jak Cy Parks i Micah Steele.

Dzięki ich staraniom ochrona w Palais Tatluk działała na piątkę z plusem. Hassan chodził za Gretchen jak cień, a i Leila stale miała ją na oku. Tylko w nocy dawali jej spokój, ale wtedy była z mężem. Stary szejik także miał znakomitą ochronę. Najemnicy byli w swoim żywiole. Gretchen uznała, że dla tych czterdziestoparolatków nadzór nad ogromnym pałacem i uroczystością transmitowaną na cały świat stanowi doskonałą okazję do spożytkowania doświadczeń zdobywanych latami, zwłaszcza że mieli do dyspozycji spore sumy i znakomity sprzęt. Gretchen nie widziała jeszcze tylu elektronicznych gadżetów zgromadzonych w jednym miejscu.

Szczególnie podobał jej się mały nadajnik, który wyłapywał tylko odgłos kroków. Dźwięk przebijał się przez szmer i plusk fontanny albo głos z kasety wideo. Nawet Mark nie miał takiego cuda techniki.

- Przywykliśmy trzymać rękę na pulsie i nieustannie wyszukujemy takie nowinki - tłumaczył Gretchen jasnowłosy Dutch. Po chwili namysłu dodał z uśmiechem: - Dzięki temu wyszliśmy cało z wielu opresji i teraz możemy normalnie żyć.

Wszyscy założyliście rodziny, prawda?

- Tak. Moja żona urodziła dwóch synów i córkę. Laremos i jego pani mają parkę. Brettman i Gabby dochowali się córeczki. - Niespodziewanie wybuchnął śmiechem. - A wszyscy zarzekaliśmy się, że nie ma mowy o ślubie i bachorach.

- Ja też myślałam, że zostanę starą panną - wyznała Gretchen, spoglądając na smukłą postać męża, udzielającego wywiadu dwu dziennikarzom. Obok stał jego rzecznik prasowy.

- Wie pani zapewne, że o pani mężu jakiś czas temu krążyło mnóstwo plotek - mruknął kpiąco Dutch.

- Ludzie znów będą gadać, kiedy zacznę nosić ciężowe ubrania - oznajmiła przyciszonym głosem.

- Super! - ucieszył się Dutch.

Obronnym gestem położyła rękę na płaskim brzuchu i uśmiechnęła się tajemniczo, a Dutch obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Pani trochę przypomina moją Dani. Ona też strasznie cię cieszyła, że urodzi dziecko, chociaż fatalnie znosiła ciężę. Zresztą nie miała ze mną łatwego życia. Najpierw był szalony romans, wakacyjna przygoda, ale szybko się zorientowałem, że dla nas obojga to poważna sprawa. Mimo wszystko byłem przekonany, że w moim życiu właściwie nic się nie zmieni. Byłem najemnikiem i wojnę uważałem za swój żywioł. Sądziłem, że wielka miłość nie zmieni mojego życia. Chciałem robić to samo, co przedtem, a gdzieś daleko od bitewnego zgiełku

miała na mnie czekać kochająca i wierna kobieta. Nie zastanawiałem się nad tym, co ona czuje, że się o mnie boi, że nie śpi po nocach.

Byłem przecież twardzielem, nie myślałem o strachu, szukałem męskiej przygody - ciągnął z kpiącym uśmiechem. - Ale moja Dani nie chciała być grzeczną dziewczynką i postawiła warunki. Kiedy ich nie przyjąłem, kazała mi iść do diabła. No to poszedłem... ale po kilku miesiącach wróciłem jak niepyszny. Okropnie za nią tęskniłem, chociaż tak krótko się znaliśmy. Jak to mówią, miłość od pierwszego wejrzenia, choć początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że ją kocham. Kiedy do niej przyjechałem, była w zaawansowanej ciąży i czuła się fatalnie. Kazała mi spadać, ale jakoś ją ubłagałem i zgodziła się, żebym został do rozwiązania i opiekował się nią, póki nie urodzi. Postawiła na swoim. Nie ciągnie mnie już do wojaczki. Kiedy sprawa jest poważna i trzeba bronić ludzi przed terrorystami, chętnie wykorzystuję swoją wiedzę i umiejętności, ale nim zdecyduję się na udział w takiej akcji, zawsze pytam Dani, co o tym myśli. Gdyby się sprzeciwiła, zostałbym w domu i koniec. Tym razem powiedziała, że przyjaciołom trzeba pomagać, więc przyleciałem, ale nie będę się pchać na pierwszą linię. Zresztą jestem pewny, że szybko załatwimy tamtych drani. - Uśmiechnął się. - Kiedy Laremos powiedział, że pani mąż sam dałby sobie radę z terrorystami, uznałem, że kumpel nie wie, co gada. W markowych ciuchach Philippe wygląda jak urodzony dyplomata. Człowiek zmienia zdanie, kiedy zobaczy go z bronią w ręku podczas akcji, na polu walki.

- A pan go widział? - spytała zaciekawiona.

- Zapewne nikt jeszcze pani nie wspomniał, że należeliśmy do oddziału wyzwalającego Qawi z rąk terrorystów Brauera. Walczyliśmy na pierwszej linii razem z Philippe'em i jego ochroniarzami. - Gwizdnął z podziwem i pokręcił głową. - Pani mąż nie zwracał uwagi na pociski i robił swoje. Po raz pierwszy widziałem coś takiego. Ściągał dowódcę oddziału, który wcześniej zamordował Miram, służącą od lat w jego letniej rezydencji na wyspie Jameel. Lepiej nie będę pani opowiadać, co zrobił z tym skurwielem. Dodam tylko, że potem nawet zawodowi żołnierze położyli uszy po sobie i schodzili mu z drogi. Kiedy się rozgniewa, staje się nieprzewidywalny.

- Wiem coś o tym. - Gretchen zagryzła wargi i zarumieniła się lekko. - Zdarzyło mi się parę razy wyprowadzić go z równowagi.

Nie miała odwagi wyznać człowiekowi, którego niedawno poznała, że pod wpływem złości Philippe dwa razy rzucił się na nią jak dzikus. Zdarzyło mu się również porwać na niej ubranie. Melodramatyczny chwyt jak z filmu niemego, ale to działa na kobietę, o ile

wybuchowemu temperamentowi towarzyszy bezinteresowna czułość i szczerą troską o ukochaną kobietę. Philippe szybko tracił cierpliwość, ale serce miał na właściwym miejscu.

Dutch roześmiał się, bo doskonale wiedział, co miała na myśli.

- Fakt, w gniewie bywa straszny. Pewnie dlatego prześladował ochroniarza, który panią obraził. Gość dostał zwolnienie lekarskie, więc chyba porządnie oberwał, kiedy...

- O Boże! - jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach! - Przecież wcale nie kopnęłam go tak mocno!

- Spokojnie, pani kopniak to małe piwo - mruknął, starannie regulując elektroniczne czujniki. - Chłopak dostał pięścią w szczękę. Stracił podobno kilka zębów i został zdegradowany. Opiekuje się teraz najstarszym wielbłądem w stajni Philippe'a. Ten dzielny wierzchowiec to żywa pamiątka z czasów powstania przeciwko Europejczykom, po którym potomek rodu Talluk ponownie objął rządy w Qawi.

- Philippe uderzył tego ochroniarza?

- Moim zdaniem chłopak zainkasował kilka mocnych ciosów. Teraz może być pani absolutnie pewna, że ani jeden facet w tym kraju nie ośmieli się twierdzić, że nie jest pani mężatką. Żaden nie potraktuje pani lekceważąco.

- Wiele powinnam się nauczyć o ludziach oraz ich sposobie myślenia - stwierdziła półgłosem, a potem uśmiechnęła się do Dutcha, który wydawał się czymś ubawiony.

- Taka wiedza zawsze się przydaje. My też sporo o pani wiemy. Bardzo nam się podobał konny rajd troskliwej żony uzbrojonej w colta kaliber 45 - powiedział z uznaniem. - Szkoda, że nie ma tu mojej Dani. Pomogła mi kiedyś obezwładnić porywacza samolotu uzbrojonego w nóż. A Gabby, żona J. D.! Po prostu zastrzeliła gościa, który chciał go zabić w gwatemalskiej dżungli.

Gretchen wyczuła, że Dutch miał wielką ochotę powspominać, jak wspólnie z Dani uporali się z terrorystą. Najwyraźniej tęsknił za żoną i dlatego chętnie o niej opowiadał.

- To niesamowite, że udało wam się obezwładnić porywacza - odparła z ciekawością. - Rzuciliście się na niego we dwoje?

- O nie! Taka akcja byłaby zbyt ryzykowna. Zresztą Dani jest drobniutka, a wtedy nie miała jeszcze pojęcia o samoobronie. Potem nieźle ją wyszkoliłem. W razie potrzeby umie przyłożyć z pięchy aż miło. Pani ma za to niezłego kopa. - Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. - Ale wróćmy do próby porwania samolotu. Jestem szybki i bardzo sprawny, więc bez trudu dałbym sobie radę z terrorystą, ale ktoś musiał odwrócić jego uwagę, żebym miał czystą sytuację. Dani nie wahała się ani przez moment. Świetnie udawała histeryczkę, co zresztą było naprawdę niebezpieczne. Gdyby facet uznał, że trzeba ją

natychmiast uciszyć, zginęłaby na miejscu. Wrzeszczała na całe gardło, że jest jej niedobrze i musi do łazienki, że będzie rzygać, że chce siusiu, i to natychmiast, i tak dalej. Facet zbaraniał, a ja się na niego rzuciłem i było po sprawie. Słowo daję, akcja jak z filmu. A Dani była super...

Nadal jest. Cicha woda, proszę pani. Niby łagodna i spokojna, a zawsze postawi na swoim. Wszystkie nasze panie takie są.

- Pewnie to dziewczyny z Teksasu, zgadłam? - spytała żartobliwie. Szczerze podziwiała kobiety, o których mówił Dutch.

Pożegnała go uśmiechem i poszła dalej. Czuła się bezpieczna i dobrze strzeżona.

Zwyczajne poprzedzające ceremonię ślubną zachwyciły Gretchen. Leila i inne kobiety z pałacowej służby pomagały jej malować henną ręce i stopy. Przez kilka dni odbywały się niezliczone spotkania i przyjęcia, stanowiące wstęp do uroczystości, podczas której miała zostać na zawsze poślubiona swemu przystojnemu mężowi.

Lista gości była równie ciekawa jak te wszystkie gorączkowe przygotowania. Gretchen z drżeniem serca czytała nazwiska wybitnych polityków i imiona władców. Nie ucieszyła się zbytnio, kiedy odkryła, że Brianne Button i jej mąż Pierce również zostali zaproszeni, a ich nazwiska umieszczone zostały na samej górze, ale machnęła na to ręką, ponieważ nabierała pewności, że Philippe naprawdę ją kocha. Kiedy rozmawiali teraz o Brianne, mówił o niej z szacunkiem, ale bez tęsknoty.

Nadszedł wreszcie dzień ślubu. Od rana trwały ostatnie przygotowania, które stopniowo nabierały tempa. Pałacowa straż była w pełnej gotowości. Montowano nie rzucające się w oczy wykrywacze metali. Komnaty zostały naszpikowane aparatami podsłuchowymi i kamerami. Wszędzie kręcili się ochroniarze Philippe'a i przybyli z Ameryki faceci w czerni, czyli agenci rządowi. Był wśród nich Russell. Ubrana w ślubną suknię Gretchen miała właśnie opuścić swoją komnatę, gdy przez uchylone drzwi zobaczyła, jak wystraszony agent znika w krętym korytarzu, aby uniknąć spotkania z jej postawnym bratem, o którym mówiło się, zresztą całkiem słusznie, że potrafi zatruć życie ludziom, których nie lubi.

Poranek ciągnął się w nieskończoność. Pod imponujące drzwi katedry raz po raz podjeżdżały limuzyny, z których wysiadali dostojni goście przywiezieni z lotniska. Włączono kamery i rozpoczęła się transmisja telewizyjna. Ważne osobistości zajmowały miejsca w ogromnym kościele, wzniesionym czterysta lat temu przez Hiszpanów. Biskup w ceremonialnych szatach czekał już w głębi kościoła. Mark prowadził Gretchen po czerwonym dywanie do ołtarza, przy którym czekał Philippe. Miał na sobie tradycyjny strój szejka.

Wbrew natrętnym obawom, Gretchen udało się nareszcie zapomnieć o Kurcie Brauerze i jego knowaniach. Zastosowano tyle zabezpieczeń, że nawet mysz się nie prześlizgnie, uznała w duchu. Była przekonana, że przebiegu ceremonii nie zakłóci żaden przykry incydent. Stała obok Philippe'a, powtarzając z przejęciem słowa przysięgi małżeńskiej, a w jego głosie również słyszała wzruszenie. Tak samo jak na pustyni wy - jął ozdobny sztylet, przeciął nim mały bochenek chleba i połowę wręczył Gretchen. Chrześcijańska tradycja przejęła pustynny rytuał dzielenia się chlebem. Kapłan ogłosił ich mężem i żoną, ale nie było mowy o pocałunku przed ołtarzem. Co kraj, to obyczaj. Philippe uśmiechnął się do Gretchen i stanął twarzą do zgromadzonych w katedrze gości, żeby im przedstawić swoją królową.

Huk eksplozji, który rozległ się za ich plecami, zdawał się dobiegać z innego świata. Gretchen nie miała pojęcia, co się dzieje, ale Philippe natychmiast pociągnął ją na podłogę i osłonił własnym ciałem. Policzek miała przyciśnięty do grubego dywanu usianego odłamkami kamienia i cegieł. W kościelnym wnętrzu unosił się szary pył. Padły strzały i wybuchła panika. Ludzie pędzili do wyjścia, tłocząc się i popychając. Ktoś wrzeszczał, żeby jak najszybciej opuścić katedrę. Uzbrojeni po zęby ochroniarze instynktownie skupili się wokół młodej pary.

Philippe kłął szpetnie, pomagając żonie wstać. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co z biskupem, który dopiero ochłonał po wybuchu i usiadł niezdarnie. Gretchen podbiegła, żeby go podtrzymać.

- O Boże! Jak samopoczucie? Czy ksiądz jest ranny? - wypytywała troskliwie.

- Wszystko dobrze, moje dziecko? A ty? - odparł.

- Nic mi nie jest. - Popatrzyła na męża i rozpoznała symptomy cichej furii. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy Philippe wydawał rozkazy ochroniarzom.

Dutch van Meer przedzierał się między przewróconymi krzesłami, trzymając w ręku pistolet maszynowy. Nie przypominał wesołego kompana, z którym niedawno gawędziła, raz po raz wybuchając śmiechem. Wydawał się równie groźny jak Philippe. Spojrzenia ich obu były zimne i twarde niczym stal, kiedy popatrzyli sobie w oczy.

- Brauer w ostatniej chwili przysłał swojego człowieka, który ukradkiem poumieszczał ładunki. Były schowane w basenie dużej chrzcielnicy, której nie sprawdziliśmy. Przepraszam, że cię zawiodłem. Starość nie radość.

- Nie rób sobie wyrzutów. Moi ochroniarze z Bojem na czele również tam nie zaglądali. Materiał wybuchowy w wodzie, praktycznie na wierzchu? Kto by na to poszedł? - tłumaczył Philippe.

- Mamy gościa, który odwalił tę robotę - ciągnął Dutch. - Wyciągnęliśmy z niego, że Brauer ma trzydziestu ludzi. Lecą tu dwoma nowiutkim helikopterami. Chcą się przemknąć poniżej zasięgu radarów i porwać cię na oczach tych wszystkich dziennikarzy.

- Śmiały plan - mruknął ironicznie Philippe. - Nie potrzebuję kryształowej kuli, żeby odgadnąć, skąd Brauer wziął pieniądze na wynajęcie ludzi i zakup sprzętu. Tak urzęduję mego stryja, że raz na zawsze zapomni o istnieniu Qawi. A Brauera trzeba wykończyć, i to szybko. - Rzucił rozkaz Hassanowi, który od dawna czekał w pobliżu, i podbiegł do ojca, który stał w głębi kościoła i coś krzyczał, wymachując rękami.

Philippe przyprowadził go między ochroniarzy. Nim podeszli, Dutch zwrócił się do Gretchen:

- Niech pani ma oczy szeroko otwarte. Brauer to chytra sztuka i bardzo trudny przeciwnik. Proszę go nie lekceważyć. Moim zdaniem jest pani równie mocno zagrożona jak Philippe.

- Dlaczego? - spytała zdumiona.

- Ponieważ szejka zrobi wszystko, by panią ocalić, a Brauer jest tego świadomy. Dzisiejszy ślub to widomy dowód, że stała się pani dla Philippe'a znacznie ważniejsza niż Brianne Hutton.

Gretchen zakłęta cichutko i obiecała, że będzie ostrożna. W tej samej chwili podbiegł do niej uzbrojony Mark.

- Cała i zdrowa? - zapytał krótko. Widać było, jak bardzo niepokoił się o młodszą siostrę.

- Spoko. A ty?

Kiwnął głową, przytulił Gretchen, a tymczasem Dutch odszedł, żeby porozmawiać z Philippe'em. Mark sięgnął do kabury ukrytej pod nogawką spodni i podał Gretchen mały pistolet z uciętą lufą.

- Wiesz, do czego służy - powiedział, zaś ona spokojnie kiwnęła głową, a po chwili dodała z ponurym uśmiechem:

- Jeśli Brauer wtargnie do pałacu, będzie tego żałował do końca życia. Jak śmiał zepsuć mi wesele!

- Uważaj, jak będziesz strzelać, bo zrobisz sobie krzywdę - poradził Mark z pobłażliwym uśmiechem.

- Z ust mi to wyjąłeś. Ty też nie ryzykuj za bardzo - dodała tonem nie znoszącym sprzeciwu. Popatrzyła na jego twarz z wyraźnymi oznakami znużenia i pogłaskała opalony

policzek. - Biedaku - szepnęła współczująco. - Nie jest ci łatwo. Przykro mi, że twoje sprawy tak się pogmatwały.

- Życie to nie bajka. - Posmutniał i odwrócił wzrok.

- Ona nie ma do ciebie pretensji - odparła z naciskiem Gretchen.

- Wystarczy, że ja czuję się winny. - Szukał wzrokiem Philippe'a. - Dzisiejszy incydent też nie poprawił mi samopoczucia. Powinienem był zajrzeć do tej chrzcielnicy.

- Myślałeś jak agent federalny, nie jak terrorysta. Szef ochroniarzy popełnił ten sam błąd. Widzisz, jak unika Philippe'a? Obaj dostaliście nauczkę, więc przestańcie się zadręczać, bo to niewiele pomoże.

- Twój mąż to fajny facet. Nie stracił zimnej krwi - powiedział z uśmiechem Mark. -
Lubię go.

- Aha, pewnie dlatego, że Russel się go boi - odparła, grożąc mu palcem.

Raz jeszcze ją uściśnął, obejrzał się i szepnął ostrzegawczo:

- Te hieny z mediów już tu są. Schowaj broń i znikaj. Nie potrzebujesz taniej popularności.

- Ty również nic im nie mów.

- Trzymaj się blisko ochroniarzy.

Kiwnęła głową i odeszła w stronę ołtarza, z trudem torując sobie drogę wśród stosów cegieł, kamieni i połamanego drewna. Nadal drżała pod wpływem szoku spowodowanego wybuchem. Dopiero teraz poczuła ulgę, bo przecież uszła z życiem.

Philippe znów pojawił się obok niej. Sprawdził, czy nie jest ranna lub posiniaczona, a potem westchnął głęboko i pocałował ją w czoło.

- Zostawiam ci Hassana i Leilę. Na mnie już pora.

- Dokąd się wybierasz? - spytała przerażona.

- Trzeba schwytać Brauera, nim zaatakuje pałac - odparł, dając znak Bojowi, Markowi i trzem pozostałym najemnikom.

- Chcę być z tobą! - krzyknęła. Położył dłonie na jej ramionach.

- Musisz chronić nasze dziecko - tłumaczył łagodnie. - Przez wzgląd na nie wystrzegaj się ryzyka. Zrozumiałaś?

- Nie mogę bez ciebie żyć - szepnęła, dotykając opuszkami palców jego ust.

To zdanie było proste, prawdziwe i wyjątkowo przejmujące. Philippe zacisnął zęby, ujął jej dłoń i pocałował namiętnie. Życie stało się cenne; zbyt cenne, żeby nim szafować. Patrzył na Gretchen z lękiem i rozpaczą. Nie chciał jej teraz zostawiać, ale gdyby uległ

pokusie, wszyscy znaleźliby się w ogromnym niebezpieczeństwie. Trzeba uprzedzić atak Brauera i jego bandy szaleńców.

- Uważaj na nią, jeśli ci życie miłe! - zawołał do Hassana, odwrócił się i odszedł.

- Poradzi sobie - mruknął Dutch z groźną miną. - Proszę pamiętać, że zjednoczył dziesięć najbardziej wojowniczych na Bliskim Wschodzie plemion nomadów, więc z terrorystami też da sobie radę.

- Mam nadzieję - szepnęła, patrząc na niego z rozpaczą w oczach.

- Naprawdę powinna pani zajrzeć do podręcznika historii najnowszej tego kraju. Co pani wie o swoim mężu? - dodał trochę rozbawiony.

- Chciałabym tylko mieć dużo czasu, żeby go dobrze poznać. To moje największe pragnienie - odparła szczerze.

Przez godzinę pałac szejka przypominał szpital dla obłąkanych. Wszędzie kręcili się dziennikarze. Zadawali pytania każdemu, kto znał angielski albo jeden z dwunastu innych języków. Gretchen uciekła z Leilą do kobiecego skrzydła, a Hassan deptał im po piętach. W rękę trzymał pistolet maszynowy. Rozglądał się czujnie na wszystkie strony i przystawał na widok zamkniętych drzwi.

- Boi się - powiedziała cicho Leila. - Ja też. Ten Brauer przypomina jadowitego węża: jest sprytny i atakuje z zaskoczenia. Moim zdaniem nie można wierzyć człowiekowi, który wspominał o ataku helikopterów. Znam go, jest przekupny, za pieniądze gotów zrobić wszystko. Zbyt łatwo zaczął sypać. Nasi mężczyźni nie zwrócili na to uwagi, bo wybuch całkiem ich zaskoczył i okropnie przeraził. Przestali myśleć logicznie i dlatego nie przeanalizowali na zimno jego słów.

- Twoim zdaniem to fałszywa wiadomość? - zapytała z obawą Gretchen, a Leila pokiwała głową.

- Prawdopodobnie tak. Terrorysty nie zdobędą pałacu, nawet gdyby ich była trzydziestka, natomiast paru ludzi i przekupiona straż to gwarantowany sukces.

Gretchen poczuła, że chłodny metal pistoletu schowanego pod ślubną suknią dotyka jej uda. Przymknęła oczy i układała plan działania.

- Musimy schronić się w twojej sypialni, pani, i zaniknąć się na klucz - powiedziała stanowczo Leila. - Tylko wtedy będziemy zupełnie bezpieczne.

- Nie masz racji - sprzeciwiła się Gretchen i zmarszczyła czoło. - To nie jest dobra kryjówka. Na miejscu Brauera tam bym się właśnie ukryła. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że wróg publiczny numer jeden przebywa w komnatach żony szejka. - Zwróciła się do

Hassana. - Przyrowadź ochroniarza, którego kopnęłam. Jest w stajni, bo za karę opiekuje się najstarszym wielbłądem.

- Słucham, *madame*? - Hassan wybałuszył w zdumieniu czarne oczy.

- Cały sza - KUSZ wyruszył z moim mężem - tłumaczyła - ale możemy mieć dodatkowego ochroniarza, więc trzeba go tu ściągnąć. Wracając, sprowadź także starego szejka. Jego bezpieczeństwo jest równie ważne jak moje.

Hassan na szczęście nie zadawał pytań, tylko natychmiast zaczął wykonywać polecenia.

- Musimy zastawić pułapkę - tłumaczyła Leili. - Biegnij do pralni i przynieś dwie męskie szaty pasujące na ciebie i na mnie oraz dwie kobiece, odpowiednie dla Hassana i chłopca stajennego.

- Moja pani nieźle kombinuje. Ile przebiegłości. - Oczy Leili zabłyśły kpiąco.

- Jestem dziewczyną z Teksasu, a to zobowiązuje - odparła z chełpliwym uśmiechem.

- Z takimi jak ja nawet międzynarodowi terroryści łatwo nie wygrają!

Ukarany strażnik początkowo czuł się niezręcznie w obecności Gretchen i natychmiast zaczął przeproszać za swoje dawne winy, ale natychmiast dała mu znak, aby zamilkł.

- Ja również czuję się winna, bo mój mąż uderzył cię i podobno straciłeś kilka zębów, co przecież nie było moim życzeniem. Nie wracajmy do tej sprawy - powiedziała stanowczo.

- Teraz masz okazję przyczynić się do ocalenia nas wszystkich. Jeśli ci się powiedzie, szejki zapomni o wykroczeniu i cofnie karę.

Sądzę, że Brauer ukrył się w moich komnatach. Leila i ja przebierzemy się za mężczyzn i będziemy ukradkiem patrolować korytarz, a wy dwaj niespodziewanie wejdziecie do środka. Niech myśli, że was zaskoczył. Zaczniecie z nimi walczyć, a wtedy przyjdziemy wam w sukurs. Nie może być ich wielu, więc na pewno wygramy. Obie mamy broń. - Pokazała swój pistolet, a potem wyciągnęła zza paska stajennego krótką broń i podała Leili. - Umiesz strzelać? - zapytała.

- Oczywiście - padła krótka odpowiedź. - Przecież mój mąż służy w sza - KUSZ. - Leila uśmiechnęła się szeroko.

- W takim razie ruszamy. Kurta Brauera czeka wyjątkowo paskudna niespodzianka. Do końca życia będzie pamiętał dzisiejsze rozczarowanie. A dziennikarzom z całego świata przygotujemy prawdziwą sensację. Wesele szejka to przy niej istna błahostka. Przebieramy się i do boju!

Rozdrażniony Philippe siedział obok Dutcha i Bojo w kabinie małego helikoptera i przyjmował meldunki dowódców pozostałych maszyn.

- Śmigłowce Brauera jeszcze się nie pokazały, o ile w ogóle istnieją - oznajmił gniewnie. - Patrole straży granicznej donoszą, że trafiły na ślad dwóch aut terenowych, które przekroczyły granicę i zacierają w stronę pałacu. Monitorujemy je przez satelitę. Przechytrzyli nas! Ich człowiek przekazał fałszywe informacje.

A tak między nami, coś mi mówiło, że nie powinienem ich brać pod uwagę!

- Drugi raz nie popełnisz takiego błędu - uspokajał go Dutch. - Uczymy się na doświadczeniach. Szkoda, że nie będzie potyczki. Mogliśmy zyskać sławę jako obrońcy niewinnych i uciśnionych. Można by chwalić się przed dziećmiakami.

- Gretchen - jęknął Philippe. - I mój ojciec! Zostawiliśmy ich na łasce losu! Zawracaj - rozkazał nagle pilotowi. - Do pałacu! Maksymalna szybkość!

- Tak jest, sadi - padła krótka odpowiedź. Wkrótce helikoptery pomknęły w przeciwnym kierunku.

Mężczyźni narzucili fałdziste galabije - rzecz jasna w osobnym pokoju - i starannie zasłonili twarze chustami zwanymi hijabs. Stary szejka pieklił się, że nie wyznaczili mu żadnego zadania, ale obiecał, że przez jakiś czas pozostanie w ukryciu.

Młody strażnik rzucił oskarżycielskie spojrzenie Gretchen, odzianej w męską szatę i chustę z sznurkową opaską zwaną igal.

- Jedno słowo, a z mego rozkazu jeszcze długo nie zdejmiesz kobiecego przebrania - ostrzegła. - Mamy zadanie do wykonania, a zatem cel uświęca środki.

- Moja pani gada niczym sierżant w jednostce, gdzie służyłem jako młody rekrut - mruknął Hassan.

Spowity w kobiecą szatę, posturą był podobny do mistrzyni świata w pchnięciu kulą.

- Jeśli usłyszę, że przypominam ci go z wyglądu, przez najbliższe pięć lat będziesz strzec piaszczystych wydm na granicy - zapowiedziała Gretchen.

- Przecież milczę jak głaz, *madame*, słowo daję! Spojrzała na Leilę, która wyglądała trochę dziwnie i czuła się okropnie. Gretchen ukryła pistolet w fałdach szaty i dała znak, żeby Leila uczyniła tak samo. Ruchem ręki nakazała mężczyznom, aby ruszyli w stronę jej apartamentów i bez pośpiechu weszli do sypialni. Wraz z Leilą przyczaiła się w bocznym korytarzu, skąd mogły śledzić rozwój sytuacji. Kurt Brauer z dwoma kompanami czekał ukryty za kotarą. Na widok dwu tęgich matron wchodzących do sypialni otworzył szeroko zdziwione oczy i przez moment wydawał się zbity z tropu. Był wściekły.

- Gdzie żona szejka? - zapytał po angielsku. Prawdopodobnie nie znał arabskiego.

- Nasza pani? Zabrali ją do szpitala - biadolili płacząco młody strażnik. - Została ciężko ranna podczas eksplozji w katedrze! Przyszliśmy po jej rzeczy.

- A jej mąż? - przesłuchiwał damy dwora nieco uspokojony Brauer.

- Czuwa przy rannej. Kim jesteście? Co robicie w sypialni mojej pani? - wypytywał cieniem głosem zdeglustowany strażnik.

- Mniejsza z tym. Gdzie jest ten szpital?

Strażnik udzielił wyczerpującej odpowiedzi. Brauer nieufnie przyglądał się służebnym.

- Ale brzydkie te Arabki! Za grosz wdzięku. Tłuste babska - mruknął. - Chłopaki, jazda za drzwiami, pilnujcie korytarza! - rozkazał swoim ludziom.

Za drzwiami czekały na nich panie z pistoletami gotowymi do strzału.

- Powiedz słowo, a przeniesiesz się na tamten świat z wielką dziurą w brzuchu - powiedziała Gretchen zduszonym szeptem, popychając jeńca w stronę bocznego korytarza.

Leila rzuciła gardłowy rozkaz po arabsku i wsunęła lufę pod żebra ubranego w panterkę drugiego terrorysty. Natychmiast kazały im oddać broń, którą mężczyźni skwapliwie rzucili na podłogę.

- Co to za hałasy? - burknął zniecierpliwiony Brauer. - Chłopaki, czemu...

Z korytarza dobiegł łoskot i nagle zrobiło się cicho. Brauer ruszył do drzwi i od razu wylądował na podłodze, bo młody strażnik rzucił się na niego. Gretchen podziwiała zwinność i siłę chłopaka, którego maniery pozostawiały wiele do życzenia, natomiast wykszolenie było nienaganne. Kurt Brauer w mgnieniu oka został obezwładniony, unieszkodliwiony i starannie związany pasami tkaniny z kobiecych szat.

- Świetnie się spisałeś, młody człowieku - pochwaliła Gretchen z błyskiem aprobaty w zielonych oczach. - Nie warto spisywać cię na straty.

Strażnik uśmiechnął się szeroko. Obaj z Hassanem pozbyli się natychmiast kobiecego przebrania i rzucili ciuchy na podłogę. Pod galabijami nosili męskie stroje. Poprowadzili związanych jeńców głównym korytarzem. Panie w mgnieniu oka również się przebrały i pobieły za nimi.

Stary szejek usłyszał tupot nóg, ukradkiem wyjrzał ze swojej kryjówki i zobaczył schwytanych terrorystów. Na widok synowej i jej służącej uśmiechnął się od ucha do ucha. Gretchen czuła, że rozpiera go duma, więc od razu się rozpromieniła.

- Proszę. - Wręczyła mu pistolet i zachęciła, aby dołączył do uzbrojonych ochroniarzy. Unikała najlżejszego dotknięcia, które oznaczałoby złamanie plemiennych zakazów. - Proszę iść z Hassanem i tym drugim młodzieńcem. Będzie pan miał dobrą prasę.

- Chcesz mi oddać własną sławę? - Starszy pan był wyraźnie zbity z tropu. - Mimo wszystkich obraźliwych uwag i aluzji na temat młodych Amerykanek i rozwiązanych cudzoziemek?

- Będzie pan dziadkiem mojego maleństwa - przypomniała, wzruszając ramionami.

- Owszem. I teściem, więc skończ z tym panem. Od dziś uważam się za twego ojca i tak masz się do mnie zwracać. - Uśmiechnął się szczerze i serdecznie, a potem oddał jej pistolet i wielkimi rękami ujął małą dłoń. - Zostaniesz wkrótce matką następcy tronu, o której pustynni nomadzi przy ogniskach będą opowiadać wspaniałe historie. Twójemu dziecku wyjdzie na dobre, jeśli zaczniesz się o tobie mówić, że masz serce dzielnego sokoła. Idź, córko. - Popchnął ją lekko w stronę tłumy, który wyszedł na spotkanie związanym i upokorzonym terrorystom.

- Kurt Brauer - mruknął Pierce, mąż Brianne, z drwiącym uśmiechem. Skinął na dziennikarzy. - Sądzę, że większość amerykańskich reporterów pamięta tego łotra. Przed dwoma laty zaatakował Qawi, wraz z najemnymi żołdakami mordował kobiety i dzieci, a potem na krótko trafił do rosyjskiego więzienia. Tym razem będzie sądzony w Qawi, więc czeka go zapewne dożywocie.

- Masz całkowitą rację! - dobiegł z za jego pleców pełen pasji, niski głos. Należał do Philippe'a, który podszedł bliżej, otoczony najemnikami i ochroniarzami. Wciąż miał na sobie tradycyjny weselny strój. Przyjrzał się Kurtowi i jego kompanom. Rzucił badawcze spojrzenie na Hassana i zdegradowanego ochroniarza, na Gretchen trzymającą pistolet brata i Leile, również z bronią w ręku. Cała czwórka stała za grupą jeńców. Philippe dodał z promiennym uśmiechem: - Jak państwo widzą, w szejkanacie Qawi kobiety również bywają niebezpieczne!

Straż odprowadziła na bok Brauera i jego kompanów. Reporterzy z całego świata robili zdjęcia Gretchen i Leili, które nadal dzierżyły w rękach pistolety. Dzisiejsze wydarzenia były dla dziennikarzy nie lada gratką. Philippe z założonymi na piersi rękoma usunął się na bok, obserwując z uśmiechem i niewyobrażalną dumą przybyszów z całego świata, którzy robili wywiady z jego żoną, fotografowali ją ze wszystkich stron, wychwalali pod niebiosa, składali gratulacje i szczerze podziwiali. Wśród jej admiratorów byli też zagraniczni dygnitarze. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych prawem kuzyna pocałował ją w policzek, a przedstawiciele Rosji oraz Izraela ze wzruszeniem uściśnęli małą dłoń. Inni też cisnęli się do niej, by wyrazić swoje uznanie, Była bardzo dumna i niewyobrażalnie szczęśliwa, ale nadmiar wrażeń i zmęczenie, typowe w odmiennym stanie, okazały się ponad jej siły. Niespodziewanie zemdląca.

Philippe natychmiast znalazł się przy żonie. Poklepywał jej dłonie, wsunął rękę pod chustę na głowie i głaskał po włosach.

- Gretchen. Skarbie! Jak się czujesz? - zapytał. W jego głosie słyszało się zaniepokojenie i prawdziwą troskę.

Otworzyła oczy. Czuła się oszołomiona, było jej zimno, dostała mdłości. Popatrzyła na męża i uśmiechnęła się czule.

- Polowanie na agresorów nie jest chyba ulubioną rozrywką kobiet w ciąży.

- Zapewne, ale muszę przyznać, że zemdlałaś w idealnym momencie. Masz wycucie chwili, kochana moja. - Wziął ją na ręce, a gdy przytuliła się do niego, musnął wargami przymknięte powieki.

- Ciąża? Pani Sabon... To znaczy wasza wysokość oczekuje dziecka? - zapytał ktoś z dziennikarzy, nie kryjąc zdziwienia.

- No pewnie! - przytaknęła. - Możecie wszyscy przyjechać na chrzciny. A teraz wracam do łóżka i proszę o marynaty z lodami truskawkowymi. - Uśmiechnęła się do reporterów, którzy zrozumieli ten żarcik i wybuchnęli śmiechem.

Tymczasem Kurt Brauer obrzucał przekleństwami siebie i kumpli. Strażnicy odprowadzili całą trójkę do pałacowego aresztu. Gretchen poczuła ulgę, bo nareszcie mieli problem z głowy. Pocałowała męża w policzek i szyję. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej.

- Dobrze się spisałam?

- Wspaniale - zapewnił. - Jak to było?

Gretchen zawahała się i doszła do wniosku, że warto mieć jakiegoś haka na swego mężczyznę, bo czasami trzeba go postraszyć, żeby postawić na swoim. Zrobiła minę niewiniątka.

- No wiesz, mało pamiętam. Wszystko działo się tak szybko. Na szczęście Hassan i zdegradowany strażnik zachowali się przytomnie. Wykorzystali element zaskoczenia i obezwładnili Brauera, który zakradł się do moich komnat. Leila i ja trzymałyśmy na muszce jego żołdaków. Tak to wyglądało.

- Dutch z resztą naszych ludzi otoczył i zmusił do poddania się oddział Brauera. Mamy dwu rannych, ale pozostali wyszli z tego bez szwanku. Podczas wybuchu w katedrze też obyło bez poważniejszych obrażeń. Jestem pewny, że Brauer kazał podłożyć ładunek, żeby zabić nas dwoje. Gdy ten sposób zawiódł, musiał poszukać innego.

- Ale partacz! Marny jest w swoim fachu - mruknęła Gretchen. - Może za kratkami nauczy się pożytecznego rzemiosła.

- W naszych więzieniach nie ma takiej możliwości. Panuje ostry rygor - odparł bez namysłu.

- Skoro poruszyłeś temat więziennictwa, moim zdaniem konieczna jest głęboka reforma. - Popatrzyła na męża z kpiącym uśmiechem, a jego rozpaczliwy jęk szczerze rozbawił starego szejka i Leilę, którzy słuchali tej rozmowy z tajemniczymi uśmiechami, ale milczeli jak zakłęci.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Czas dłużył się Gretchen w nieskończoność, gdy czekała, aż Philippe wróci do ich sypialni. Dawno zdjęła piękną ślubną szatę i włożyła ulubiony domowy strój. Gdy mąż wreszcie się zjawił, zamknął drzwi i z uśmiechem otworzył ramiona, podbiegła, by natychmiast się w nie rzucić. Przytuliła go tak mocno, jakby żywiła obawę, że ktoś może ich rozdzielić.

- Panujemy nad sytuacją - zapewnił przyciszonym głosem i zamknął ją w ciasnym uścisku. - Mamy w areszcie Brauera i większość jego ludzi. Wszyscy staną przed sądem.

- Nie wypuścimy ich nigdy z więzienia - powiedziała, tuląc się do niego jeszcze mocniej.

Pocałował ją w czoło i powiedział z ożywieniem:

- Chodź ze mną, przedstawię ci kilku znajomych.

- Chwileczkę - odparła, sięgając po swoją abę, narzuciła ją na domowy strój i poszła za nim.

Uśmiechnęła się tajemniczo, widząc jego zaskoczoną minę. Wziął ją pod rękę i poprowadził ku drzwiom wiodącym do salonu. Kiedy je otworzył, natychmiast rozpoznała Brianne Hutton. Obok niej stał przystojny brunet, którego spotkała dziś u wylotu korytarza po schwytaniu Brauera i dwu jego ludzi. Towarzyszyła im młoda blondynka i elegancki ciemnowłosy mężczyzna, których Gretchen widziała po raz pierwszy.

- Poznałaś już Brianne - powiedział Philippe, obejmując ją w talii. - Pierce jest jej mężem, a to Cecily i Tate Whinthrop.

- Miło mi was poznać - oznajmiła swoim łagodnym głosem i uśmiechnęła się na powitanie.

- Muszę przyznać - mruknął niechętnie Pierce - że widzę podobieństwo...

- Owszem, ale nieznaczne - przerwał Philippe, mrugając porozumiewawczo do żony.

- Słuszna uwaga - zgodził się Pierce i objął ramieniem Brianne. - Ślicznie pani wygląda, chociaż był to; wyjątkowo męczący dzień - zwrócił się do Gretchen. - Mam nadzieję, że już pani ochłonęła po tych wszystkich przeżyciach.

Gretchen przytuliła głowę do ramienia Philippe'a i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Wszystko w porządku, czuję się tylko znużona, ale to naturalne.

- Jak to przyszła mama - dodał Philippe z czułością zapierającą dech w piersiach.

Uradowana Brianne westchnęła głęboko, ale nie kryła zdumienia. Jej zielone oczy pojaśniały z radości. Philippe roześmiał się cicho, a na policzki wystąpiły mu ciemne rumieńce.

- Miałaś rację, cuda się zdarzają. Gretchen sprawiła, że na nowo w nie uwierzyłem.

- Niesamowite - szepnął Pierce Hutton i gwizdnął cicho. Zaskoczony popatrzył na Brianne, która skrzywiła się lekko, jakby chciała zapytać, czy nadal śmie podejrzewać jej serdecznego przyjaciela Philippe'a Sa - bona o brak lojalności, ale Pierce najwyraźniej raz na zawsze zapomniał o swoich wątpliwościach.

- Zawsze wierzyłam w cuda - zapewniła cicho Cecily Winthrop, spoglądając na przystojnego męża. - Tate i ja oczekujemy drugiego dziecka. Nasz pierworodny został z dziadkami w hotelu. Bogu dzięki, że ani my, ani Brianne nie zabraliśmy naszych pociech do katedry!

- Matt i Leta Holdenowie zgodzili się z nim zostać - wtrącił z uśmiechem Pierce.

- To było okropne - przyznała Gretchen i z dumą spojrzała na Philippe'a. - Na szczęście wspólnymi siłami opanowaliśmy sytuację.

Goście zjedli w pałacu późną kolację i zamierzali wkrótce udać się do hotelu. Następnego dnia z samego rana musieli być na lotnisku. Siedzieli jeszcze przy stole, gdy zjawił się Mark. Życzył siostrze wiele szczęścia i z porozumiewawczym uśmiechem odebrał swój pistolet. Serdecznie uścisnął dłoń szwagra. Goście pożegnali się i wyszli, a Gretchen i Philippe poszli do sypialni. Oboje byli bardzo zmęczeni i senni. W korytarzu spotkali starego szejka. Minę miał ponurą i był wyraźnie zakłopotany.

- Co się stało? - zapytał Philippe. - Jego ojciec wzruszył ramionami.

- Nic - odparł pospiesznie, a potem dodał, spoglądając na nich badawczo: - W każdym razie nic po - ważnego.

- Ojczel! - Philippe nie dawał za wygraną. Starszy pan raz jeszcze wzruszył ramionami i niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Ksiądz Felipe palnął mi takie kazanie, że Wciąż nie mogę dojść do siebie. To było okropne!

- Za co cię tak zbeształ?

- Dowiedział się, że twoja żona skłęta ochroniarza. Ten chłopak jest najmłodszym synem przywódcy jednego z beduińskich plemion, a jego ojciec nie posiada się z radości, że zatrzymałeś młodego człowieka przy sobie i znowu awansowałeś - tłumaczył.

- Owszem, zasłużył na awans, ponieważ obezwładnił Brauera i ocalił Gretchen od niechybnej śmierci - zgodził się Philippe. - Przynajmniej tyle musiałem dla niego zrobić.

- Twoja żona zbluzgała go, aż miło. Drugi wartownik słyszał, co mówiła, i chętnie o tym opowiadał. Wszyscy wiedzą, że twoja pani jest Amerykanką i dopiero uczy się arabskiego, więc ludzie szybko odkryli, skąd zna tyle obelg. - Stary szejek odchrząknął nerwowo i odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na roześmiane twarze swoich dzieci. - Dostałem pokutę na całe dwa tygodnie. Ksiądz Felipe zapowiedział mi, żebym się wyrażał w sposób odpowiedni do mego urodzenia i stanowiska. - Znowu odchrząknął. - Tak się składa, że sam wcześniej wpadłem na ten pomysł, więc poprosiłem moją synową, żeby mnie nauczyła paru łagodniejszych, ale równie celnych wyrażań, co też chętnie uczyniła. - Z promiennym uśmiechem puścił wiązanekę hiszpańskich bezeceństw w slangu używanym przez Latynosów pracujących na ranchu. Gretchen po prostu zapało dech w piersiach.

- Ojczy, naprawdę powinieneś się wstydzić, jeśli użyłeś tych słów w obecności księdza Felipe! - zawołała, czerwona jak piwonia.

- Zacytowałem je bezbłędnie! - jęknął. - Dlatego wyznaczył mi dwutygodniową pokutę.

Gretchen wybuchnęła śmiechem, a teść rzucił jej oskarżycielskie spojrzenie.

- A mówiłaś, że to po amerykańsku. Slangowe, zwroty i wyrażenia - ciągnął urażony.

- I tak rzeczywiście jest - odparła piskliwie - lecz akurat tej wiązanekę nauczyłam się od brata. Wierzcie mi, kiedy się rozzłości, klnie jak szewc, a w południowym Teksasie nikt go nie przegada!

- Nie ma się czym przejmować - wtrącił Philippe pojednawczym tonem i uniosł rękę na znak, że kończy tę dyskusję. - Szczerze mówiąc, oglądałem stare amerykańskie filmy, traktując je jako źródło do poznania fajnych przekleństw. Wyobraźcie sobie, że mam jedno wyrażenie, którego można będzie nauczyć naszego malucha, kiedy zacznie mówić.

- Naprawdę? - zapytała Gretchen, z trudem odzyskując równowagę. Na szczęście żaden z nich nie zorientował się, że wpuściła teścia w maliny, ucząc go szczególnie plugawych określeń. Nie wzięła tylko pod uwagę, że stary szejek przytoczy je w obecność świątobliwego księdza jako wzór łagodnego przekleństwa. Spojrzała wyczekująco na męża. - Dobra, kochanie. Jaki to zwrot?

- Kurczę... blade. - Philippe rozpromienił się, dumny ze swego odkrycia, ale jego żona i ojciec wymienili porozumiewawcze spojrzenia i jednocześnie parsknęły śmiechem.

Nieco później Gretchen leżała objęta mocnymi ramionami męża i wspominała zdarzenia ostatnich miesięcy. Serce miała pełne radości, bo życie przyniosło jej tyle cudownych niespodzianek.

- Trochę to trwało, ale wreszcie los hojnie nas obdarował - mruknęła sennie. - Nie przypuszczałam, że będę taka szczęśliwa.

- Ja również. - Przytulił ją mocniej. - Jesteś sprawczynią tych wszystkich cudów.

- Razem ich dokonaliśmy. - Ujęła jego dłoń, położyła na swoim brzuchu i pogłaskała czule. - Mam nadzieję, że dochowamy się sporej gromadki. Czas pokaże, ale i tak otrzymałam od życia znacznie więcej, niż mogłam oczekiwać.

- Ja również. - Westchnął, szukając w ciemności jej ust. - W wolnych chwilach będę cię uczyć francuskiego. To język miłości. Jest w nim kilka cudownych określeń.

- Przykro mi, że twój ojciec przeze mnie popadł w taką biedę. Nie chciałam mu dokuczyć - powiedziała z uśmiechem.

- Chciałaś, chciałaś - mruknął oskarżycielsko.

- Masz rację. Postanowiłam mu dać nauczkę, bo przez te jego arabskie przekleństwa znalazłam się w trudnej sytuacji.

- No i wiedziałaś, że ksiądz Felipe świetnie zna hiszpański.

- Och, to przecież tylko kilka mocnych słów. Doprawdy nie wiem, w czym problem - broniła się Gretchen. - Trzeba powiększać swoją wiedzę. Zresztą mimo wszystko dobrze się stało. Może ojciec wreszcie się opamięta i przestanie rzucać mięsem.

- Jeśli tak się stanie, weź z niego przykład - zaproponował kpiąco.

- Już postanowiłam. Żadnych przekleństw.

- Ha!

- Naprawdę. Postanowiłam zmienić się na lepsze. - Dotknęła nogą jego uda i poczuła, że kolano męża wsuwa się między jej łydki. Przestał się już wstydzić swojej nagości i często leżał przy niej obnażony nawet w pełnym świetle. Pomogła mu zrozumieć, że blizny wcale nie są takie okropne. To wybujała, wręcz chorobliwa wyobraźnia sprawiła, że uważał się za potwora. Dzięki Gretchen inaczej patrzył teraz na życie.

Westchnął głęboko i przyciągnął jej głowę do włochatej piersi.

- Moja bezcenna perło.

- Słucham? - mruknęła zdziwiona.

- Pamiętasz opowieść o biedaku, który zobaczył bezcenną perłę i sprzedał wszystko, co jeszcze miał, żeby ją kupić? - spytał pogodnie. - Ja oddałbym za ciebie mój tron i całą krainę.

- Naprawdę?

- Gotów jestem wyrzec się wszystkiego, co posiadam... oprócz ciebie.

W pierwszej chwili pomyślała, że Philippe żartuje sobie z niej, ale mówił poważnie.

- Kocham cię - szepnęła.

Poczuła dotknięcie jego warg na przymkniętych powiekach.

- Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Stałaś wystraszona przy biurku recepcjonisty, ale nadrabiałaś miną. Niby lękliwa, ale odważna. Niby zwyczajna, ale piękna. Przez chwilę miałem wrażenie, że spoglądam w głąb swojej duszy. Podświadomie zdawałem sobie sprawę, że już nie pozwolę ci odejść. Dziwię się tylko, że tyle czasu potrzebowałem, aby sobie uświadomić tę oczywistą prawdę.

- Ani razu nie powiedziałeś, że mnie kochasz - odparła bez tchu.

Roześmiał się cicho i przytulił ją mocniej.

- Pamiętasz dzień, kiedy po raz pierwszy zdjąłem przy tobie ubranie? Sądzisz, że mężczyzna, który gardził swoim ciałem i uważał je za istny koszmar, obnażyłby się tak przy kobiecie wyłącznie ze złości? - spytał cicho. Znieruchomiała, porażona tym wyznaniem. Czemu wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Westchnęła głęboko. - Wiedziałem, po prostu wiedziałem, że nie zostanę wyśmiany ani odepchnięty, kiedy zobaczysz moje blizny. Ufałem ci i dlatego odważyłem się stanąć przed tobą nagi, w całej mojej szpetocie. W ten sposób wyznałem ci miłość, chociaż sam nie byłem tego świadomy.

- Ja również nie wiedziałam, w czym rzecz. - Łzy spływały jej po policzkach, a potem na jego tors.

- Dlaczego płaczesz?

- Bo cię kocham nad życie - szepnęła.

- Ja też cię kocham. Nad życie - powtórzył bez wahania, głosem pełnym napiętości i pasji. - Bardziej niż cokolwiek na świecie. - Przysunął się, szukając znowu jej ust. Pocałunek był czuły, ciepły i nieskończenie delikatny. - Będę cię kochać do końca życia. Zawsze. Zawsze, najdroższa! - powtarzał z wargami przy jej ustach. Przytuliła się do niego.

- Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz - błagała zduszonym głosem.

- Nie potrafiłbym odejść. - Zamknął ją w objęciach i pocałował zachłannie.

Oddała pocałunek. Gdy nieco ochłonęli, wtuliła się w niego. Nigdy dotąd nie była równie szczęśliwa ani tak uwielbiana.

- Philippe? - mruknęła.

- Tak? - szepnął, całując jej szyję.

- Mam nadzieję, że to nie są komunały, powtarzane wszystkim panienkom, które coś dla ciebie znaczyły. - Dała mu mocnego kuksańca.

Wybuchnął śmiechem i unieruchomił jej ramię.

- Kobieto, nie waż się mnie obrażać! - zawołał z udawanym gniewem.

- O, kurczę blade!

Zachichotał, ocierając się z wolna o jej chętne ciało.

- Proszę, proszę, znowu klniesz - mamrotał, całując ją w usta. - Powiem wszystko księdzu Felipe. Licz się ze słowami, bo to się dla ciebie źle skończy.

- Tak... źle? - spytała żartobliwie między kolejnymi pocałunkami.

- Aha - mruknął z uśmiechem.

- W takim razie kup mi słownik wyrazów niecenzuralnych. Zamierzam się nauczyć wielu nowych słów.

Oboje zamilkli na długo, ponieważ znaleźli sobie ciekawsze zajęcie.

Po siedmiu miesiącach przyszedł na świat Ahmed Rashid Philippe Mustafa, syn szejka Qawi i jego żony.